

NAWET SIĘ NIE ZORIENTUJESZ, kiedy akcja tej książki POCHŁONIE CIĘ BEZ RESZTY i wypuści dopiero po przeczytaniu ostatniej strony.

**RYSZARD ĆWIRLEJ**

**ROBERT  
MALECKI**

**KOSZMARY  
zasną OSTATNIE**



**ROBERT  
MALECKI**

**KOSZMARY  
zasną OSTATNIE**



CZW  
ARTA  
STRONA

*Tylko umarli widzieli koniec wojny.*

Platon

*Koszmarna noc, już druga, wstrętne wyro i koc.*

*Tłamsi mnie coś, potworne sny, ten telewizor syczy jak wąż.*

*Już nie mam sił, aby wyłączyć go, już nie mam sił. [...]*

Dżem, *Koszmarna noc*  
słowa: Ryszard Riedel, Kazimierz Galaś  
muzyka: Adam Otręba

*Jarkowi – tak się składa,  
że najlepszy na świecie brat  
jest właśnie moim Bratem.*

## PROLOG

Gdy kierowca zaciągnął ręczny, samochód jęknął głucho. Szarpnęło. Chwilę później mężczyzna zgasił silnik i nastąpiła cisza.

Zdał sobie sprawę, że o tej porze świat jest tylko czarno-biały. I tego właśnie oczekiwał od życia. Nie chciał żadnych szarości.

– Widziałeś film? – spytał.

Pasażer drgnął. Wciąż miał zamknięte oczy, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Musiał zapamiętać ten moment, gdy jego ciałem wstrząsnęło potężne uderzenie prądu. Pierwsze. Potem było drugie, które ponownie napięło wszystkie mięśnie do granic wytrzymałości.

Po chwili uniósł powieki, ale kiedy dotarło do niego, gdzie i z kim jest, poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Nic nie wiem! – wybełkotał.

Strach brzmiał wyraźniej niż słowa.

– Ale widziałeś film – przypomniał kierowca, a kiedy tamten znowu zaprzeczył, mężczyzna postanowił rozegrać to inaczej. Wyjął z kieszeni paralizator.

Obaj wiedzieli, że urządzenie miało znacznie silniejsze działanie niż wykrywacz kłamstw.

Pasażer próbował odsunąć się jak najdalej od tasera, ale przeszkadzał mu zapięty pas. Na sam widok broni ponownie poczuł przeszywający ból. Dlatego z całej siły wciskał się w oparcie fotela i nerwowo przesuwając wzrokiem od paralizatora do klamki drzwi.

– Nie uda się – ostrzegł kierowca.

Nie mogło się udać. Mężczyzna wiedział o tym doskonale. Najpierw musiałby odpiąć pas, potem otworzyć drzwi. Nie zdążyłby wykonać pierwszej z tych czynności, gdy ładunek tysięcy voltów znowu poraziłby każde włókno nerwowe w jego ciele. A tego by nie wytrzymał.

– Widziałeś! – rzucił kierowca tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wszyscy widzieliście.

– Tak! – krzyknął pasażer.

Mężczyzna za kierownicą pokiwał z aprobatą głową. On sam też widział. Film zdradzał wszystko.

– I co mi powiesz? – zadał kolejne pytanie.

Pot rosił czoło pasażera. Mężczyzna wiercił się niespokojnie, jakby czekał na odpowiedni moment, żeby uciec z tej pułapki. Kiedy zrozumiał, że ten nie nadejdzie, usta zaczęły mu drżeć. Załkał i z trudem się opanował. Wytrzeł nos rękawem kurtki i powiedział coś niezrozumiałe.

– Głośniej! – warknął kierowca.

Siarczysty mróz, niesiony wiatrem, wciskał się każdą szczeliną do wnętrza samochodu, w którym szyby zaczęły już zachodzić parą. Kierowca uchylił drzwi.

– Ona żyje. – Pasażer miał łzy w oczach.

Marek Bener odruchowo pokiwał głową, jakby te słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Bezwiednie potarł palcami lwi kieł, który zwisał z rzemienia na jego szyi, a potem odszukał dłonią dźwignię hamulca ręcznego.

Czekał siedem lat na odnalezienie swojej ukochanej żony. A teraz miał wrażenie, jakby to wszystko było tylko snem, wręcz koszmarem. Bo przecież i w snach, i w koszmarach bywa dokładnie tak samo: czujesz i przeżywasz wszystko jak na jawie. Być może właśnie śnił kolejny koszmar, który wypłuje go nad ranem w rzeczywistość pozbawioną złudzeń. W świat, w którym całe jego życie sprowadza się do trwania w chwili zawieszony między przeszłością, do której miał wgląd jedynie jak przez mgłę, a przyszłością, w której stronę nawet nie zamierzał patrzeć. Unosił się jakby w samym środku szklanej kuli, wystarczająco dużej, by nie miał żadnych szans na dotarcie do jej granic. Uwięziony właściwie bardziej przez siebie niż przez okoliczności. Wiedział to. A im dłużej nie było przy nim Agaty, tym grubsza stawała się ściana szklanego więzienia.

Nie chciał już o tym myśleć. Z całej siły zacisnął dłoń na dźwigni hamulca, aż pobielaty mu

kłykcie.

Miej to za sobą, stwierdził w myślach.

Drgnęła mu powieka.

Minęło siedem lat.

W zasadzie to minęła cała wieczność.

Na chwilę zamknął oczy, tylko po to, by obraz żony odpłynął razem z nurtem rzeki.

Napiął mięśnie i spuścił głowę. Przez zasłonę długich włosów spojrzął na przerażonego pasażera, który wiedział już, co go czeka.

– Nie! – krzyknął mężczyzna.

Bener zwolnił ręczny.

Wóz wystrzelił w kierunku lodowatej toni.

## WCZEŚNIEJ

### Niedziela

*12 lutego 2017 roku*

– Proszę śmiało. Pan wejdzie do kuchni. – Usłyszał kobiecy głos, po czym przestąpił próg. Zdążył dostrzec, jak domykają się przeszkłone drzwi prowadzące do jednego z pokoi, tego po lewej. – Zaraz przyjdę.

– Dosłownie minutka – upewniła go gospodyni. Głos zmieszał się z nieokreślonym, krótkim jękiem.

Zabrał plecak i przeszedł do ciasnej kuchni. Przez okno dostrzegł, jak w pomarańczowych trapezach świateł latarni ulicznych kotłowały się płatki śniegu. Sypało tak od piątku, zasy pęczniały z godziny na godzinę, a toruńskie jezdnie pokrywała ubita biała skorupa z wyznaczonymi niczym tory brązowymi paskami błota pośniegowego. Armagedon.

Westchnął i włączył światło.

W pomieszczeniu unosił się jeszcze ciężki zapach oleju i smażonych kotletów. Od razu zaczęło go ssać w żołądku, bo nie jadł od kilku godzin, które spędził samotnie w redakcji, nadrabiając zaległości w pisaniu tekstów do kolejnego numeru „Echa Torunia”. Potem odebrał telefon, pogadał chwilę z żoną Stemperskiego i postanowił przyjechać, zaciekawiony jej informacjami.

Teraz usiadł przy stole, odsunął na środek używane niedawno deskę i tłuczek do mięsa, zdmuchnął resztki bułki tartej, by zrobić sobie miejsce na blacie, i dopiero wówczas wyjął swój notatnik.

Czekał.

Próbował też nasłuchiwać, ale niewiele docierało do jego uszu poza przytłumioną muzyką z telewizora, przerywaną raz po raz owacjami. Stąd, gdzie siedział, miał widok na zamknięte drzwi do pokoju. Przez matową szybę wpadały niebieskawe refleksy, układające się na boazerii nieregularnymi plamami.

Bener spojrzał na zegarek, dochodziła szósta. Ziewnął i przetarł ręką zmęczoną twarz. Czuł się wypruty po całym dniu pracy, bez nadziei na to, że jutro może być lepiej. W poniedziałki po prostu nie mogło być lepiej. Odkąd Aldona Terlecka, jego prawa ręka i sekretarz redakcji, a przede wszystkim jego pierwsza i jedyna przyjaciółka, odeszła latem zeszłego roku do „Newsweeka”, roboty miał od cholery. Fakt, pomógł jej w tym odejściu, bo nie chciał patrzeć, jak marnuje talent w jego tygodniku lub którejkolwiek z innych toruńskich redakcji. W lokalnej prasie coraz mniej było stron redakcyjnych i ciekawych tekstów, coraz więcej reklam i byle jakich artykułów sponsorowanych kopiowanych żywcem z materiałów marketingowych, od których zapychał się Internet. Natomiast zdecydowanie najwięcej w tych redakcyjnych gremiach było mądrych ludzi, którzy żyli w przeświadczeniu, że wiedzą już wszystko, także to, co powinno się znaleźć na łamach, żeby gazety zniknęły z kiosków jak świeże bułeczki. Niestety nakłady spadały z roku na rok, oddziały redakcji w mniejszych miastach kujawsko-pomorskiego zamykano z hukiem, a cięciom poddawano kolejne etaty dziennikarskie. W „Echu Torunia” byłoby podobnie, gdyby nie fakt, że Bener nie silił się na bzdurne konkursy, plebiscyty ściągające z naiwniaków haracz w postaci wysyłania drogich SMS-ów czy zamieszczanie zdjęć tegorocznych pierwszaków z nadzieją, że wszyscy ich krewni, do trzeciego pokolenia wstecz włącznie, wykupią następnego dnia cały nakład. Wolał za każdym razem myśleć i pisać o człowieku i jego problemach w mieście. A to było niewyczerpalne i jakże wdzięczne źródło tematów. Czytelnicy doceniali to, chętnie sięgali po „Echo Torunia”, dzięki czemu nakład tygodnika nie spadał. A zadowolony czytelnik to zadowolony reklamodawca. Bener z pietyzmem dbał więc o dobór tematów. Być może właśnie trafił na kolejny z nich. To dlatego chciał poświęcić niedzielny wieczór na zapoznanie się ze sprawą zaginięcia Jana

Stemperskiego, chociaż obawiał się, że zna już rozwiązanie tej zagadki. Zresztą i tak wieczorem nie miał nic pilnego do roboty, a o zaginięciu swojej żony wolał już nie myśleć. Przynajmniej nie po tym, co kilka miesięcy temu znalazł w skrzynce na listy. Musiał zająć czymś głowę, żeby nie zwariować, pragnął dać się porwać historii innej niż historia jego porażki. Usłyszał przytłumiony dzwonek komórki, a potem głos Stemperskiej dochodzący z pokoju i przebijający się przez dźwięki z włączonego telewizora. Nie słyszał, o czym rozmawiała, bo drzwi do pokoju cały czas pozostawały zamknięte.

Wrócił więc myślami do Agaty, a raczej do tego, czego nigdy by się po niej nie spodziewał. Tym razem jednak nie zdążył rozdrapać świeżej rany.

– Przepraszam, że musiał pan tyle czekać – powiedziała Wioletta Stemperska, wchodząc do kuchni i wyciągając rękę na powitanie. Wstał i uściśnął lekko jej zimną jak lód dłoń.

– Kawy? – spytała, wyciągając trzy kubki.

Bener przytaknął i patrzył, jak Stemperska do dwóch z nich nasypała kawy rozpuszczalnej, a do trzeciego, czerwonego, wrzuciła torebkę ziół.

Pamiętał, że Wiolettę Stemperską poznał parę lat temu, kiedy spotkali się w redakcji, również w sprawie jej męża. Teraz była drobną, szczupłą brunetką pod pięćdziesiątkę, ze spiętymi włosami, których dawno nie farbowała: na kilkucentymetrowych odrostach zauważył srebrzące się gdzieniegdzie nitki. Nie była brzydka, ale nie była też piękna. Właściwie gdyby minął ją na ulicy, pewnie w ogóle by jej nie poznał.

Odwróciła się do Benera i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Telefon komórkowy, który przyniosła ze sobą z pokoju i położyła obok kuchenki, zawibrował i rozbrzmiał prostą melodią.

– Halo? Tak, ale w tej chwili to już nieaktualne. Nie, nikt go jeszcze nie kupił, ale na razie nie możemy go sprzedać... No to trudno. Przykro mi. Nie, na pewno nie. Do widzenia.

Otarła czoło i wpatrywała się w podłogę, mniej więcej tam, gdzie stał Bener. Zerknął w dół i dopiero teraz zrozumiał. Roztopiony śnieg z jego martensów rozlał się w niewielką kałużę. Przeprosił, ale Stemperska machnęła ręką i uśmiechnęła się smutno.

Czajnik zagwizdał. Nalała wrzątku do kubków i ustawiła je na tacy obok cukiernicy i dwóch łyżeczek. Podniosła ją i skinęła głową w stronę pokoju.

– Od razu przepraszam za bałagan – powiedziała, wychodząc z kuchni.

Bener zauważył, że zostawiła telefon na blacie, ale nic nie powiedział, tylko poszedł za nią.

Stemperska opowiedziała Benerowi raz jeszcze wszystko to, co zdążyła przekazać mu we wcześniejszej rozmowie telefonicznej. Bener odnotowywał istotne informacje, ale ukradkiem rozglądał się po salonie, słabo rozświetlanym przez dwa kinkiety na ścianie tuż za nim. W tonącej w półcieniu meblościance dostrzegł kilka medali, statuetek i odznaczeń związanych z krwiodawstwem, lecz za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, czy należały one do męża Stemperskiej, czy do niej. Zastanawiał się, czy ją o to zapytać, ale ostatecznie wolał skupić się na istotnych dla sprawy szczegółach. Tego od niego oczekiwała.

– Uporządkujmy – poprosił, na co Stemperska wyprostowała plecy i włożyła dłonie między uda, żeby ponownie je ogrzać lub ukryć ich drżenie. – Ile lat ma pani mąż?

– Czterdzieści dziewięć.

– Ata, ata! – rzuciła staruszka.

Stemperska nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, przyzwyczajona do urojeń teściowej i wypowiedzianych przez nią wyrazów lub sylab, które nie miały żadnego związku z rzeczywistością, a były co najwyżej bladym odzwierciedleniem wyświeتلanych pod powiekami staruszki obrazów.

Bener odchrząknął i kontynuował:

– Ostatni raz widziała go pani...

– Jak już mówiłam, w piątek rano. Tuż po siódmej zjadł śniadanie i wyszedł do pracy.

– Czy zachowywał się inaczej niż zwykle? Albo czy było w jego zachowaniu coś, co panią zaniepokoiło?

Stemperska przygryzła wargę.

– Nie sędzę, sama byłam wtedy trochę nerwowa, bo musiałam już wyjść do pracy, a bratowa,



która opiekuje się podczas naszej nieobecności teściową – zerknęła w stronę staruszki – się spóźniała. Ostatnio wywinęła mi taki numer kilka razy, przez co spóźniłam się do pracy, a mój szef strasznie tego nie lubi, wścieka się, mam potem cały dzień z głowy.

Bener przerwał notatki.

– Gdzie teraz pracuje pani mąż?

– Po tej aferze, którą pan opisywał... – Zamyśliła się, zmrużywszy oczy. – Kiedy to było? Jakieś osiem lat temu, prawda? No to po tej aferze przepracował w Urzędzie Marszałkowskim jeszcze kilka tygodni, a potem rzucił papierami. Nie miał siły. Stał się wrakiem człowieka.

– Stał się wrakiem człowieka i nie umiał już pracować. – Pokręciła głową Stemperska. – Nie, źle to ujęłam. Janek po prostu bał się pracować, bał się popełnić najmniejszy błąd, przez który ktoś go znowu wyśmiej, zadrwi. Był wyczulony na żarty w pokoju nauczycielskim do tego stopnia, że w ogóle tam nie przebywał, z nikim nie rozmawiał. Zamknął się w sobie i rzadko kiedy otwierał się nawet przede mną. Którejś nocy, gdy leżeliśmy w łóżku, a Janek nie mógł zasnąć, powiedział mi, że w szkole panicznie boi się wszystkiego, a najbardziej chwili, w której musi wejść do klasy. Dźwięk dzwonka wywoływał u niego przyspieszone bicie serca i zawroty głowy. Bał się, że zemdleje, że upadnie, czasami przez kilka chwil trzymał się kurczowo poręczy. A niekiedy drżał, że zrobi coś złego sobie albo innym, na przykład dziecku, czego nigdy by sobie nie wybaczył. To było zupełnie irracjonalne, bo on nawet muchy by nie skrzywdził. Ale bałam się o niego, bałam strasznie. Miał wiele czarnych myśli.

– Był w fatalnym stanie – dopowiedziała po chwili Wioletta Stemperska. – Ten mobbing u Zdziarskiego, to, co Janek tam przeszedł. – Z niedowierzaniem pokręciła głowę. – To było jak tornado, które trafiło na drewnię. Zmiotło go po prostu. Janek... – Stemperska otarła łzę bandażem owiniętym wokół nadgarstka. – Janek... On się posypał. W szkole miał dużo obowiązków, przytłaczała go robota papierkowa, klasówki, formularze, wypełnianie dziennika elektronicznego, robienie jakiegoś tam stażu, wlepili mu też kronikę szkoły i przygotowywanie informacji na stronę internetową. Wiadomo, był nowy. On nie umiał odmawiać, nigdy nie był asertywny, brał to wszystko na siebie, mówię panu. A im więcej dostawał roboty na biurko, tym częściej odkładał ją na wieczne „potem”. Któregoś dnia nie wytrzymał i poryczał się w domu jak bóbr. Wtedy zaczęłam mu pomagać, sprawdzałam za niego kartkówki, brałam na siebie ten cholerny dziennik elektroniczny i stronę internetową. Robiłam, co się dało, ale starałam się, by Janek też miał w tym udział. Nie chodziło tylko o to, by ulżyć mu w obowiązkach. Zależało mi, żeby widział, że systematyczne działanie leży w jego interesie, że wtedy wcale tej pracy nie ma tak dużo i że jeśli poświęci na nią każdego dnia tylko godzinę, wszystko da się ogarnąć. Myślałam, że to racjonalne działanie sprawi, że przestanie się bać.

Stemperska przeprosiła i wyszła do kuchni po aparat.

– Nie, na razie nie jest aktualne. Do widzenia.

Bener spojrział na nią, gdy wróciła i oparła się o framugę. Dopiero teraz zauważył, że nosiła szare spodnie dresowe wypchane w kolanach i bluzę z kapturem, na którą nałożyła ocieplaną, pikowaną kamizelkę.

– Czy w piątek rano mąż był w gorszym nastroju niż wcześniej?

Skrzyżowała ramiona.

– Każdego dnia wyglądał tak samo. Przygaszony, cichy, jakby nieobecny. Być może dobijało go też gasnące zdrowie jego matki – skinęła głową w stronę pojękującej staruszki – chociaż pomagałam mu i ja, i bratowa, czasami brat.

– Leczył się na depresję?

– Leczył się na depresję, na niedoczynność tarczycy, na wrzody żołądka i na nadciśnienie. Miał kłopoty z trawieniem, cierpiał na rwę barkową. Brał lek za lekiem, przez co stawał się bardziej oswiały. Uśmiechał się, ale to nie był ten mój radosny Jasiak, jak jeszcze dziesięć lat temu.

Bener postawił kropkę przy ostatnim zapisanym zdaniu.

– A w czwartek? Zdarzyło się coś niepokojącego?

– Nie sędzę. Poranek był taki jak zwykle, Janek połknął lek, pokręcił się po domu, zjadł śniadanie, popił resztę leków, a po pracy, wieczorem, spotkał się z bratem. Wrócił trochę podminowany, ale nie

chciał nic mówić. Pewnie się posprzeczcali o opiekę nad matką, ostatnio nie znajdowali wspólnego języka w tej sprawie.

– A wy?

– Co my?

– Czy pani i mąż się o to kłóciliście?

Stemperska przeszła przez pokój, sięgnęła po kubek z zaparzonymi ziołami, zamoczyła w nich usta i upewniwszy się, że nie sparzą języka teściowej, podsunęła jej szklankę. Drugą ręką chwyciła chusteczkę i gdy kobieta upiła kilka łyżków, Stemperska wytarła jej usta i brodę, po której spłynęło kilka kropel naparu.

– A ten pan, co tak się o mnie troszczy, to gdzie jest? – spytała mała, zasuszona kobiecina, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Jeszcze w szkole mam, Janek ma dziś dużo pracy – odpowiedziała Wioletta Stemperska i natychmiast zwróciła się do Benera: – Nie ma sensu niczego jej wyjaśniać, po chwili i tak zupełnie nic nie pamięta.

– Muszę mu coś powiedzieć – zaskrzeczała matka zaginionego.

– Dobrze, mam, gdy tylko wróci, wszystko mu powiesz.

– Teraz muszę.

– Dobrze, jak tylko skończę rozmawiać z panem Bene-rem, to do niego zadzwonimy, zgoda?

Kobieta drgnęła i odwróciła głowę w stronę redaktora. Wpatrywała się w niego w milczeniu, jakby dopiero teraz go zauważyła.

Bener uklonił się lekko, uśmiechnął, ale równie dobrze mógłby to zrobić przed polnym głazem. Stemperska tymczasem postawiła szklankę na leżącej na ławie gazecie i z powrotem usiadła na pufie w pobliżu kanapy zajmowanej przez gościa.

– To nie jest łatwa sprawa – wróciła do jego pytania o opiekę nad teściową. – Z trudem wiążemy koniec z końcem, ale wiedziałam, na co się godzę, i wypełniam swoje obowiązki. Mama nie jest trudnym człowiekiem, trzeba tylko na nią uważać, by nie zrobiła sobie krzywdy. Kocham ją właściwie jak swoją matkę, bo tej nigdy tak naprawdę nie miałam. A moja teściowa to była wspaniała kobieta, zawsze nam pomogła, była życzliwa i serdeczna. Cały czas czułam jej wsparcie i miłość.

Bener nie skomentował. Zastanawiał się, jak zadać pytanie, które od początku chciał zadać, tak by Stemperska nie zorientowała się, co ma na myśli.

– A ciuchy męża, nie zniknęły? Szczoteczka do zębów, kosmetyki, leki? Mógł zabrać coś ze sobą?

– Sprawdziłam, nic nie zniknęło.

– Jest pani pewna?

– Tak.

– A dzieci? Macie dzieci? – spytał, czując na sobie wzrok staruszki, ale nie spojrzał w jej stronę.

– Nie.

– A kogoś bliskiego, kogo pani mąż chciałby odwiedzić?

– Ciotkę, siostrę teściowej. Mieszka w Gdańsku, ale już to sprawdziłam. Janka tam nie było.

Bener wypytał ją jeszcze o kilka spraw. Dowiedział się, że Stemperski zabrał wóz i razem z nim zniknął w piątkowej śnieżycy. Kobieta zgłosiła zaginięcie w pobliskim komisariacie w piątek wieczorem, ale obsługujący ją funkcjonariusz radził, żeby jeszcze się wstrzymała, bo pod koniec tygodnia, jak to określił policjant z uśmiechem, „panowie lubią sobie golnąć z kumplami, zabawić się, poderwać dziewczuchy, generalnie lubią zaszaleć”. Nie liczyła więc na policję, mimo iż była tam ponownie w sobotę i dziś rano. Wypełniono tylko kwestionariusz i obiecano przyjrzeć się sprawie, ale były to zapewnienia niczym obietnice polityka w trakcie kampanii wyborczej.

Potem Bener poprosił, by pokazała mu ich sypialnię, do której wchodziło się z salonu. Znajdowało się tam tylko szerokie łóżko i zabudowana na przeciwległej ścianie szafa. W rogu stał niewielki okrągły stolik z podłączonym do zasilacza laptopem starszej generacji. Na ekranie Bener dostrzegł przygotowywany przez kobietę plakat z powiększonym zdjęciem z legitymacji lub dowodu

Jana Stemperskiego i z napisem „Zaginiony”, umieszczonym nad kolorową fotografią.

Bener zamierzał zabrać laptopa do przejrzenia, dlatego obiecał Stemperskiej, że wydrukuje rano kilkaset egzemplarzy plakatów. Podziękowała za pomoc.

Odłączył sprzęt i spakował komputer do plecaka razem z zasilaczem.

Potem spojrzął przez okno na rząd garaży, których dachy pokrywała pękata czapa śniegu. Podobne leżały na chodnikach.

– Który jest wasz?

Stemperska podeszła do okna i wskazała palcem na jeden z blaszaków, niemal naprzeciwko okna.

– Nie wiem, czy Janek po pracy wszedł do domu, ale wydaje mi się, że tak, bo zazwyczaj wieszal klucz do samochodu na wieszaku. Pewnie tu wrócił, wziął kluczyk i wyszedł.

– Dokąd mógł pojechać?

– Ata! Ata! – Dobiegło zza ściany.

– Nie wiem. – Przyłożyła dłonie do policzków. – Myślę o tym cały czas. Nie mamy żadnej działki, żadnego domku nad jeziorem. Zresztą nawet gdybyśmy mieli, to co miałyby tam robić o tej porze?

– Może miał jakąś sprawę do załatwienia? Chciał wymienić dekoder? Pojechał na pocztę? Do serwisu? – Bener pytał bez przekonania, ponieważ wciąż nie zamierzał mówić o swoich podejrzeniach, że Stemperski mógł popełnić samobójstwo. Uciec od wszystkiego i targnąć się na życie. Bener był tego niemal pewien. Znał wiele takich przypadków i właśnie w tym kierunku zamierzał prowadzić poszukiwania. Będzie szukał trupa. Dopiero jeśli trafi w ślepą uliczkę, zmieni tor swojego śledztwa. Na razie jednak sprawa wyglądała na oczywistą.

Bener wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jutro się do pani odezwę – zapowiedział.

– Ata! – Usłyszeli oboje ten sam podniesiony głos.

Wioletta Stemperska uściśliła mu dłoń i przytrzymała ją chwilę.

– Wiem, o czym pan myśli, ale on się nie zabił – powiedziała cicho, wpatrując się w jakiś punkt za oknem. – Nie odebrałby sobie życia. Chciał sprzedać samochód, miał plany. Nie żył tylko pracą.

Bener nic nie odpowiedział, uwolnił rękę z uścisku kobiety i ruszył do wyjścia. W salonie ponownie zerknął na staruszkę, która wpatrywała się w niego. Skinął jej głową i rzucił coś na pożegnanie. Zrobił krok w stronę drzwi, wciąż obserwując kobietę, ale nie przekroczył progu pokoju, bo teściowa Stemperskiej sparaliżowała go jednym słowem.

– Agata! – rzuciła i zamknęła oczy.

– Agata! On wie! Wie, kto skrzywdził Agatę!

W drodze powrotnej zmarł okrutnie, w domu Stemperskich było chłodno jak w sieni i już w samochodzie poczuł, że za chwilę coś może go rozłożyć. Wolał dmuchać na zimne, a raczej zalewać się ciepłym.

Zdjęcia ze ściany wylądowały w piwnicy, spakowane do kartonu, który Bener szczelnie okleił taśmą. Trafiły tam również inne rzeczy Agaty. Ciuchy i buty przekazał do Caritasu. W domu nie został już po niej żaden ślad.

Tablicę korkową zajmowały zdjęcia osób, które rozplynęły się w Toruniu jak – *nomen omen* – w szarej mgle. Z kolei na suchościeralnej różnymi kolorami zaznaczyli imiona i nazwiska świadków, którzy jako ostatni mieli kontakt z zaginionymi lub ich widzeli. Dopisali również nazwy przedmiotów znalezionych w trakcie poszukiwań. Klucze, bandamki, silikonowe opaski na rękę. Weryfikowali też miejsca, do których zaginięni mogli się udać.

Rodziny, które zlecały mu poszukiwania, oczekiwały efektów. Bener jeszcze niedawno oczekiwał ich też od siebie, niestety srogo się zawiódł, bo źle ustawił azymut poszukiwań. Ale teraz było już za późno.

Bener zabrał piwo i przeszedł do biura. Usiadł tyłem do tablicy korkowej, na której Rak umieścił to, czego Bener zamieścić nie chciał i co wielokrotnie ściągał. Teraz wolał nie patrzeć w tamtą stronę, bo był przekonany, że wydrukowane zdjęcie wciąż wisi na tablicy. Przysunął sobie laptopa Stemperskiego i zaczął przeglądać znajdujące się w nim foldery i katalogi w poszukiwaniu jakichkolwiek

przydatnych informacji. Rób coś, rozkazał sobie. Nie myśl o niej przez chwilę.

Szperał i otwierał na chybił trafił różne dokumenty, które najczęściej okazywały się pomocami szkolnymi lub wzorami formularzy, stosowanymi przez Stemperskiego w pracy. Były tam również pliki PDF, najczęściej skany przydatne w trakcie lekcji muzyki, czasami potwierdzenia przelewów na drobne sumy za zakupy internetowe, faktury proforma i potwierdzenia różnych zamówień. Nic, co mogłoby zwrócić uwagę Benera. Uruchomił menedżera i przeleciał wzrokiem wszystkie zainstalowane programy. Mało ich było, żadnych gier, w zasadzie nic ponad to, z czym wynosi się komputer ze sklepu.

Zerknął na zegarek. Było przed dziesiątą. Wybrał numer do Stemperskiej, odczekał kilka sygnałów, jednak nie odebrała. Być może zajmowała się teściową.

Bener pozamykał otwarte wcześniej programy i rzucił okiem na niemal pusty pulpit. Znajdował się na nim jeden folder ze zdjęciami. Otworzył go i przyjrzał się ikonkom fotografii. Kliknął na pierwszą z nich, żeby lepiej się przyjrzeć zdjęciu. Potem zrobił to samo z pozostałymi. Coś mu się nie zgadzało.

Z sykiem wypuścił powietrze z płuc, postukał palcami o blat w rytm utworu Dżemu z kolejnej płyty, którą samoistnie odtworzyła wieża. Tym razem Jacek Dewódzki śpiewał o facecie, który tłumaczył się żonie z dwóch piw wypitych z kumplami. Przekonywał ją, że to przecież żaden grzech. Pytanie, czy grzechem było czyszczenie historii przeglądanych stron? Bener był pewien, że ogłoszenie o sprzedaży samochodu ukazało się w Internecie, skoro Stemperska odbierała przy nim telefony od zainteresowanych nabywców. Odszukał je zresztą bez problemu na otomoto.pl.

Raz jeszcze przyjrzał się zdjęciom samochodu Stemper-skiego. Citroën berlingo wyglądał, jakby właśnie zjechał z taśmy produkcyjnej, chociaż nie był to wcale najnowszy model. Bener nie miał jednak czasu na dłuższe oglądanie zbliżeń kokpitu czy welurowej tapicerki, bo właśnie oddzwoniła Wioletta Stemperska. Zapytał ją, czy korzystała ostatnio z komputera i czy przeglądała strony internetowe.

– A czemu pan pyta? Coś nie tak? – zaniepokoiła się.

– Nie. Mam nadzieję, że nie.

– Kupiłam na Allegro pieluchomajtki i kremy przeciwodleżynowe dla mamy – dodała, jakby próbowała się tłumaczyć. – Zapłaciłam przelewem w czwartek.

– A kiedy mąż zamieścił ogłoszenie o sprzedaży samo-chodu?

– Zrobił to tuż po mnie, w czwartek.

– Na komputerze, tak?

– No tak, przecież zgrywał na niego zdjęcia z komórki. Na pulpicie jest taki folder.

– Tak, widziałem. Może mieli państwo ustawioną opcję kasowania historii w przeglądarce? – spytał, ale przecież znał już odpowiedź, bo zerknął wcześniej w ustawienia.

– Nie, absolutnie. Przynajmniej do tej pory tak nie było.

– A czy ktoś mógł korzystać z tego komputera bez waszej wiedzy? Na przykład w piątek lub później?

W słuchawce zapadła cisza.

– Jest tam pani?

– Tak jestem. Zaskoczył mnie pan. Nie, nie sadzę. Raczej nie.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem umówili się, że Bener dostarczy jej wydrukowane plakaty.

Ostatnią deską ratunku był program do obsługi poczty, ale okazało się, że ten w ogóle nie był skonfigurowany, a jedyne, co Bener w nim znalazł, to zaproszenie do założenia konta e-mail.

Drukarka zamruczała cicho po skończonej pracy. Bener sięgnął po wydruki i ułożył jeszcze ciepłe papiery w grubym, równym stosie na blacie. Wstał, żeby rozprostować kości, i wtedy mimowolnie zerknął na tablicę. Miejsce, w którym niedawno Rak zawiesił zdjęcie Agaty, było puste. Ucieszyło to Benera. Być może fotoreporter zrozumiał wreszcie, że dziennikarz wkładał wiele wysiłku w to, żeby o niej zapomnieć. Bezskutecznie zresztą, ale nie zamierzał się z nikim tym dzielić. Nie musiał też zdradzać, że w głowie kołatało mu się tylko jedno pytanie.

Dlaczego?

Ilekoć je sobie zadawał, targąta nim nieopisana wściekłość, która spinała mu mięśnie, powodowała lekkie drżenie żuchwy i skurcze powieki.

Dlaczego mu to zrobiła?

Wiedział, że zarówno to, jak i wiele innych pytań na zawsze pozostanie bez odpowiedzi, a mimo to katował się nimi. Tym ostatnim od niedawna, ale całą resztą już od niemal siedmiu lat. Unicestwiał się kawałek po kawałku.

Bener przeczesał ręką długie włosy, które zaczepiły się o kilkudniowy zarost. Musiał zacząć myśleć o czymś innym, o czymkolwiek, co odetnie go od przeszłości.

Syknął odkręcony na kuchence gaz.

Kiedy oprzytomniał, przyłożył do guza na głowie zmrożonego kurczaka. Ubrał się i z grymasem bólu przysiadł na taborecie. Kość ogonowa dotkliwie przypomniwała o swoim istnieniu. Bener wybrał najlepszy środek przeciwbólowy: kolejne grzane piwo.

Usłyszał, że w biurze dzwoni i wibruje zostawiona na blacie komórka. Nie chciało mu się tam iść, był w ostatnim stadium tumiwisizmu okraszonego tępowym, pijackim uśmiechem i zamglonym wzrokiem, którym gapił się na siebie spod współprzymkniętych powiek. Wpatrywał się w ten niewyraźny obraz nędzy i rozpaczy, jaki dostrzegł w odbiciu kuchennego okna. Rzygał nim.

W pewnej chwili chwycił solniczkę i zamachnął się w stronę okna. Odbiła się jednak od ściany i spadła, rozsypując białe drobinki po brązowych kaflach.

Bener najpierw zaśmiał się w głos, a potem sklął się i zaczął wygrażać sobie pięścią.

Telefon ponownie odezwał się tą samą melodią.

– Spierdalaj! – warknął. – Biuro zamknięte!

Zrzucił to, co było na stole w zasięgu jego ręki, i położył łeb na blacie, opierając czoło na przedramieniu. Zamknął oczy, żeby się uspokoić i nie pozwolić spłynąć łzom.

Oddychał ciężko, w takt odtwarzanego dzwonka komórki.

W końcu zerwał się i ruszył w stronę biura, opierając się rękoma o ściany. Dopadł aparatu i odebrał.

– Przeszkadzam? – usłyszał schrypnięty głos Szamana.

– Tak – warknął Bener.

– A pamiętasz, co mówiłem?

– Mam to w dupie, rozumiesz?

– Zadzwoń jutro. Wytrzeźwiej – warknął Szaman.

– Sam sobie, kurwa, wytrzeźwiej, patafianie jeden! – ryknął Bener, ale był pewien, że Szaman już tego nie usłyszał.

Profesor Ryszard Szamojski, były promotor pracy doktorskiej na wydziale filozofii, której Bener nie ukończył, pewnej nocy spotkał pijanego dziennikarza w autobusie. Im więcej czasu upłynęło od tego zdarzenia, tym większą Bener miał nadzieję, że nigdy tak naprawdę do niego nie doszło, że było to wyłącznie poalkoholowe przywidzenie, że łysy jak kolano, starszy mężczyzna wcale nie usiadł naprzeciwko niego. A jeśli nawet to zrobił, to milczał. Ale o dziwo w pamięć Benera wryły się zaskakująco mocno dwa słowa wypowiedziane ochryplym głosem. *Graviora manent*. Najgorsze dopiero nadejdzie.

Później Szaman został namierzony przez policję w związ-ku z zaginięciem dwóch ciężarnych studentek. Po aresztowaniu urwał się jednak z policyjnego konwoju. Bener nie uważał Szamana za proroka, raczej za człowieka czynu, dlatego nie zwrócił uwagi na dziwne słowa. A jednak w tej pierwszej sprawie, dziennikarz się pomylił. Najgorsze nadeszło. Jego ciężarna żona wkrótce zniknęła.

Wstał z krzesła i zgasiwszy światło w kuchni, przeszedł do salonu. Zamierzał wyłączyć komputer, na którym pracował wcześniej, i położyć się spać. Poruszył myszką, by obudzić śpiący ekran.

Dostrzegł wtedy nową wiadomość od Raka, bez tematu i bez żadnego słowa w treści. Był tam jedynie załącznik.

Otworzył plik, a cały ekran wypełniło zdjęcie. To zdjęcie. Wydruk fotografii, którą Bener otrzymał kilka miesięcy wcześniej od anonimowego nadawcy. Bener przekazał zarówno kartkę z wydrukiem, jak i kopertę policji, ale nadawca zachował się jak profesjonalista i nie zostawił żadnych śladów, które byłyby pomocne funkcjonariuszom prowadzącym śledztwo w sprawie zaginięcia Agaty.

Miał więc fotografię, nowy trop, a jednocześnie nie miał nic. Żadnego punktu zaczepienia.

Długo wpatrywał się w ten kadr. Nie mógł od niego uciec. Od chwili, kiedy wyjął wydrukowaną fotografię z koperty, nosił ją ciągle w głowie. Było to dokładnie to samo zdjęcie, które z uporem maniaka ściągał z tablicy korkowej, a które Rak z jeszcze większym uporem drukował i wieszał ponownie w tym samym miejscu, doprowadzając Benera do białej gorączki.

Kolorową fotkę wykonano 1 listopada 2010 roku, co potwierdzała umieszczona na obrazie data. Ale nawet gdyby zapisu daty nie było, Bener wiedziałby, że zostało zrobione tamtego dnia. Dnia, w którym jego żona zaginęła. Wielokrotnie opowiadał o tym, w co Agata była wówczas ubrana. Wciąż widział – jakby to było dziś – jej pikowaną kurtkę, ciężowe džinsy z szerokim elastycznym pasem, czarny sweter i adidas.

Siedziała przy kawiarnianym stoliku ze zwieszoną lekko głową, jakby nieco zawstydzona. Blond włosy założyła za ucho, dzięki czemu Bener rozpoznał jej profil i błakający się po twarzy nieznacznym, lecz jednak uśmiech.

Ale to nie na nią patrzył i to nie ona przyciągała jego wzrok na tej fotografii.

Jednak tamten tragiczny dzień Wszystkich Świętych miał jeszcze jedną tajemnicę.

Bener westchnął. Zrezygnowany zamknął zdjęcie i wyłączył komputer.

Wszedł do łazienki i umył się na tyle, na ile pozwalała mu szum w głowie i zaburzenia błędnika. Potem pogasił światła na parterze, sprawdził, czy zamknął drzwi, i powłókł się na górę.

Pod jego ciężarem skrzypiały schody, potem zatrzeszczały sprężyny łóżka. Bener chciał zamknąć oczy, ale za każdym razem, gdy to robił, znowu widział tamto zdjęcie. Gapił się więc w ściany i sufit, na których załamywał się blask lampy drogowej sterczącej w pobliżu jego domu. Im dłużej to robił, tym wyraźniej widział tę znienawidzoną fotografię i detal, który przykuwał jego uwagę i tak wiele mówił.

Czerwona róża.

Nienawidził tej przeklętej, leżącej na stole róży.

Ostatecznie to nie twarz była w tym obrazie najważniejsza, tylko ręce. Splecione dłonie ich obojga.

Dziennikarz przewrócił się na drugi bok. Zapowiadała się bezsenna noc.

I kiedy tak leżał przez kolejne pół godziny, przypomniał sobie, jak Rak nazwał ten plik ze zdjęciem. Wysyłając tę wiadomość, fotoreporter chciał mu coś przekazać.

I to nie była żadna prośba. To brzmiało jak polecenie, które targnęło Benerem jeszcze mocniej niż to ciągłe drukowanie zdjęcia i wieszanie go w jego domu, na jego jebanej tablicy korkowej, bez jego pierdolonego pozwolenia!

Kurwa, miał tego szczerze dość!

Rak był jego przyjacielem, ale tym razem przeholował. Gdyby Bener miał go pod ręką, strzeliłby mu w pysk.

Dziennikarz czuł drżenie rąk i to, że stopy zamieniły się w bryły lodu. Był zmęczony, ale sen nie przychodził. Długo jeszcze wiercił się w łóżku, a kiedy wreszcie ochłonął, pomyślał, czy Rak nie miał racji.

Musisz wiedzieć.

Tak właśnie fotoreporter zatytułował zdjęcie.

Czy naprawdę musiał to wiedzieć?

Zacisnął pięści na kołdrze.

Czy naprawdę musiał wiedzieć, że jego żona się puszczała? A może miał jeszcze poznać prawdę o tym, że nie był ojcem dziecka, które nosiła?

Jego oddech przyspieszył.

Nienawidził jej.

I chociaż trudno było mu to przed sobą przyznać, miał nadzieję, że jego żona jednak nie żyje.

– Imię i nazwisko?

Kobieta spojrzała na pytającego.

– Jak ma pani na imię? Jak się pani nazywa? – powtórzył mężczyzna.

– Po co to wszystko? – spytała.

Mężczyzna wsparł głowę na złączonych dłoniach i spuścił wzrok na lśniący blat stołu, przy którym siedzieli.

Pomieszczenie było małe, mogło mieć kilka metrów kwadratowych. O klaustrofobię przyprawiły go cementowe ściany, podłoga i sufit, z którego zwisał krótki kabel zakończony mleczną żarówką. W miejscu okna znajdowało się lustro weneckie. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że są obserwowani.

Poza tym w pomieszczeniu były tylko dwa stare krzesła i przymocowany do wysłużonego kuchennego stołu nowy blat, pośrodku którego stał niewielki czarny mikrofon.

– Nie zaczynamy od nowa. To naprawdę nie ma sensu. Zrobmy to. Im szybciej, tym lepiej – zachęcił mężczyzna.

– Lepiej dla kogo? – spytała hardo.

– Lepiej dla wszystkich. Tłumaczyliśmy to pani.

Kobieta spojrzała w lustro.

– To po to mnie odnaleźliście? – spytała, nie odrywając wzroku od swojego odbicia.

– Im szybciej to załatwimy, tym szybciej będzie pani wolna – powtórzył spokojnie.

Wydawało mu się, że skinęła głową.

– Możemy zacząć od nowa? – upewnił się.

Tym razem skinienie był wyraźniejsze.

Włączył mikrofon i stuknął w niego palcem, a potem poprawił niewielką słuchawkę zawieszoną na uchu.

– Działa – usłyszał cichy i zniekształcony męski głos.

Wyprostował plecy.

– Jak się pani nazywa? – spytał raz jeszcze z nadzieją, że tym razem pójdzie łatwiej.

Kobieta milczała.

Sekundy mijały, cisza drażniła tak, jakby wwiercała się w ciało. Ale mężczyzna nauczył się czekać. Zamknął oczy i liczył każde miarowe bicie swojego serca. Miał czas.

Miał naprawdę sporo czasu.

Podniósł powieki i ponownie spojrzał na tę piękną blondynkę, która właśnie splótła dłonie na blacie, a po chwili wciągnęła powietrze w płuca.

– Nazywam się Agata Bener...

## Poniedziałek

*13 lutego 2017 roku*

Bener wypił połowę duszkiem i złapał oddech. Stał teraz w oknie redakcji na Rubinkowie i patrzył na zwały śniegu pokrywające samochody na parkingu i drogę, po której snuł się smętnie autobus komunikacji miejskiej.

– To jak? Pisać o tym? – usłyszał głos Rafała Grosza, którego zatrudnił w listopadzie na staż. Pensję przez pół roku zapewniał urząd pracy, a za frycowe od początku płacił Bener. Po pół roku dalej będzie płacił frycowe, ale do tego dojdzie jeszcze pensja, którą będzie wykładał już z własnej kieszeni. Jeśli chodzi o rozwiązywanie problemów kadrowych zasłużył na miano naczelnego roku. Cieszył się na tę długofalową współpracę z Groszem jak cholera. Młodziak ukończył studium dziennikarskie, jednak bolesna prawda wyglądała tak, że Grosz nie umiał pisać za grosz.

– O czym ma być ten artykuł? O planowanych na wiosnę remontach dróg? – Bener wskazał za okno i zakpił: – Grosz, dobrze się czujesz? Czy ty się, kurwa, teleportowałeś z domu do redakcji, czy jednak ujebałeś kamasze w tym białym gównie, jak wszyscy dziś, co?

Grosz nie odpowiedział, tylko zamknął się w sobie i nie odrywał wzroku od monitora, tak jak Bener od tego, co się działo na zewnątrz.

– Ktoś inny ma lepsze pomysły? Spadły nam dwa czołówkowe tematy, więc wypadaloby wysilić mózgownice, nie? Wiem, że jest poniedziałek, że zima, że źle i do piątku daleko, ale może łaskawie wykrzesalibyście z siebie ciut więcej, co? Justyna, Leszek? – spytał pozostałą dwójkę, ale kiedy ci milczeli, odwrócił się wreszcie do całego zespołu redakcyjnego.

Zespół – to brzmiało dumnie. A to, co miał przed sobą Bener, bardziej przypominało zespolik chałturników.

Nikt się nie odezwał. Bener sarknął, po czym zrezygnowany wzruszył ramionami i przeszedł do swojego gabinetu. Tak, niedawno zdecydował się na drobny remont w redakcji i wytyczenie własnej przestrzeni, z dala od matolów, z którymi współpracował. Nie zaliczał do nich Leszka i Raka, ale ten drugi jeszcze nie dotarł do redakcji.

Grosz był wysoki i chudy, Justyna Bajka nie wyróżniała się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć farbowanych na różowo, kręconych włosów oraz kolorowych tatuaży, które wypelzały spod mankietów bluzki na jej szczupłe dłonie. Oboje mieli po dwadzieścia trzy lata, studiowali coś zaocznie, ale Bener nie pamiętał co. Wiedział jedynie, że nad ich tekstami spędzał sporo czasu, zanim nadawały się do druku. Bajce umowa kończyła się w lutym i musiały się upić, żeby ją przedłużyć.

Natomiast Leszek Hermion był przed trzydziestką i miał już doświadczenie wyniesione z redakcji toruńskich gazet. Przykładał się do roboty, orłem jeszcze nie był, ale swoje robił. Umiał wykrzesać z siebie więcej i Bener to doceniał. Patrzył właśnie na tego krótko ostrzyżonego, niewysokiego blondyna w okularach, który od lat trenował kulturystykę i który pewnie tylko dlatego chodził w obcisłych T-shirtach, żeby było widać jego umięśnioną klatę z wiecznie sterczącymi sutkami i ukształtowanym na ławce treningowej sześciopakiem. Popołudniami dorabiał jako trener na siłowni w Plazie. Zachęcał nawet Benera, ale ten przekładał treningi z miesiąca na miesiąc. Nawet w swojej piwniczce, w której dawno temu nieżyjący już dziadek urządził Benerowi siłownię i bokserską salkę treningową w jednym, dziennikarz nie spędzał ostatnio ani chwili.

Grosz i Bajka byli dla niego prawdziwym utrapieniem. Hermion natomiast pozytywnie go zaskakiwał, więc wiązał z nim nadzieję na dobrą współpracę.

Upłynęło dziesięć minut, ale nikt z zespołu nie ruszył dupska z fotela. Wszyscy natomiast gorączkowo przerzucali bieżące wydania gazet i przeglądali strony informacyjne portali internetowych.

Bener wstał, przeszedł do okna i obserwował pokryty bielą fragment największej toruńskiej sypialni. Sięgnął po komórkę i skontaktował się ze Stemperską. Przekazał, że chce przygotować materiał



o zaginięciu Jana do kolejnego numeru „Echa Torunia” i dlatego potrzebuje jej zdjęcia.

– Przyjedzie do pani mój fotoreporter, Radosław Rak, który przy okazji dostarczy obiecane plakaty – poinformował ją Bener, po czym opowiedział o swoich planach i czekających go rozmowach z osobami, które znały Stem-perskiego. Obiecał skontaktować się, gdy tylko ustali coś ciekawego, po czym się rozłączył.

Fotoreporter brnął dziarsko przez śnieg, kiedy podeszła do niego Zuza. Bener rozpoznał nową dziewczynę Raka po różowej czapce i szaliku, a także po białej kurtce. Radek stanął jak wryty, co dla Benera było sporym zaskoczeniem. Żadnego powitalnego buziaka, żadnych serdecznych gestów. Wręcz przeciwnie, zimowa aura udzieliła się obojgu. Zuza wymachiwała gwałtownie rękoma, a Rak spuścił głowę. W końcu popchnęła go, a fotoreporter prawie upadł. Kiedy odzyskał równowagę, Zuza odwróciła się na pięcie i odeszła sprężystym krokiem.

Po chwili Rak podniósł wzrok i dostrzegł w oknie swojego szefa.

Bener poczuł się jak podglądacz. Skinął przyjacielowi głową i wrócił za biurko.

Potem wrócił do woźnego i uściśnął mu dłoń, dając tym samym chwilę wytchnienia od ciężkiej, fizycznej roboty. Mężczyzna oparł się o rękojęść szypy.

– Pan to masz roboty od chuja i ciut, ciut, nie? Sypie tym gównem i sypie – zaczął Bener, mistrz empatii.

Mężczyzna pokiwał głową i jakby się zawstydził.

– Ja tam wolę na świeżym powietrzu. Lepsze to niż tam, z tymi dziećmi, panie. – Wskazał na budynek szkoły.

– Wcale się nie dziwię – odpowiedział Bener i zamilkł.

– Szef jest pewnie u siebie, można iść – zachęcił woźny, który ściągnął kaszkiet i przetarł spocone czoło.

– Chciałem porozmawiać o Janie Stemperskim. – Bener uważnie obserwował swojego rozmówcę. – Znał go pan?

– Tyle, o ile.

– Czyli?

– No normalnie, jak każdego nauczyciela. Tylko że ten Stemperski to raczej był cichy, taki spokojny. Właściwie – przymrużył oczy – to chyba nigdy z nim kilku zdań nawet nie zamieniłem. Owszem, kłanialiśmy się sobie, „dzień dobry” i „do widzenia” zawsze było. I to w zasadzie wszystko.

– A trzymał się bliżej z kimś z kadry nauczycielskiej?

Woźny zaczął rozbijać obcasem śnieżną pokrywę, która odpadała od kostki grubymi płatami, jakby lodolamacz wpłynął na zamarznąłą rzekę.

– Nie umiem panu powiedzieć.

– A czy w piątek przyjechał tu samochodem?

– On samochodem? Ależ skąd! Przecież mieszka tu niedaleko. – Woźny odwrócił się w stronę ulicy i ręką wskazał na pobliskie bloki.

– Wiem, ale tak się tylko zastanawiałem. Myślałem, że może po pracy miał coś na szybko do załatwienia i...

– Nie, nie. Nie wyglądało, żeby się spieszył. Po prostu szedł spokojnie spacerkiem.

– W stronę domu?

Woźny drgnął.

– Właściwie to nie...

– Nie?

– Nie odbił w prawo do domu, tylko poszedł w lewo, tam, skąd pan przyjechał. Może do sklepu się wybierał?

– A wracał?

– Nie wiem tego, bo kończyłem robotę. Dziś pierwszy dzień po feriach, więc sam pan rozumie... Bener rozumiał.

Podziękował za rozmowę i ruszył do wejścia. Szarpnął drzwi, a potem otrzepał buty, ale lepki

śnieg i tak pozostał na grubych podeszwach wysokich butów.

– Przepraszam, że mam tak mało czasu, ale jesteśmy na rozruchu po feriach, sam pan rozumie – stwierdził Ryszard Barycz, przeżuwając ostatni kęs ciastka.

Usiedli przy okrągłym stole na prostych krzesłach ustawionych w rogu przestronnego gabinetu utrzymanego w tonacjach zieleni. Duże liście gęsto ustawionych na parapecie kwiatów doniczkowych zasłaniały okno. Panował tu półmrok, ale mimo to dyrektor nie włączył światła.

Bener wyjaśnił, że zajmuje się zaginięciem Stem-per-skiego na prośbę jego żony. Dyrektor słuchał, ale trudno mu było oderwać wzrok od talerzyka ze słodyczami. W końcu sięgnął po kolejny wafelek.

– Od rana nic nie jadłem – stwierdził, wkładając do ust chrupiące ciastko. Drugą ręką zachęcił Benera do poczęstowania się. Redaktor odmówił.

– Jak ocenia pan Jana Stemperskiego? – spytał Bener.

– Jako nauczyciela w zasadzie bez zarzutu. Nauczycielem na pewno był dobrym, spokojnym i stonowanym, miał cierpliwość do dzieciaków, a jednocześnie nie dawał wejść sobie na głowę. – Barycz strzepnął z marynarki okruchy. – Natomiast gorzej mu się wiodło w pokoju nauczycielskim.

– Podobno trzymał się tylko z wuefistą?

– Skąd pan to wie?

– Wiem sporo.

– Skoro tak, to czego pan ode mnie oczekuje?

– Prawdy.

Dyrektor podrapał się po policzku.

– Właściwie nie miał tu bliższych znajomych, nie licząc wuefisty. Był zamknięty w sobie, ot co. To znaczy jest zamknięty w sobie, bo przecież żyje. Przynajmniej taką miejmy nadzieję.

Bener nie zamierzał wdawać się w dywagacje na ten temat, więc zadał kolejne pytanie.

– A czy w jego zachowaniu było cokolwiek, co wydało się panu dziwne? Pytam właściwie o to, czy Stemperski zmienił się w ostatnim czasie.

Dyrektor znowu spojrzął na talerzyk, ale tym razem sięgnął po śliwkę w czekoladzie i odwinął ją z papierka. Potem jakby zważył ją w dłoni i przyglądał się jej z bliska.

– Tak – odparł.

Bener czekał na dalszy ciąg tej wypowiedzi, ale Barycz władował sobie do ust całą śliwę i zaczął ją przeżuwać. Dał znak dłonią, że za chwilę się wypowie.

W tym czasie dziennikarz zerknął w swoje skąpe notatki. Powoli tracił nadzieję, że w tym gabinecie zrobi ich więcej.

– No więc Jan – Barycz zaczął prostować i nawijać na palec papierek – mówię tak, bo byliśmy po imieniu, w trakcie ferii zupełnie zmarkotniał, jakby dźwigał na barkach ciężar tego gmachu. Był trochę nieprzytomny, nieobecny.

– Podobno dociążył go pan obowiązkami?

Dyrektor uśmiechnął się zjadliwie.

– Jego żona tak mówiła?

– Nie, ktoś z pokoju nauczycielskiego. Toruń jest małym miastem. – Bener nie znał żadnego nauczyciela w tej szkole, ale musiał skłamać, żeby Barycz nie próbował go wykiwać.

– Być może miał sporo obowiązków, ale tak to bywa – usprawiedliwiał się dyrektor. – Zawsze na nowych pracowników spada trochę więcej roboty. W szkole to normalne. W każdym razie Janek papierologię związaną z zakończonym semestrem oddał w terminie, ogarnął też stronę internetową, przygotował plan zajęć półkolonii zimowych. Wszystko poszło gładko, ale... – Barycz wziął do ręki kolejną śliwkę – ...ale jedno zawałił.

– Co takiego?

– We wtorek albo w środę, już nie pamiętam, nie przyszedł do szkoły. No na te półkolonie. Zadzwoił i stwierdził, że nie może, że musi się opiekować matką. Mieliliśmy wtedy młyn, bo nauczyciel rezerwowo wziął L4.

– Jak sobie poradziliście?

Barycz podniósł obie dłonie.

– Tymi rękami – zaśmiał się dyrektor. – No poszedłem za niego, zwyczajnie. Przecież ja nie tylko za biurko się nadaję, panie redaktorze. Tego dnia był zaplanowany turniej piłki nożnej, więc ja bym sobie nie dał rady? Ja, który jako szczył grałem w reprezentacji mojej szkoły? Wie pan, że zostałem wtedy królem strzelców? Normalnie jak Lewandowski!

Bener pokiwał głową i starał się uśmiechnąć, gdy dyrektor kontynuował:

– No ale do rzeczy. Nie miałem o to żalu do Janka, w końcu każdemu może się zdarzyć. Tym bardziej że wcześniej mu się to nigdy nie przytrafiło. Ani razu w roku szkolnym się nie spóźnił, chorobowych też nie nadużywał, a że miał problemy z matką, o czym wiedziałem, to zawsze uprzedzał, kiedy planował jakieś wolne.

– Może pan ustalić co to był za dzień?

– Jasne. – Dyrektor wstał, zabrał dwa wafelki i przeszedł do swojego biurka. Tam schrupał je szybko w trakcie przeglądania papierzysk. – Wtorek. – Sypnął okruskami i natychmiast przyłożył rękę do ust, przelknął. – Zdecydowanie był to wtorek.

– Czy Stemperski wyjaśnił jakoś swoją nieobecność? – Bener odnotował datę w notesie.

– Tak jak mówiłem, chodziło o opiekę nad matką. – Ponownie usiadłszy wygodnie w fotelu, Barycz wyprostował plecy.

– Rozumiem, ale czy wyjaśnił to jakoś konkretniej? Bo jego matką opiekuje się kilka osób.

– Nie. Albo po prostu nie pamiętam.

Bener podziękował za rozmowę, zostawił wizytówkę i zapytał, czy wuefista, z którym Stemperski utrzymywał koleżeńskie kontakty, prowadzi obecnie lekcje. Barycz zerknął na zegarek i zaprzeczył, więc Bener poprosił o numer do nauczyciela. Dyrektor włożył ostatnie ciastko do ust i przytrzymał je w zębach, po czym sięgnął po komórkę. Kiedy odszukał odpowiedni kontakt, obrócił telefon wyświetlaczem w stronę Benera, tak by ten zanotował dane.

Pożegnali się i po chwili Bener znów znalazł się na zewnątrz. Podciągnął zamek kurtki pod samą szyję i schował ręce w kieszenie. Wraz z nadejściem północnego wiatru, który niósł gęste opady śniegu, mróz zaczął dawać się we znaki.

– O! Jest pan wreszcie! Tak sobie przypomniałem, że wtedy...

Redaktor odwrócił się zaskoczony.

– Że wtedy Stemperski, no wie pan, w ten piątek, to spotkał się z naszym wuefistą. – Woźny trzymał w rękach szufłę do odśnieżania. Zielony plastik był popękany i zniszczony od ciągłego szorowania po kostce brukowej i asfalcie. – Mateusz Puchalski, czekał na niego przy rondzie.

– Stał tam?

– Nie, samochodem podjechał. Rozpoznałem jego audi.

– Dziękuję za pomoc.

– Niech pan znajdzie tego Stemperskiego. Mruk był, ale przynajmniej dzieciaki go lubiły. Nie to, co tego bufona Puchalskiego.

Mężczyzna odebrał po drugim sygnale. Nie ukrywał zaskoczenia, że jego bratowa zaangażowała do sprawy dziennikarza. Nie robił jednak kłopotów ze spotkaniem, tylko od razu zaprosił do siebie. Bener przejechał kilka kilometrów na wschód, na toruńskie Stawki, do nowego bloku przy Łódzkiej, którego elewacja kusiała drewnianymi akcentami. Gdy zatrzymał się przy bramie wjazdowej, ta niemal natychmiast odsunęła się w bok i Bener mógł zaparkować na odśnieżonym placu przed zjazdem do podziemnych garaży.

Pochylony, stawiając opór świszczącemu wiatrowi, dotarł do klatki schodowej. Potem było już łatwiej.

Piotr Stemperski przywitał go w otwartych drzwiach. Bener wszedł do nowocześnie urządzonego, obszernego i dwukondygnacyjnego mieszkania, o czym świadczyły kręcone schody ze stopnicami z brązowego marmuru. Stemperski nie wymagał, żeby dziennikarz ściągnął buty. Zaprosił go do jadalni wytyczonej między otwartą kuchnią a salonem i zaoferował kawę. Bener odmówił, ale musiał

poczekać, aż gospodarz naleje sobie espresso. Mężczyzna postawił mikroskopijną, jakby wyjętą z domku dla lalek, filiżankę, a obok szklankę z wodą.

Kiedy Stemperski krzątał się po kuchni, Bener bacznie go obserwował. Bracia byli do siebie podobni, różnił ich jedynie wzrost. Piotr był o głowę niższy i tęższy.

– Nadal nic nie wiadomo? – zaczął Stemperski.

Bener nie wiedział, co odpowiedzieć. Właściwie mógłby zadać to samo pytanie gospodarzowi. Zamiast tego rozłożył notatnik i w górnym rogu kartki zapisał drukowanymi literami imię rozmówcy, a w nawiasie dodał słowo „brat”. Wyjaśnił cel wizyty i opowiedział, że zajmuje się poszukiwaniem Jana Stemperskiego na prośbę jego żony. Nie wspomniał, że znali się z zaginionym wcześniej, nie miało to teraz żadnego znaczenia.

– Kiedy panowie widzieli się ostatni raz? – zapytał Bener.

– W czwartek.

– Gdzie?

– Ostatni raz to w jego garażu, oddawałem mu samochód.

– Pożyczył pan od brata samochód?

Mężczyzna potwierdził.

– Mój mercedes ma napęd na tył, więc przy takiej pogodzie sobie nie pojeżdżę. A tamtego dnia miałem zaplanowany kurs do Bydgoszczy, do Ikei po regał do pokoju młodszej córki. No i brat się zgodził pożyczyć swoje berlingo.

– O której się spotkaliście?

– Najpierw rano, przed jego pracą, a potem wieczorem. Przyjechałem tu jego samochodem, złożyłem mebel i przed kolacją odstawiłem wóz.

– Brat nie zaoferował podwózki?

Stemperski zerknął Benerowi w oczy.

– Powiedziała panu? – westchnął gospodarz.

– Co takiego?

– Że... – Stemperski znowu utopił wzrok w czarnej kawie, która wciąż nietknięta parowała na stole.

– Że widziała nas z okna, jak się trochę posprzecaliśmy.

– Trochę? – Bener zaryzykował, licząc na to, że sprowokuje gospodarza do dłuższego wywodu. Ten rozłożył ręce.

– To się zdarza przecież. Janek miał zresztą powód. Bo widzi pan, on to swoje berlingo traktuje niemal jak re-likwię. Dba o niego, pucuje, sprząta i odkurza. Dziwię się, że wsiadając, nie zostawia butów na zewnątrz.

Bener uśmiechnął się, czym zyskał sympatię gospodarza. Stemperski kontynuował więc ochotczo:

– No w każdym razie pięści ten wóz stale, a ja go w tej Bydgoszczy zarysowałem trochę. Nic takiego, no taka mała ryska na tylnym zderzaku. – Stemperski wskazał jej długość palcami. – Ale Janek się wściekł, mówił, że chce go sprzedać, że dał już ogłoszenie i że wyjdzie przed ludźmi na hochsztaplera i oszusta, bo wszyscy tę rysę od razu zobaczą, a na zdjęciach jej nie ma. Powiedziałem, że kupię mu nowy zderzak albo oddam pieniądze, ale to go jeszcze bardziej rozzłościło. Machnąłem ręką, pomyślałem, że zadzwonię do niego, gdy ochłonie, bo wtedy, w czwartek, nie udało nam się nic ustalić. Wróciłem więc do domu taksówką.

– A w piątek nie dzwonił do pana?

– Ani on nie dzwonił do mnie, ani ja do niego. Miałem urwanie głowy w pracy. Sporo nowych kontraktów.

– A gdzie pan pracuje?

– Prowadzę własny biznes. Branża transportowa, tiry, te sprawy. Obsługujemy kilku toruńskich eksporterów, jeździmy po Europie i daleko za Ural.

– Pan też? – Bener zapytał z ciekawości.

– Teraz to już rzadko, od czasu, jak mi się druga córka urodziła, to powiem szczerze, że

kierownicę zawiesiłem na kołku. Ale już gdzieś pod skórą czuję głód dalekiej trasy.

Bener zauważył, jak oczy Stemperskiego nabrały wyrazu, zaszklity się nieco.

– Już bym sobie gdzieś śmignął, na przykład takim najnowszym volvo fh16. Siedział pan kiedyś w takiej maszynie? – spytał dziennikarza, który od razu zaprzeczył. – Nic straconego. Niech pan wpadnie do mnie do firmy, to się przejedziemy. Tego nie da się porównać z niczym, każdy samochód, nawet najlepsza osobówka, nijak się ma do takiego konia.

Bener zorientował się, że tak nazywają w slangu ciągniki siodłowe.

– A we wtorek co się wydarzyło?

Stemperski wreszcie upił łyk espresso.

– A co się miało wydarzyć?

– Podobno pana brat został w domu, żeby opiekować się matką.

– Być może.

– Tylko tyle?

– We wtorki ani moja żona, ani ja nie opiekujemy się mamą.

– Nie?

Stemperski zaprzeczył.

– W ten dzień przychodzi wolontariuszka z domu opieki.

– Kazała pana przeprosić – odezwał się biznesmen. – Zapomniała panu o niej powiedzieć. Ale niech się pan nie złości, to wina stresu. Wszyscy błądzimy jak we mgle.

Bener podniósł się z krzesła. Wyjął wizytówkę i położył ją na nieskazitelnie białym blacie stołu w jadalni. Potem dotarł do drzwi wyjściowych i złapał za klamkę.

– Ma pan pomysł, gdzie może być pana brat? – odwrócił się do Stemperskiego.

– Od piątku o niczym innym nie myślę.

– Gdyby pan sobie coś przypomniał, to proszę...

– Jasne, wiadomo. Będziemy w kontakcie.

– A, i jeszcze jedno. Czy poda mi pan numer do swojej żony? Z nią też chciałbym porozmawiać.

Stemperski przesunął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach i wydał policzki. Kiedy wypuścił z nich powietrze, przedyktował ciąg cyfr, które Bener wbił do telefonu, bo notatnik wcześniej spakował do plecaka.

– Tylko... Mam jedną prośbę – zaczął nieśmiało gospodarz. – Niech pan nic nie mówi żonie o tym nieszczęsnym zderzaku, dobra?

– Czy ona też kochała to berlingo? – zażartował Bener.

Stemperski się uśmiechnął.

– Prosiła mnie, żebym nie zwracał Jankowi głowy, tylko zamówił transport jak człowiek. I ja jej powiedziałem, że tak zrobię.

– Skłamał pan?

– A co to za kłamstwo? Przecież taniej wyszło przejechać się citroënem, a ja z natury jestem oszczędny. To jak? Mogę liczyć na pana?

– Jasne – zgodził się Bener i puścił do gospodarza oko. Zastanawiał się tylko, po co facet posiadający firmę transportową pożyczka wóz od brata. Powinien się temu przyjrzeć.

– To wszystko? – spytał fotoreporter. – Nic więcej nie masz do powiedzenia?

– Zrób to, proszę – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To sprawa z jego bratem wypaliła? Zajmujemy się tym?

– Tak. Od wczoraj.

– A co z zaginięciem Michała Waltera z października? – spytał szczerze zdziwiony fotoreporter. – Olewamy?

– Nigdy niczego nie olewamy. – Bener nie rozumiał, dlaczego Rak zamierza podnieść mu ciśnienie właśnie w tej chwili. Znał przyczynę rozdrażnienia fotoreportera, chodziło zapewne o sprzeczkę z dziewczyną, ale to nie był powód, by Rak wyładowywał frustrację na Benerze. – W poprzednim numerze zamieściliśmy o nim tekst, który nie spowodował lawiny telefonów do redakcji, i

tego akurat nie muszę ci przypominać. Nawet Facebook milczy, komentarze w grupie zupełnie ucichły. Po prostu na razie wyczerpaliśmy wszystkie tropy.

– I powiesz to jego matce?

Bener zaczął oddychać szybciej. Sapnął coś i już miał skląć Raka, żeby dał sobie spokój i przestał odgrywać się na nim za własne sercowe niepowodzenia, jednak i tym razem zdołał się opanować.

– Być może nie zrozumiałeś, więc powtórzę: niczego nie olewamy. Nie kończymy poszukiwań, ale nie mamy żadnych nowych śladów.

– A gdyby pojawił się nowy trop?

Redaktor wreszcie zrozumiał, do czego pije Rak. Jego słowa wybrzmiały w głowie Benera jak dźwięk dzwonu. Chodziło mu o zdjęcie Agaty.

– Zrób to, o co proszę – wycedził wolno dziennikarz, niemal sylabizując. Potem szybko się rozłączył, a następnie rzucił słuchawką na fotel pasażera.

– I odpierdol się ode mnie!

Zapatrzył się w gęste, szare obłoki, z których jak mąka z sita prószył gęsty śnieg. Myślał, że ten widok go uspokoi, a mimo to puls nie zwalniał.

– Co wy tu robicie, Borowiak? – rzucił dla żartu.

Odwróciła się, ale nie zatrzymała. Jej falujące, kasztanowe włosy zakołysały się lekko, nieznacznie się uśmiechnęła. Dawno nie widział jej tak spiętej.

– Zjebał mnie jak burą sukę pod płótem. Czepiał się moich kwalifikacji i stwierdził, że jeśli tak dalej pójdzie, to będę mogła mu jedynie parzyć kawę.

Zagęścił kroki, bo Dorota przyspieszyła.

– Chwilunia – poprosił, ale nie czekała. Minęła główny hol i skierowała się w stronę wind znajdujących się za lobby i recepcją. Gdy do nich doszła, kilkakrotnie nacisnęła przycisk przywołujący dźwig.

– No szybciej! – warknęła.

– Czekaj, czekaj... Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jednak trafiłaś pod skrzydła Zdziarskiego, co? – zapytał.

Spojrzał w jej błyszczące oczy, obserwował mikroruchy gałek ocznych, napięcie mięśni i to, jak przygryzała policzek.

– Nie miałam wyjścia – syknęła. – Prezydent połączył jednostki. Mogłam wrócić do mediów albo zabrać się za rzecznikowanie u Zdziarskiego.

– Przecież ta kanalia cię wykończy. Ostrzegałem cię.

– Fakt, ostrzegałeś. – Borowiak wpatrywała się we wciąż zasunięte stalowe drzwi. – I co? Teraz ci z tym lepiej?

Winda oznajmiła przyjazd delikatnym dźwiękiem. Po-cze-kali, aż wyjdą z niej ludzie, po czym wsiedli i ruszyli na drugie piętro.

– Przecież mógłbym ci pomóc, mogłabyś popracować u mnie, za chwilę zwolni mi się etat.

– Ile u ciebie zarobię, dwa tysiące? U Zdziarskiego mam przynajmniej trzy i pół – prychnęła. – Córka w pierwszej klasie podstawówki, czynsz i rata za mieszkanie. Jak miałabym się utrzymać, co? Jak przeżyć?

– Zdziarski to ostatni skurwiol. Zajmuję się właśnie poszukiwaniem jednego z jego byłych pracowników. Zmaltretowanego, wykończonego psychicznie człowieka, mimo że od spotkania ze Zdziarskim upłynęło kilka lat.

– Przestań...

– Właściwie to nie szukam człowieka. Szukam trupa, rozumiesz?

– Przestań! – ryknęła.

Drzwi się rozsunęły.

– Pani Dorotko, proszę o ten piękny uśmiech. Kamery patrzą na panią! Na pewno skradnie pani moje show – rzekł czarującym głosem i spojrzał na Benera. – Dzień dobry, panie redaktorze!

Zdziarski wyciągnął wreszcie rękę na powitanie. Redak-tor, mimo wątpliwości, ucisnął ją, a szef

Biura Inicjatyw Kulturalnych przytrzymał dłoń Benera dłużej w mocnym uścisku.

– Dawno pana nie widziałem! – zagaił radośnie urzędnik.

Bener wpatrywał się w twarz niższego od siebie faceta z krzaczastymi, siwymi brwiami. Wokół wąskich jak kreska ust układała się delikatna pajęczyna zmarszczek.

– Tęsknił pan?

Zdziarski odchylił głowę i zaśmiał się sztucznie, ale przynajmniej puścił rękę Benera. Kiedy skończył rechotać, spowaźniał w sekundę, jakby nagle maska serdeczności spadła i rozbiła się pod ich nogami.

– Tamta sprawa to już przeszłość. Zresztą w konfrontacji ze Stemperskim, to ja – popukał się energicznie palcem w klatkę piersiową – byłem jego ofiarą! Przecież to ja...

– To prawda – przerwał mu Bener, a dostrzegłszy błysk radości w oku Alfreda Zdziarskiego, uśmiechnął się przyjaźnie. – Ofiara to stan umysłu. Tylko słabi gnębią innych, żeby siebie dowartościować. A ty, gnoju, zdaje się, robisz to codziennie.

Zdziarski pobladł, a następnie – wezbrała w nim fala furii, ale nie zdążyła już nikogo osiągnąć. Bener wyminał go i wszedł do sali konferencyjnej.

Zdaniem Benera musiał się umówić z kimś wcześniej, i to właśnie tego kogoś szukał na rynku, po to zatrzymał się na rogu i zaczął się rozglądać. Dalej można było już tylko snuć domysły. Ona albo on nie pojawili się w umówionym miejscu, więc Walter ruszył pod znany sobie adres na najbliższe osiedle mieszkaniowe w pobliżu starówki.

Droga, chociaż w samym sercu miasta, prowadziła przez niewielki, ale słabo oświetlony park. Czy młody mężczyzna dotarł gdzieś dalej? A może na pobliskim parkingu wsiadł do czyjegoś samochodu? Być może wziął taksówkę? Na razie nikt nie znał odpowiedzi na te pytania.

Zanim Bener złożył gazetę, przyjrzał się twarzy zaginionego. Bujne włosy modnie zaczesane do tyłu, gęste, ciemne brwi stykające się ze sobą, silna, kwadratowa szczęka, nieco wklęsłe policzki, pełne usta.

Mimo wysiłku włożonego w jego poszukiwania nie posunęli się z Rakiem o krok.

Bener pamiętał, jak w październiku odwiedził ten warsztat w Lubiczu, jak po kolei rozmawiał z właścicielem i ze wszystkimi pracownikami. Firma z jednego blaszaka w pobliżu zjazdu do należącej do Toruńskich Wodociągów przepompowni ujęcia wody na Drwęcy rozwinęła się do trzystanowiskowego, murowanego serwisu. Mechanika, elektromechanika, blacharka. Blaszaka właściciel nie rozebrał. Starą nawierzchnię w garażu wyłożył kostką, która po czasie zapadała się nieznacznie w środku, w miejscu, w którym wcześniej znajdował się zasypany kanał. Teraz nie był już nikomu potrzebny, bo na środku stanął nowy, zakupiony z unijnej kasy przeznaczony na rozwój wsi, podnośnik hydrauliczny: dwie niebieskie szyny zamontowane poprzecznie do najazdu, które unosiły właśnie stare punto z przerdzewiałymi progami. Właściciel zorganizował tu dodatkowy etat i rozwinął biznes o łatanie dziurawych opon i sprzedaż zimówek.

Teren był obszerny. Za warsztatem rozciągała się otoczona siatką działka, gdzie gromadzono rozbite pojazdy.

Bener wrócił pamięcią do rozmowy z właścicielem o jego zaginionym pracowniku, ale ten niewiele był w stanie o nim powiedzieć, poza tym, że Walter był pierwszym zatrudnionym mechanikiem w warsztacie. Pracę dostał wiosną 2009 roku, najpierw na czarno, potem podobno już na etat. Na początku trzymali się blisko, a później, wraz z rozwojem firmy, właściciel skupił się na pracy i kolejnych zatrudnionych. I to oni rzucili Benerowi więcej światła na Waltera, bo to z kolegami z pracy Walter spędzał wolny czas.

– To pan przyjmował go do pracy? – Bener zwrócił się do młodego właściciela zakładu.

– Nie, ja jeszcze wtedy siedziałem w Norwegii i powiem panu szczerze, nie chciało mi się tu nawet wracać. Tam też pracowałem fizycznie przy wykończeniówce. Ciężka robota, ale przynajmniej wiedziałem, że czegoś się dorobię. A tu? Udręka za udręką. – Rozejrzał się po czystych wnętrzach zakładu.

– Nie narzekaj – zgasił go ojciec. – Tobie ciągle źle i ciągle tylko ta Norwegia i Norwegia.

Siedzieli w biurze we trójkę, Bener na wytartej skórzanej sofie, a właściciel za biurkiem. Przy drzwiach stał odwrócony do nich tyłem jego ojciec.

– To ja go zatrudniłem – odezwał się krzepki siedemdziesięcioletni mężczyzna o szerokich ramionach i nogach prostowanych na becze. – Wiedzieliśmy, że kiedy syn wróci, to trzeba będzie zwiększyć etat. Michał nie miał wtedy pracy i już wcześniej nam pomagał. Tak, na czarno.

– Ja nie kontrola skarbową – zażartował Bener.

– Całe szczęście. – Mężczyzna odwrócił się i spojrzał strapiiony najpierw na dziennikarza, a potem na syna. – Ciekawe, co mu się mogło stać? Policja coś ustaliła?

Bener wzruszył ramionami. Obaj wyglądali na poruszonych faktem zaginięcia młodego człowieka.

– Niech go pan odnajdzie – rzekł starszy z Balcerków i wyszedł na zewnątrz.

Michał Walter, przynajmniej tak wynikało z rozmów, był normalnym facetem, niespecjalnie lubił pić, ale zabierał się ze znajomymi jednym samochodem na piątkowe lub sobotnie imprezy w Toruniu. Najczęściej to on zbierał ekipę po nocnym chlaniu i rozwoził zwłoki do domu po całym Lubiczu. Ale nigdy się na to nie skarżył. Nie pił, jeśli już to małe piwo na początku imprezy, potem wyłącznie colę. Dużo coli, bo składali się na niego ci, których potem rozwoził. Bener pytał znajomych, czy Walter mógł poderwać dziewczynę w Toruniu i czy oni mogliby o tym nic nie wiedzieć. Zaprzeczyli. Walter nigdy nie odstępował ich na krok. Zawsze do każdego klubu chodzili razem i razem z niego wychodzili. Czasami z dziewczynami, ale te nie mieściły się już w samochodzie.

Bener nie miał żadnego punktu zaczepienia. Zastana-wiał się, czy zadzwonić do rodziców mechanika i zapytać ich o ewentualne nowe sygnały po ukazaniu się artykułu. Wyszukał ich numer w komórce i już miał się połączyć, gdy drzwi do gabinetu się uchyliły, a w szczelinie ukazała się twarz Leszka Hermiona, który przed kwadransiem pojawił się w redakcji. Bener widział kątem oka, jak Hermion wieszał kurtkę na haku przy drzwiach wejściowych.

– Słuchaj, Marek, rano dzwoniła do ciebie matka tego zaginionego z Lubicza. Prosiła, żebyś oddzwonił.

O wilku mowa.

– Mówiła, w jakiej sprawie?

– Nie, prosiła tylko o kontakt.

– Przecież ma mój numer telefonu.

Hermion uniósł brwi.

– Coś jeszcze? – dopytał Bener.

– Policja informuje o gwałcie na trzydziestoletniej kobiecie.

– Złapali sprawcę?

– Nie. Proszą media o pomoc.

– Jest poniedziałek. – Bener spojrzał na Hermiona. – Numer zamkniemy w czwartek, a gazeta ukaze się w piątek.

Leszek pokiwał głową, wiedział to wszystko i wiedział, do czego zmierza Bener.

– Będę miał to na oku. Jeśli wyskoczy coś nowego, dam znać. Zaplanuję to na drugą stronę, ale będę miał materiał zastępczy.

– Brawo. – Bener posłał mu uśmiech.

Hermion odwzajemnił go, a następnie otworzył drzwi szerzej, podszedł do biurka szefa i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Bener miał wrażenie, że ruch jest przeciwiczony, gdyż obcisła koszulka zdradzała każde drgnienie napinanych kolejno mięśni Hermiona. Zaczęło się od bicepsa, a skończyło na skośnych brzucha i sześciopaku. Dzięki Hermionowi Bener anatomię miał w małym palcu, czuł się jak sędzia na zawodach kulturystycznych.

– Dla ciebie. Mieliśmy kilka do rozdania wśród VIP-ów. – Hermion podał Markowi połyskująca kartę magnetyczną.

Naczelny zagwizdał.

– Nie no, stary, czuję się wyróżniony! – Wstał i uściśnął rękę podwładnego. – To co, kiedy



zaczynamy?

– Karnet jest ważny do końca marca. – Hermion skinął lekko głową i podszedł pod drzwi. – Ale zacznij jeszcze dziś.

– No jasne. Teraz już nie mam wyjścia.

– W klubie spytaj o Tigera, on weźmie cię w obroty.

– Zaraz! Myślałem, że razem wyskoczymy.

– Nie, tak będzie lepiej. Uwierz.

Bener spojrział na kartę z logo siłowni oraz wizerunkiem hantli i nadnaturalnie wielkiego bicepsa, po czym podniósł ją w geście podziękowania.

Hermion uśmiechnął się i zamknął bezszelestnie drzwi.

Bener odłożył kartę, napiął swój zwiotczały biceps, który bez problemu objął dłonią, tak jakby złapał średniej wielkości jabłko.

– Ostatecznie liczy się to, co w głowie – odezwał się zde gustowany i sięgnął po komórkę, która rozbrzmiała głośną muzyką. – Co jest, Raku? – spytał, siłując się na normalny, pokojowy ton. Miał już dość dzisiejszych skoków adrenaliny. Zbyt często złość raziła mu synapsy.

– Piotr Stemperski.

– Co z nim? – spytał z rosnącym zainteresowaniem. Wiedział, że Rak nie zawracałby mu głowy błahostką.

– Sporo do gadania.

– No to mówże! – Rozsiadł się wygodnie.

– Nie teraz. Jadę za taksówką.

– To po chuj dzwonisz, skoro nie chcesz nic powiedzieć!

– Widzimy się później w biurze – zakończył Rak.

Bener odłożył aparat i spytał Boga, czemu wszystkich ludzi stworzył z gliny, tylko Raka akurat z gówna.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Przypadek?

Zanim naczelną „Echa Torunia” zdążył wybrać numer do matki zaginionego w październiku Michała Waltera, na ekranie komórki wyświetliło się połączenie od numeru prywatnego.

– Przepraszam, chciałem zadzwonić wcześniej, ale gnębi mnie zapalenie oskrzeli, psia krew, cholera jasna, nie wiem, jak długo to wytrzymam, bo antybiotyk w ogóle nie działa. – W słuchawce wybuchła kolejna salwa kaszlu. – Pierwszy raz mnie tak rozłożyło i wygląda na to, że batalia skończy się w szpitalu – stwierdził zdartym od kaszlu, zmęczonym głosem znajomy Jana Stemperskiego, wufista ze szkoły podstawowej na Podgórzu. – No ale niech pan pyta. Jeśli będę mniej gadał, to może to jakoś wytrzymam.

– Współczuję. Zajmę tylko chwilę. Jak pan zapewne wie, zaginął Jan Stemperski, pana kolega z pracy.

– Tak, kontaktowałem się nawet... – Mateusz Puchalski odkaszlnął i westchnął głęboko – ...z jego żoną. Podobno w piątek, tak?

Bener potwierdził.

– Tego dnia pojechaliście dokądś razem.

– A skąd... – Puchalski znowu zaniósł się od kaszlu.

– No niechże pan nie zaprzecza, tylko powie, co robiliście – jęknął zniesmaczony Bener.

– A skąd... pan to wie? – Tym razem nauczycielowi udało się dokończyć pytanie.

– Ktoś widział, jak podjechał pan po niego samochodem, więc proszę, ja też mam już dziś wszystkiego dość. Nie bawmy się w ciuciubabkę.

– Ależ nie zamierzam. Tak było, to prawda. Tego dnia czułem się jeszcze dobrze, ale miałem kilka spraw do załatwienia w centrum. Zgadałem się z Jankiem, bo kiedyś mówił, że chciał pojeździć po kilku autohausach i pooglądać używane samochody... – Po kolejnym ataku kaszlu Puchalski kontynuował: – Sam też lubię się od czasu do czasu przejechać i popatrzeć na ciekawe oferty, a że mój

znajomy prowadzi taki plac, to zaoferowałem Jankowi, żeby kupował z pewnego źródła, jeśli już. No i właśnie w piątek go tam zabrałem.

– Dokąd pojechaliście?

– Najpierw wpadłem do ZUS-u na Mickiewicza, a potem pojechaliśmy na Grudziądzką, koło Auchan.

Bener miał ochotę coś zanotować, ale zdobyte informacje w ogóle tego nie wymagały. Zamiast notatek ozdabiał dolny róg kartki różnorakimi wzorami, niektóre zamazywał, innym wyrysowywał jedynie kontury.

– Wybrał coś sobie? – odezwał się Bener.

– Spodobał mu się jeden peugeot, taki z dobrym wyposażeniem. – Mężczyzna zakasłał potężnie.

– Niech pan chwilkę poczeka, muszę napić się wody.

W słuchawce zapadła cisza, przerywana jedynie drobnym szmerem.

– O, już lepiej – odezwał się nauczyciel. – Ten peugeot faktycznie był dobrze wyposażony, z 2010 roku chyba, niebity, pierwszy lakier, niepalony w środku... – Kolejna seria kaszlu przerwała mu wywód. – I co ważne, od pierwszego właściciela z Belgii. Lakier sprawdziliśmy miernikiem. No i generalnie ten mój kumpel, co sprzedaje te wozy, to polecał bardzo to autko i obiecał przetrzymać je do przyszłego tygodnia. Czyli do najbliższego piątku.

– Dlaczego?

– No, żeby Janek zdążył pozbyć się francuza, tego swojego berlingo.

– A kolega nie chciał go wziąć w rozliczeniu? Podobno w znakomitym stanie...

– O tak, Janek o samochody dba lepiej niż o kobiety. Niestety ten handlarz... No on po prostu nie handluje samochodami starszymi niż dziesięcioletnie.

– A czy Stemperski miał już kupca?

– Tego to nie wiem, ale na takie wychuchane wozy zawsze jest branża. No. A potem podwiozłem go do domu, uścisnęliśmy sobie ręce i zostawiłem Jasia przy garażu.

Kto wie, może jednak Bener miał rację z tym trupem.

Obiecał sobie, że do garażu wjedzie później.

W biurze, które było urządzone w salonie, świeciło się światło. Mimo gęsto sypiącego śniegu Bener dojrzał przez żaluzje Raka pochylonego przy komputerze.

Od razu poprawił mu się nastrój, dlatego przeszedł do kuchni i sięgnął po piwo ze skrzynki ustawionej pod stołem oraz po umyty, pozostawiony na suszarce do naczyń rondel.

– Grzańca wypijesz?

– Nie, dzięki – usłyszał z pokoju.

– Nie, to nie – rzekł Bener do siebie. Odczekał chwilę, wpatrując się w pęcherzyki powietrza uwalniające się z dna rondla, w którym podgrzewał piwo. Poczł aromat napoju i już cieszył się na ten moment, kiedy gorący płyn rozgrzeje mu żołądek. Zanim piwo się podgrzało, zamówił dwie pizze z pobliskiej knajpy. Wieczór zapowiadał się dobrze.

Wszedł do salonu z kuflem i rozsiadł się przy swoim laptopie. Włączył sprzęt i spojrzał na Raka.

– Już, już – odpowiedział fotoreporter.

– Nic nie mówiłem.

Bener przejrzał pocztę i trafił na list od Leszka Hermiona.

– O kurwa – szepnął.

– Co się stało? – Rak przerwał pracę.

– Nie, nic, zapomniałem pomachać hantlami. Leszek dał mi karnet.

– Uuuu! Czyli będziesz pakował?

– Żeby tylko tobie nie zapakował – zażartował naczelny i kliknął w wiadomość od kolegi.

Dobry humor zaczął spieprzać w podskokach.

„Olałeś siłownię, Szefie, ale nie olewaj matki zaginionego”.

– No, kurwa mać! – Tym razem Bener nie zmuszał się do szeptu. Odchylił się na oparcie fotela i wyjął komórkę z kieszeni.

Matka Michała Waltera, mechanika z Lubicza, odebrała po piątym sygnale, kiedy Bener właściwie zamierzał się rozłączyć.

– Dziękuję, że pan zadzwonił – usłyszał znajomy głos i wyobraził sobie Barbarę Walter, jej słuszną figurę, kwadratową twarz i krótkie, lekko kręcone włosy. Michał był skórą zdjętą z matki.

Wyczuł drzenie w jej głosie. Do tej pory kobieta nie rozklejała się przy nim, tyle że kiedyś mógł wreszcie nadejść ten moment. Bener obstawił dziesięć do jednego, że uda jej się opanować. Gdyby postawił milion, byłby bogaty.

– Chodzi o to, że kręcił się tu jakiś dziwny typ...

Bener zastygł.

– To znaczy?

– Wypytywał sąsiadów o Michała.

– U was też był?

– I to jest najdziwniejsze, bo tutaj nie zajrzał.

– Czego chciał?

– Chyba porozmawiać z Michałem. Nie powiedział nic konkretnego, ale chciał mu coś przekazać.

– Widziała go pani?

– Nie, nie widziałam, sąsiedzi też nie byli w stanie go opisać, poza tym, że był mniej więcej pana wzrostu i też szczupły. Ale jest zima, miał czapkę, był ciepło ubrany. Twarz podobno owalna, a w tej twarzy nic specjalnego.

– Przedstawił się?

– Nie.

– A kiedy...

– Dopiero dziś sąsiadka odważyła mi się o tym powiedzieć. Myślała, że ten mężczyzna... Że to pan go przysłał, panie Marku.

– Ale kiedy to się stało?

– W zeszły piątek.

– O, zerknij na to. Tu zaczyna się jazda. Stemperski wchodzi do Bookinisty. Kojarzysz tę księgarnię w pawilonie Maciej?

Bener zaprzeczył.

– No ty, stary miłośnik kryminału, i nic? Przecież organizują tam spotkania z toruńskimi autorami kryminałów.

Bener przewrócił oczami i powstrzymał się przed prychnięciem. Toruńscy autorzy kryminałów – to brzmiało tak, jakby to byli co najmniej skamandryci.

– W każdym razie Stemperski kupił *Śliski interes* Ryszarda Ćwirleja. – kontynuował Rak.

– Błagam, wrzuc na ruszt jakieś mięso, do cholery – zaczął się niecierpliwić Bener.

– No już, już. Więc kupił tę książkę, zapakowali mu ładnie w papierową torebkę, taką jakby na prezent, i on wtedy szybko cyk na zewnątrz, widać było, że się spieszy. To i ja cyk. I wtedy zrobiłem mu – Rak zawiesił głos i załadował nowe zdjęcie – takie oto ładne cyk.

Bener gwizdnął i wziął łyk ciepłego piwa.

– Kto to jest? – zapytał, wpatrując się uważnie w ekran.

– Jadwiga Kowal, lat trzydzieści dwa, w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć dziewięćdziesiąt osiem kasjerka w kinie Orzeł. Obecnie kasjerka w Piotrze i Pawle na Broniewskiego, matka trójki dzieci. Najmłodszemu wczoraj wypadł pierwszy mleczny ząb. Dolna jedyńka. Prawa.

Bener położył rękę na ramieniu Raka i uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że kolega go wkręcił.

– Wylał ci ktoś kiedyś piwo na głowę? – spytał fotoreportera.

– Nie, ale skoro już o tym rozmawiamy, czy pamiętasz o akcji tego toruńskiego specja od browaru, tego naszego Tomasza Kopyry... No, jak mu tam było?

– Iwo. Iwo Jankowski.

– No właśnie, Iwo. Co on tam wylał na siebie?

– Trzy Kustosze. I chociaż zaczęło się od zgrywy, to jednak chodziło o pomoc dla dzieci z

plodowym zespołem alkoholowym, o czym już pewnie nie pamiętasz, a szkoda. Pisaliśmy o tym. Ale do brzegu, Raku, płyn do brzegu. Kim ona jest?

– Nie mam pojęcia. Co ciekawe, nie było żadnego buzi-buzi, łapania za rączkę. On odjechał, za to dziewczynę odprowadziłem do klatki pobliskiego wieżowca. Dyskretnie. Jutro zajmę się resztą – dodał Rak, odwracając się do swojego laptopa.

– Okej, ale najpierw weź się, proszę, za komputer zaginionego. Sprawdziłem go pobieżnie, wiem jednak, że ty zrobisz to lepiej.

Rak sięgnął po laptopa i schował go do swojej torby.

– Jasne, sprawdzę, ale dopiero jutro. Dziś – zerknął na zegarek – mam już spore spóźnienie.

Bener chciał coś powiedzieć, nawiązać do porannej kłótni Raka z dziewczyną, ale odpuścił. Nie znał jej dobrze, Rak nieczęsto zwierzał się ze spraw sercowych, Bener postanowił to uszanować.

Fotoreporter zawinął się szybko, po chwili Bener usłyszał zapuszczenie silnika i dostrzegł, jak punto odjechało sprzed domu, przejeżdżając tuż pod oknami salonu. Po chwili podjechał dostawca pizzy.

Bener dopił piwo i zjadł ciepły posiłek. Wrócił na fotel i zatopił się w myślach. Czas płynął szybciej, niż miały tryby jego umysłu. Gapił się w wyświetlony na ekranie plakat, na którym znajdowało się zdjęcie Stemperskiego.

I nagle wszystko zadziało się niemal jednocześnie. Dom zalała ciemność, Bener usłyszał przytłumiony brzdęk tłuczonego szkła. Dobiegł gdzieś z piwnicy. Wstał i po omacku zrobił dwa kroki w stronę drzwi prowadzących do niższej kondygnacji, ale wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Prosta melodia, przypominająca Benerowi muzykę z zegarka, który dostał na komunię.

Sięgnął po starą nokię, która wibrowała na biurku i przesuwiała się po nim w kierunku rantu. Wyświetlacz mrugał.

Bener wziął aparat do ręki.

– Halo – rzekł, gdy wcisnął zieloną słuchawkę.

– Trzeźwy?

– Mam tu awarię, więc mów, o co chodzi.

– Radzę ci zabrać się z domu dokądkolwiek. Pamiętasz, jak mówiłem ci, że są ludzie, którzy mają na ciebie oko?

– Pamiętam. – Bener, szurając stopami po podłodze, wybrał się jednak do kuchni po zapalki i świeczki, które trzymał w szafce nad zlewem. – O kim mowa?

– Nie namierzyłem ich. Wiem tylko, że im podpadłeś.

– Bzdury! – warknął.

– To nie są bzdury. Alien już po ciebie jedzie, ale wolałbym, żebyś spotkał się z nim na Orlenie.

– Szaman odchrząknął flegmę, słychać było, jak nią spluwa. W tle zawył wiatr. – W domu nie jesteś bezpieczny.

Benera przebiegł dreszcz, gdy tym razem z dołu dotarły dziwne szmery. Spróbował włączyć światło w kuchni, ale żarówka nawet nie mrugnęła. Musiało wywalić korki. Przytrzymał telefon ramieniem, żeby móc swobodnie sięgnąć po świecę i potrzeb zapalkę.

– Ktoś jest w domu – powiedział ciszej, niż zamierzył.

– A nie mówiłem! Spierdalaj! – syknął Szaman, po czym telefon zamilkł.

Bener zastygł i nasłuchiwał.

Cisza.

Chwycił długi nóż i ruszył najciszej, jak umiał, w stronę drzwi do piwnicy.

Kiedy do nich dotarł, szmery na dole wydawały się wyraźniejsze.

Nacisnął ostrożnie klamkę i pociągnął drzwi. Płomień świecy zadygotał. Bener poczuł zimny wiatr, który wił się dołem i muskał mu stopy. „Musieli wybić szybę”, pomyślał, chociaż nie wiedział, czemu wybrał liczbę mnogą.

Odstawił ogarek na podłogę, żeby uwolnić jedną rękę. Druga dłoń zaciskała się mocno na rękojeści ostrza.

Ruszył. Stopień za stopniem, powoli, znacznie wolniej niż rytm wybijany przez jego serce.

Pokonał zakręt i schodził w prawdziwą ciemność, w której w ostrzu noża nie odbijały się żadne świetlne refleksy.

Wszystko wokół ucichło. Bener słyszał jedynie świst tłoczony pod dużym ciśnieniem krwi i czuł, jak pulsowały mu skronie. Każdy jego krok zdradzał go całkowicie, ale im niżej schodził, tym bardziej było zimno.

W końcu postawił ostrożnie stopy na betonowej podłodze. Do pomieszczenia po prawej, zastawionego starymi kartonami z rzeczami po teściowej, wpadało nagle światło ulicznej latarni. Nie zauważył tam nikogo. Odwrócił się i wyciągnąwszy przed siebie nóż, wszedł do salki ćwiczeń. Ostrze natrafiło na coś. Usłyszał szelest folii.

Zabrakło mu tchu.

Na ułamek sekundy rozbłysło światło, jak błyskawica, po czym piwnicę znowu załała ciemność. Zanim upadł na kolana, zdążył dostrzec ciało nagiej kobiety, wisielca z przekrzywioną głową, o dziwo, powieszony w foliowym worku. Kobieta dygotała jeszcze, folia szeleściła. Bener zauważył też sznur zwisający z haka i pętlę na szyi, którą przykrywały kasztanowe włosy. Tyle zdążył zapamiętać w tak krótkim czasie. I ten odgłos. Delikatne charczenie.

I jeszcze coś.

Jakiś cień. Ktoś tam był. Ktoś, kto powiesił tę kobietę, a teraz pewnie zabierze się za niego.

Oblał go zimny pot.

– Nazywam się Agata Bener, z domu Majewska.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej przyjaźnie i pokiwał głową, dając znak, by kontynuowała.

Kąciki jej ust uniosły się delikatnie, co ucieszyło go jeszcze bardziej. Liczył, że kobieta w końcu się przełamie i zrozumie, że teraz jest już za późno, żeby się wycofać. Nie po tym, co udało im się załatwić.

Bał się co prawda, że ona nie będzie już chciała wracać do przeszłości, ale wiedział, że jeśli wszystko jej powie, jeśli będzie z nią absolutnie szczerzy i sam odrobinę zaryzykuje, to się opłaci. Dziś nadszedł ten dzień. Dlatego szczerze się do niej uśmiechał.

– Pana to bawi? – przerwała swoją opowieść, ale nie zauważył w jej oczach gniewu. Była teraz rozluźniona i spokojna. Wierzył też, że była z tym pogodzona.

– Nie. Przepraszam, oczywiście, że nie – zapewnił. – Proszę, niech pani kontynuuje.

– O czym teraz?

– Może o dłoniach. Pamięta pani?

Uśmiechnęła się szerzej, odsłaniając błyszczące, białe zęby.

– A może o urodzinach. Bo właśnie dziś ma urodziny...

Odwzajemnił uśmiech i zamyślił się.

– A jak nazywał pani dłonie?

Po chwili światło rozbłysło ponownie, zalewając tym razem każdy kąt piwnicy. I wtedy dopiero zrozumiał, co to wszystko znaczy.

– Zabiję was! – ryknął, podnosząc się z kolan.

– Wszystkiego najlepszego szefie! – Rak stanął przy nim i odwrócił wisielca w jego stronę. – Dobry prezent?

Usłyszał śmiech Raka, Aliena, Szamana i jej.

– Sto lat, sto lat – rozśpiewali się.

Bener pokręcił głową z niedowierzaniem, że wycieli mu taki numer. Pogroził im palcem, ale choć drżały mu nogi i waliło serce, uśmiechnął się.

– Kocham was. Kocham, ale, kurwa, nienawidzę! – Sam też się zaśmiał. – Ktoś tu się za bardzo naoglądał *Forbrydelsen*, co?

Rak uniósł kciuk.

– Od kiedy polecieś mi ten serial, wiedziałem, że będę chciał wypróbować na tobie numer, który wycieli Sarze Lund. A trudno o lepszą okazję niż urodziny, nie?

Bener udał, że strzela do niego z palców, a potem objął Aldonę. Poczł zapach jej orientalnych

perfum.

– Wszystkiego dobrego – powiedziała mu do ucha. – Wiesz, czego ci życzę.

Wiedział, ale ona nie wiedziała, że sytuacja diametralnie się zmieniła. Nie zamierzał jej tego wyjaśniać, a przynajmniej nie teraz i nie w dniu, w którym zapomniał o swoich urodzinach.

Zwrócił natomiast uwagę nie tylko na jej bose stopy, ale i na rękę w gipsie.

– A to co?

– Cieśń nadgarstka. Już nie mogłam dłużej tego wytrzymać. – Aldona odsunęła się, dając innym szansę złożenia życzeń jubilatowi.

– Jak żeście tu weszli, zboczeńcy? – Bener przybił piątki z Alienem, Rakiem i Szamanem. Rak nalegał, by przybił też piątkę z wiszącą na haku dmuchaną lalą z rozdziawionymi ustami. Redaktor zrobił to przy wtórze ich śmiechów.

– Rak przyjechał pierwszy. – Szaman zapalił papierosa i schował paczkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – Zastawił bramę, żebyś nie wjechał do garażu, i zostawił nam otwarte drzwi, te zewnętrzne, od ogrodu. Potem musiał tylko pieprzyć trzy po trzy, żebyśmy zdążyli się po cichu zorganizować.

– Zaraz tam trzy po trzy – bronił się Rak. – Mądrze gadałem, nie, szefie?

– A którą szybę stłukliście? – Bener rozejrzał się po piwnicy.

– Proszę cię, nie rób z nas wandal! To tylko kieliszek od szampana. – Alien przeszedł do pomieszczenia z kartonami, skąd wyciągnął niewielki stolik, na którym stał już tort z wbitym weń świeczką i butelka alkoholu. Potem sięgnął po szkło.

– Nie wejdzimy na górę? – zdziwił się Bener.

Szaman przymknął oczy i pokręcił głową.

– Wiesz, że i tak sporo ryzykuję, ale nie mogłem odmówić. Głównie sobie. A tak naprawdę Aldonie.

Bener spojrzał na uśmiechniętą dziennikarkę.

– Więc to twoja robota?

– Z wyjątkiem prezentu. Wybierał go Rak, ale obiecał nie testować – zaśmiała się głośno.

– Sam ją rozdziewiczysz – dodał fotoreporter. – A gdybyś ty wiedział, jakie ja joby dostałem od mojej Zuzy. Człowieku, jak ona ją zobaczyła!

Alien o mały włos nie udławił się ze śmiechu.

– To akurat widziałem przez okno. – Bener przypomniał sobie scenę z dzisiejszego poranka.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Aldona wykorzystwała ją i potarła zapałkę. Po chwili na torcie zapłonęła świeczka. Ogień drgał.

– Twoje życzenie, Marek.

Bener podszedł i zdmuchnął świeczkę szybko, bez zbędnych ceregieli. Ze zgaszonego knota uniosła się długa nitka siwego dymu, rozszedł się dławiący zapach.

Od 1 lutego 2010 roku Bener miał w zasadzie tylko jedno życzenie, od którego nie umiał się uwolnić. Niestety wyblakło ono, jak elewacja jego starego domu, ale wciąż nosił je głęboko w sobie, chociaż – po tym, co się niedawno wydarzyło – nie umiał już o nim mówić.

Dlatego teraz prosił o coś innego.

O uwolnienie się od przeszłości.

Bał się, że ta przeszłość kiedyś go zabije.

– Wiesz coś? – zaczął Marek.

– Cały czas obserwuję Neumanna – odrzekł, gapiąc się w sufit.

Neumann był duchem. Jednym z najbogatszych torunian, o istnieniu którego niewiele osób w ogóle wiedziało. Bener miał z nim do czynienia latem 2016 roku, kiedy rozpoczął poszukiwania zaginionej maturzystki. Neumann był typem wysokiego, wysportowanego mężczyzny, nowoczesnego bogacza. Pewnego wieczoru zawiózł Benera w miejsce, w którym znaleziono czerwoną ibizę należącą do Agaty, i stwierdził, co Bener zapamiętał doskonale, że „tu wszystko się zaczęło”. Do dziś dziennikarz nie wiedział, o co mu chodziło, mimo że stale próbował wyjaśnić tę zagadkę. Neumanna widział tylko raz. Potem biznesmen zniknął mu z oczu. Jak duch.

– Masz coś na niego?

Szaman wykrzywił usta i skupił wzrok na papierosie. Odezwał się po chwili.

– Nie wierzę w jego udział w zaginięciu twojej żony.

– A w co wierzysz?

– Sprawa zaczyna powoli wyływać.

Bener czuł pierwsze skurcze powieki. Postanowił milczeć i czekać na to, co powie Szaman. W tej ciszy słyszeli, jak tuż obok, za ścianą, Rak opowiadał jakiś dowcip. Po chwili dotarł do nich głośny śmiech Aldony i Aliena.

– Jestem przekonany, że wkrótce coś się wydarzy.

– Oszczędź mi tych banałów. Wiesz coś na pewno?

Szaman spojrzał w jego stronę.

Bener zastanawiał się, czy profesor filozofii wie już o zdjęciu, które dziennikarz otrzymał kilka miesięcy temu.

– Jeśli tylko poznam więcej szczegółów, dowiesz się pierwszy.

Bener wstał, przeszedł obok chmury papierosowego dymu i ruszył wprost na schody prowadzące na parter.

Usiadł przed komputerem i uruchomił program do odbioru poczty. Otrzymał nowe wiadomości, ale teraz interesował go jedynie plik, który Rak przesłał mu niedawno. Zdjęcie Agaty. Nie zdążył go jednak wydrukować, tak jak zamierzał, bo w drzwiach pojawił się Szaman. Bener dał mu znak, by podszedł. Powiększył obraz, żeby zajmował cały ekran.

Zanim stanął przy nim, Szaman przyjrzał się dokładnie tablicy korkowej i zawieszonych na niej fotografiom zaginionych, a także pozostałym informacjom. Trwało to dłuższą chwilę, po czym profesor westchnął. Wyjął z paczki kolejnego papierosa i przytrzymał go w ustach. Bener obserwował skupienie na jego twarzy.

Potem Szaman rozluźnił się i odwrócił, żeby zerknąć na ekran.

– To miałeś na myśli? – spytał Bener.

Szaman sięgnął po pudełko zapalek i zaczął nim obracać. W tej ciszy grzechotanie brzmiało jak lawina kamieni.

– Dam ci znać, gdy dowiem się czegoś więcej. – Profesor ruszył w stronę otwartych drzwi do piwnicy.

– Teraz! – syknął Bener. Małe młoteczki uderzały wściekle w jego skronie.

Szaman zatrzymał się i odwrócił. Powiódł wzrokiem po salonie.

– Chodzą słuchy, że przestało ci zależeć.

– Na czym?

– Na prawdzie.

Bener parsknął.

– I na niej. – Szaman wskazał ręką na gołe ściany. – Już nie ma jej przy tobie. Pozbywasz się Agaty.

Bener rozmasował skronie, jednak nie pozbył się bólu. Wstał i podszedł do drzwi do piwnicy, żeby je zamknąć.

– A może to ona pozbyła się mnie? – zaczął cicho, gdy stanął koło Szamana. – Pomyślałeś o tym? Mężczyzna poruszył ustami, trzymany w nich papieros zaczął się wiercić.

– Nie jesteś gotowy na to, co chciałem ci pokazać – stwierdził profesor, zrobił krok w stronę zejścia do piwnicy i złapał za klamkę. – Szkoda. Być może jutro, być może później...

– O czym ty, do diabła, mówisz? – wycedził Bener.

Szaman uchylił drzwi, zza których dobiegły ich odgłosy rozmów.

– Do zobaczenia – rzucił. – I zjedz kawałek tortu. W końcu dziś twoje święto.

– Stój, kurwa! – Bener podszedł do profesora. – Skoro powiedziałaś „a”, to powiedz też „b”!

Szaman pokręcił głową. Stali tak przez chwilę. Mężczyzna wreszcie wyciągnął dłoń na pożegnanie, ale Bener jej nie uściskał. Profesor zszedł po schodach, skręcił na półpiętrze i zniknął mu z

oczu.

Bener uderzył pięścią we framugę i syknął z bólu.

Wrócił na fotel. Czuł drzenie rozchodzące się falą z klatki piersiowej, dokładnie z tego miejsca, z którego wypływało głębokie poczucie winy. Prawda była taka, że nigdy nie opuścił Agaty. Choć wymykała mu się ze wspomnień, chociaż zapomniał jej zapach, ona zawsze była w jego myślach. Nawet tego dnia, gdy rozerwał kopertę ze zdjęciem w środku, tym samym, które obecnie wyświetlało się na ekranie, wciąż bardziej wierzył swojej intuicji niż temu, co znalazł na fotografii. Właściwie nigdy się nie poddał, ale teraz, gdy tak spowiadał się sam przed sobą, łatwiej było mu przyznać, że chciał się pozbyć wieloletniego balastu, i skorzystał z byle jakiego pretekstu. Wolał oszukiwać siebie i innych, po to, by po latach walki poczuć upragnioną ulgę, wyzwolenie i wolność. Zamiast tego pogrążał się w smutku, stąpał po grząskim bagnie skondensowanej rozpacz. Kapsuła ratunkowa, w której zamknął się po obejrzeniu tego zdjęcia, była nic nie warta konstrukcją, rozpadała się przy każdym uruchomieniu silnika, gubiła wszystkie odpadające od niej elementy.

Bener wiedział, że przyszedł czas spojrzeć sobie w oczy i rozliczyć się z kłamcą, który siedział w jego głowie i mącił mu myśli. Nie było innej drogi. Kiedy szedł skrótami, na łatwiznę, zawsze potykał się o własne nogi.

Szaman w jednym miał rację. Bener pozbywał się Agaty, chociaż robił to wyłącznie na pokaz. Bawił się w teatr. Obiecał sobie jednak, że kurtyna musi opaść. Nie będzie braw, nie będzie *katharsis*. Pozostanie mu jedynie to, czego konsekwentnie trzymał się przez lata.

Nadzieja.

Teraz była wszystkim, co miał.

Dziennikarz po prostu zaczął kojarzyć fakty. Skoro nieznanemu typowi szukał Michała Waltera w piątek, a Stemperski właśnie w piątek zaginął, trudno było oprzeć się pokusie i nie spróbować połączyć tych dwóch zdarzeń. „Połączyć” to może złe słowo. Właściwie to Bener chciał owo połączenie wykluczyć.

*Nie znam tego mężczyzny, nie kojarzę go. Sąsiadka też nie. Mówi, że tamten miał szeroki nos.*

Odetchnął.

Nici łączące oba zaginięcia jednoznacznie wskazywałyby na to, że sprawa jest grubsza, a ktoś z niewiadomych powodów likwiduje mężczyzn umoczonych w czymś po uszy. Tymczasem Bener mógł odetchnąć, jego teoria o tym, że Stemperskiego na tamten świat wyprawiła depresja, nadal zdawała się być jedyną słuszną, chociaż smutną teorią.

Musiał znaleźć trupa.

Im szybciej, tym lepiej.

Aldona oparła zdrową rękę na ramieniu Benera i nachyliła się do monitora. Dziennikarz poczuł przyjemny, orientalny zapach, a dłuższe niż ostatnio blond włosy dziewczyny zafalowały mu koło ucha. Dyskretnie spojrzął w dół na białe stopy Aldony, których wygląd, jak zawsze, poprawił mu krążenie, szczególnie w środkowych partiach ciała.

Poprosiła, żeby przybliżył wybrany fragment, ten z zaciemnioną twarzą mężczyzny, a następnie wpatrywała się w fotografię w skupieniu, wysunawszy do przodu usta, jak zwykle robiła w takich chwilach.

– Raku – zaczęła, a fotoreporter podniósł wzrok znad swego laptopa. – Ktoś mógł celowo zaciemnić ten obszar?

– Wątpię, to raczej kwestia domowej drukarki, która pluć czarnym tuszem. Gdybyśmy mieli oryginał zdjęcia w wersji cyfrowej, a nie tylko wydruk, dałoby się coś z tym zrobić.

Aldona wyszła do kuchni, po chwili wróciła z gorącą herbatą i taboret, który ustawiła obok Benera.

– Coś tu nie gra. – Wskazała brodą na monitor.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Strasznie to sztuczne. Ta róża leżąca na blacie.

Aldona oparła piętę o rant taboretu, a na wysoko uniesionym kolanie położyła brodę.



– Gdzie to zdjęcie było zrobione?

– Tu właśnie jest problem – odezwał się Rak. – Zbyt mało danych na zdjęciu. Tylko rama okna i niewyraźne wnętrze. Zjeździłem okolicę w promieniu kilku kilometrów od miejsca znalezienia ibizy, ale nie trafiłem na żaden lokal z taką witryną.

Bener pokiwał głową.

– A okolice cmentarza komunalnego? – spytała Aldona.

– Czemu tam? – Rak spojrział w jej stronę.

– Przecież miała tam robić zdjęcia.

– Założyliśmy, że względu na natężenie światła słonecznego, że zdjęcie było robione popołudniu, zapewne już po spotkaniu Agaty z jej ojcem.

Tego dnia nie ustalili nic więcej ponad to, że rano zaczną dyskusję na nowo.

Teraz Bener umył naczynia i szedł do piwnicy po zostawiony tam tort. Głód przypomniawszy mu o słodyczach. Redaktor podniósł więc obrotową deskę, na której leżało ciasto. Chciał nosem wyłączyć światło w salce, ale zanim przybliżył twarz do włącznika, dostrzegł coś na stoliku. Musiało być schowane pod tortem.

Odłożył ciasto na schody i sięgnął po złożoną na pół kartkę. Zastanawiał się, czy powinien obejrzeć to, co Sza-man dla niego zostawił. Nie miał wątpliwości, że to od niego.

Ciekawość zwyciężyła.

Bener rozłożył kartkę i niemal w tej samej chwili puścił ją nagle, jakby poraził go prąd.

Papier łagodnie opadł na betonową podłogę i ułożył się nadrukiem do góry. Bener odwrócił wzrok i założył ręce za głowę.

Nie był na to gotowy.

Zanim się położył, zadzwonił do Leona Brodzkiego, toruńskiego gliniarza, którego poznał kilka lat temu. Był teraz dla Benera jedynym ratunkiem.

– Co jest? Skończyły ci się wkłady w długopisie? – odezwał się zmęczonym głosem Brodzki.

– Pilna sprawa, inaczej bym nie dzwonił.

– No to wal, Marek.

– Zacznę od mniejszego kalibru. Jan Stemperski, nauczyciel z EsPe 15. Mówi ci to coś?

– Wiem, że nasi go szukają, zaginięcie zgłosiła żona, nie pamiętam szczegółów. Musiałbym dopytać.

– Okej. To przy okazji podpytaj jeszcze o Michała Waltera.

– Kto to?

– Zaginiony w październiku dwa tysiące szesnastego roku, mechanik z Lubicza. Kojarzysz?

– Teraz już tak. Dlaczego o niego pytasz? Nie pamiętam, żeby coś nowego w tej sprawie... wypłynęło.

– Wypłynęło.

Cisza w słuchawce.

– Powiesz mi? – spytał Brodzki.

– Zawsze ci mówię. Ale najpierw sprawdź, czy ktoś z komendy podjął jakikolwiek trop.

Odłożywszy aparat, Bener sięgnął po kartkę, którą zostawił mu Szaman.

Było to kolejne ujęcie przedstawiające Agatę i tajemniczego mężczyznę razem w tym samym lokalu. Musiało zostać zrobione niemal chwilę przed zdjęciem, które już dobrze znał, lub tuż po nim. Tym razem jednak fotografujący uchwycił wyraźnie twarz mężczyzny.

Bener nie wiedział, w jaki sposób Szaman wszedł w posiadanie tego wydruku, ale był pewny, że wkrótce się dowie. Na razie rozumiał tylko, dlaczego profesor tak długo przyglądał się temu, co wisiało na tablicy korkowej w salonie. Szaman rozpoznał mężczyznę ze zdjęcia.

Tego samego, którego w zupełnie innej sprawie poszukiwał Bener.

## Wtorek

14 lutego 2017 roku

Poczęstowała go kawą, tym razem parzoną po turecku, i blokiem czekoladowym własnej roboty. W mieszkaniu nadal było zimno. Kobieta poprawiła koc leżący na staruszce, a jej ramiona i klatkę piersiową okryła polarem, tak że było widać jedynie twarz i rzadkie siwe włosy związane frotką.

Bener potarł zmęczone po bezsennej nocy oczy, czując, jak małe igielki kłują go przy każdym, nawet najsłabszym dotyku.

– Nie kojarzę go – powiedziała Stemperska.

– Na pewno? – Bener stłumił ziewanie. – Nie odwiedzał pani męża?

– Nie. A kim on jest?

Dziennikarz zastanawiał się, ile powinien kobiecie zdradzić, tak by niczego jej nie zasugerować. Postanowił na razie wstrzymać się od jakichkolwiek komentarzy.

– Proszę mu się raz jeszcze przyjrzeć.

Stemperska westchnęła i skupiła wzrok na fotografii. Po chwili oddała kartkę Benerowi.

– Przykro mi. – Jej głos brzmiał zdecydowanie. – Nie znam tego człowieka.

Bener złożył kartkę i schował ją do plecaka.

– To mechanik samochodowy zatrudniony w serwisie w Lubiczu.

– Dlaczego miałabym go znać?

– Może mąż naprawiał tam samochód?

– W Lubiczu? W życiu. Jeździł do Edka na Poznańską.

– Gdzie konkretnie?

– Przy wjeździe na obwodnicę, w pobliżu stacji benzynowej.

Bener pokiwał głową i odnotował informację w notatniku.

– Często tam jeździł?

– Tylko gdy miał coś do zrobienia. Ostatnio chyba wymieniał wahacz i olej.

– Dawno temu?

– Nie pamiętam dokładnie, ale jakoś przed zimą. – Wzruszyła ramionami. – Nie, przepraszam.

Przed świętami. Tak, przed świętami, bo pamiętam, że Edek pozwolił zapłacić Jankowi za usługę dopiero w styczniu. Przed świętami nie mieliśmy pieniędzy, w grudniu z kolei płaciliśmy OC.

Bener spojrzał mimochodem na śpiącą obok staruszkę i zobaczył, jak mimo zamkniętych oczu jej brwi zbiegły się ze sobą. Widocznie, mocno skupiona, przeżywała coś we śnie.

– A czy później działa się cokolwiek, co z perspektywy czasu mogłoby się wydawać nietypowe?

– Co ma pan na myśli? Jego zachowanie?

– Cokolwiek.

– Sama nie wiem – rzekła zrezygnowana. – Ostatnio narzekał na hamulce.

– Pojechał je naprawić?

– Nie, powiedział, że sam postara się je wymienić, żeby ograniczyć wydatki.

– I zrobił to?

– Miał jechać do sklepu po części, ale nie wiem, czy je kupił. Być może tak, chociaż nic mi nie mówił. Ostatnio jednak faktycznie więcej czasu spędzał w garażu. Możliwe, że zabrał się za te hamulce.

Starsza kobieta zachrapała i na chwilę otworzyła oczy. Bener mimowolnie uśmiechnął się do niej. Po chwili w powietrzu wyczuł ledwie zauważalny kwaśny zapach.

Stemperska spojrzała na staruszkę i jęknęła.

– O Boże, znowu. – Wstała z pufy.

Bener nie zrozumiał.

– Zsikała się. Muszę pana przeprosić na chwilę. Wyjdzie pan do kuchni?

Podniósł się.

– Oczywiście. A może w międzyczasie zajrzałbym do garażu? – Bener skorzystał z okazji.

– Jeśli to konieczne, to proszę bardzo. Klucze wiszą na wieszaku. To te z niebieskim brelokiem.

Bener wycofał się do małego przedpokoju i zerknął na wbite w deskę na ścianie haczyki, na których powieszono różne klucze. Dotarł do niego łagodny głos Stemperskiej, która prosiła teściową, by ta wstała z fotela i położyła się na wersalce.

Dziennikarz wyszedł z mieszkania. Zszedł schodami na parter i wydostał się na zewnątrz. Płatki śniegu wpadały mu w oczy, gdy okrążał blok, by dojść do ciągu garaży. Wsunął klucz w kłódkę i próbował go przekręcić, ale zamek zamarznął.

Poszedł do samochodu, zgarnął rękawem śnieg z przedniej szyby i pojechał na najbliższą stację benzynową po odmrażacz. Po powrocie spryskał nim kłódkę. Tym razem poszło gładko. Butami pozgarniał zwały śniegu leżące przed drzwiami garażowymi, a kiedy uchylił oba skrzydła, wciągnął w nozdrza drażniący zapach oleju silnikowego i stęchlizny.

Przez środek podłogi biegł kanał przykryty grubymi dechami. Na tych dalej od niego wykwitwały tłuste, czarne plamy.

Bener raz jeszcze spojrzął na tylną ścianę garażu i przekrzywioną półkę, z której spadły na betonową podłogę taśmy izolacyjne. Podszedł tam, podniósł je i przyglądał się im chwilę, po czym odłożył je na miejsce.

No i co teraz, Sherlocku?, zapytał się w myślach.

Zerknął na niewielki kosz na śmieci, schowany za dużą beczką olejową, na której stał plastikowy pojemnik z zimowym płynem do spryskiwaczy. Bener nie znalazł w śmieciach zużytych klocków hamulcowych ani kartonika po nowych. Były tam natomiast brudne chusteczki, puszka po coli, rachunki za paliwo, ulotki. Przejrzał pogniecione kartki, w oczy rzuciła mu się ulotka. Reklama sklepu z częściami i akcesoriami samochodowymi.

Bener schował ją do kieszeni. Wyciągnął telefon i zadzwonił do Raka. Wymienili kilka zdań, a potem Bener zapytał, jak fotografowi idzie śledzenie ruchów brata Jana Stemperskiego.

– Na razie cisza. Siedzi w domu. Ma wolne albo jest na chorobowym – relacjonował fotoreporter.

– Poczekam jeszcze trochę i jeśli się nie ruszy, to się zmyję, bo Hermion potrzebuje kilku zdjęć do tekstów.

– Dobra, ale potem wróc jeszcze do niego. Nie dawajmy tak łatwo za wygraną. Albo najlepiej podjedź do tej jego kochanki.

– Już podjechałem.

– No to dawaj newsa!

– Eee, żaden news. To jakaś kolejna Stemperska, pewnie ktoś z rodziny. Kuzynka jakaś albo cholera wie.

– No to szalu nie ma – zmartwił się Bener.

– No nie ma. A co u ciebie?

– Jestem w garażu Jana Stemperskiego. Wyślę ci za chwilę zdjęcie ulotki sklepu z częściami. Zerknij w komputer zaginionego i sprawdź wszystko pod kątem ostatnio dokonanych zakupów. Podobno facet spędzał sporo czasu w garażu. Być może szykował wóz do sprzedaży i montował jakieś bajery. Miał wymienić klocki hamulcowe, ale po nowych, a tym bardziej po starych nie ma tu śladu. Sprawdź potwierdzenia przelewów, faktury. Cokolwiek.

– Ale po jaką cholere, skoro Stemperski równie dobrze mógł w tym sklepie, z którego zabrał ulotkę, zapłacić gotówką?

– Nie mógł.

– Dlaczego.

– Bo to sklep z Wrocławia.

Ściany wąskiego przejścia wykończono płytkami o różnych wzorach i kolorach. Po lewej stronie w niewielkich zagłębieniach świeciły się trzy lampy z grubego szkła, otoczone drucianą klatką. Jedna z nich, ta znajdująca się na końcu, przygasiała.

Podłoga kanału była nierówna, Bener wyczuwał betonowe zgrubienia pod podeszwami. W narożnikach i przy ścianach leżał zwarty, brudny piach wymieszany z ziemią nawożoną przez koła. Bliżej końca chodnika połyskiwały w świetle czarne, tłuste, nieregularne plamy. Nie wiedział, czego tu szukał. Gdy szedł na ugiętych nogach, jego włosy zbierały pajęczyny. Bener dotarł do końca, a następnie odwrócił się i kucnął, żeby wyprostować plecy. Obrzucił raz jeszcze wzrokiem ciasną przestrzeń, spojrzął w górę na deski i na kilku najbliższych dostrzegł czarne, grube zacieki. Między nimi zobaczył coś jeszcze.

Sięgnął po leżącą przy lampie starą rękawiczkę i unióśł grube drewno. Udało się bez trudu, jednak wtedy coś spadło na podłogę tuż obok jego butów.

Bener chwycił niewielki przedmiot i przybliżył go do przygasającej lampy, żeby lepiej widzieć. Wpatrywał się w niego, a im dłużej to robił, tym więcej uzyskiwał odpowiedzi na pytania o los Stemperskiego, które kołatały się w jego głowie.

Wy dostał się szybko z kanału, zamknął za sobą drzwi garażowe, odwrócił się w stronę bloku i mimo przymkniętych z powodu opadów śniegu powiek dostrzegł w oknie żonę zaginionego. Skrzyżowała ramiona na piersi.

Bener pamiętał o przewiązanym na jej nadgarstku bandażu. I wtedy właśnie pojawiła się odpowiedź na najważniejsze pytanie.

Automatycznie skinął jej głową. Nie odwzajemniła gestu.

Wciąż stała nieruchomo.

„Boi się”, pomyślał.

Po tym jak zrobił zdjęcia do gazety, zaparkował przy śniegowych górkach w centrum miasta. Dokuśtykał do Mostowej, gdzie wynajmował dwupokojowe mieszkanie w kamienicy obok starego hotelu Pod Orłem, i wreszcie miał czas na przeglądanie zapisów twardego dysku komputera należącego do Jana Stemperskiego. Usiadł w fotelu, włączył telewizor i ściszył głos. Nie lubił ciszy, świdrowała mu w uszach i wpędzała w zły nastrój.

Zestawiwszy zdrętwiałą nogę na podłogę, Rak ponownie wymasował ją szybkimi ruchami.

Zajrzał do pierwszego z odnalezionych dokumentów. Była to kserokopia historii choroby Jana Stemperskiego. Nie rozczytywał się, tylko wysłał ją mailem Benerowi, może mu się do czegoś przyda.

Trafił za trzecim razem.

Sięgnął po telefon i wybrał numer do naczelnego.

– Bingo – rzekł, gdy usłyszał sapanie szefa. – Ale mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Nie zabawiasz się z dmuchaną Lolitką, co?

– Raku, ja po schodach wchodzę, nie żartuj, tylko mów, bo jestem ugotowany.

– Jest przelew do sklepu motoryzacyjnego.

– Tak jak mówiłem. Pewnie do Wrocławia?

– Nic z tych rzeczy. – Rak usłyszał westchnięcie.

– Nie buduj napięcia, po prostu strzelaj.

– Toruń, sklep na Poznańskiej.

– Serio? Za co zapłacił?

– Nie wiem. W przelewie podany jest jedyne numer faktury.

– Sprawdź, o jakiej kwocie mówimy i kiedy zapłacił za towar.

– Poczekaj. – Rak odszukał datę na dokumencie. – Zapłacił w piątek, tydzień temu.

– A kwota?

– Trzysta osiemdziesiąt złotych.

– Klocki są znacznie tańsze.

– Właśnie. Byłoby łatwiej, gdybym odnalazł zamówienie, ale nie ma po nim ani śladu.

– A historia przeglądanych stron?

– Jeszcze nie sprawdzałem, zaraz się za to zabiorę. Dam znać.

– Liczę na ciebie, tylko ty możesz się tym zająć.

– Spoko, dam radę.

Rozłączył się i pokuśtykał do toalety. Zuza siedziała jeszcze w pracy, poinformowała go SMS-em, że przyjdzie później, ale Rak i tak nie był pewien, czy dziewczyna dotrzyma słowa. Ostatnio nie układało im się najlepiej, co Bener zauważył z okna redakcji. Nie chodziło jednak o żadną dmuchaną lalę. Rak miał inne problemy na głowie.

Spuścił wodę, poszedł do kuchni, zrobił sobie dwie kanapki z pasztetem i postawił je obok komputera. Wrócił po piwo, otworzył je i zaniósł do salonu. Niestety zahaczył kulasem o dywan i runął jak długi. Butelka z piwem przewróciła się na komputer. Rak zdołał sięgnąć po wtyczkę od zasilacza i wyszarpnął ją z gniazda w komputerze.

Słyszał, jak piwo bulgotało w leżącej na stole butelce i spienione chlustało na podłogę. Poczul też charakterystyczny zapach.

– No to się, kurwa, napiłem – jęknął, gdy zdołał podnieść się z dywanu.

Chwycił za klamkę i pchnął drzwi.

– Z kim pani pogrywa, do cholery, co?! – Bener nie umiał się opanować. Jego ciężkie buty zadudniły o podłogę. Nie zamknął za sobą drzwi wejściowych, więc echo jego podniesionego głosu rozeszło się po klatce. – Co to ma znaczyć, do cholery?!

Oczy Stemperskiej się powiększyły. Chciała się odezwać, ale nie umiała. Schyliła się tylko po bransoletkę.

– Czy pani myśli, że jestem głupi?!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Co pani sobie wyobraża, co? – Bener stanął przy niej na szeroko rozstawionych nogach. Przesadzał, ale nie umiał inaczej. Wszystko to, co od niedawna przeżywał, odkładało się u niego warstwa po warstwie, aż wreszcie pancierz zaczął pękać. – Dlaczego mnie pani oszukała?

Stemperska przyjrzała się podniesionej biżuterii w taki sposób, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

Bener chwycił ją za zabandażowaną rękę i pociągnął do siebie. Kobieta jęknęła z bólu.

– Boli? – zapytał bliski napadowi furii. – To dobrze, niech, kurwa, boli!

– Puść! – syknęła Stemperska.

Zrobił to, a gospodyni wycofała się pod okno i rozmasowywała przegub. Wyglądała jak spłoszona sarna.

– To było w garażu? – jęknęła na granicy płaczu i nie spuszczała wzroku ze srebrnego ciągu liter i cyfr, które oznaczały grupę krwi. ABRh+.

– Powiem pani, co tam znalazłem. Kłamstwo! Kłamstwo tam znalazłem! – rzucił, wskazując palcem za okno. – I wiem już, jak to wszystko wyglądało. Zeszła tam pani do niego i pokłóciliście się o coś. To pani go sprowokowała. Może go jeszcze pani uderzyła, co? Może go pani zwyczajnie prała, tego złamanego jak zapalkę mężczyznę, co? Tak było? Więc chłop nie wytrzymał i się powiesił! Taka jest prawda o jego zaginięciu. Może próbował się bronić i wtedy zerwał tę zasraną bransoletkę z pani nadgarstka.

Stemperska zaprzeczyła.

– Szukała jej pani, ale przedmioty martwe umieją się schować na lata. Nie liczyła pani, że to znajdzie, co? Bo to pani, prawda?

Stemperska cały czas kręciła głową, ale teraz Bener dojrzał, że płakała.

– To pani? Przecież oddaje pani krew. – Tym razem palec wskazujący skierował na salon. – Widziałem te trofea, kurwa mać!

Stemperska wybiegła z kuchni. Kiedy go mijala, poczul na twarzy podmuch powietrza.

Musiał się uspokoić. Musiał oddychać i spowolnić szalejące w klatce serce. Wziął głęboki wdech i chciał ruszyć do salonu, ale kiedy się odwrócił, Stemperska stała za nim.

– Proszę. – Podała mu legitymację honorowego dawcy krwi.

Bener nie rozumiał, po jaką cholerę kobieta to robi, ale wziął do ręki niewielki dokument.

– Niech pan spojrzy – poprosiła.

Spojrzał i nic nie rozumiał. Równie dobrze mógłby patrzeć na pustą kartkę.

- No co? – wypalił.
- Grupa krwi. – Podniosła na wysokość jego oczu zabrudzoną biżuterię, którą przyniósł z garażu.
- Widzę przecież! – sarknął. – Ślepy nie jestem.
- To nie jest moja grupa krwi!

Sklep motoryzacyjny odnalazł bez problemu w pobliżu skrzyżowania na północną średnicówkę miasta – trasę wylotową na Poznań. Jego uwagę zwróciły metalowe, pomalowane na niebiesko szerokie drzwi i złachane banery firm motoryzacyjnych. Wysiadł z wozu i po grubej warstwie śniegu udał się do wnętrza. Właściciel sklepu nie zadbał o klientów i nie odśnieżał tu od dłuższego czasu. Drzwi otworzyły się z trudem, przesuwając kolejną ubitą warstwę brudnego już śniegu.

We wnętrzu nikogo nie zauważył. Rak ściągnął czapkę i dopiero wtedy usłyszał cicho nastawione radio. Przywitał się i rozejrzał.

Za kontuarem pokrytym naklejkami wszystkich firm motoryzacyjnych świata i grubymi, wymiętoszonymi już katalogami części zamiennych ugięły się zapełnione po brzegi regały. Ustawiono je prostopadle do lady. Na ścianach wisiały banery reklamowe. Jedyne stolik z plastikowym krzesłem ogrodowym, niemytym od lat, zasypano przeróżnymi ulotkami. Nie mogło się też obejść bez kalendarza z wielkimi gołymi cycami. Modelka stała zanurzona po uda w błękitnej wodzie, za sobą miała piaszczystą plażę i palmy. Rak był pewnie pierwszym, który dostrzegł tło, ale tylko dlatego, że miał alergię na sztuczne, odrysowane jak od cyrkuła piersi. Wyglądały, jakby skórę naciągnięto na kuchenne miski.

- Pomóc w czymś? – Rak usłyszał męski głos i skierował wzrok na sprzedawcę.

Był to niski, grubawy mężczyzna w granatowej kufajce noszącej ślady wieloletnich zabrudzeń. Zdaniem Raka miała ona lepsze właściwości klejące niż kropelka.

Fotoreporter sięgnął do torby po plakat informujący o zaginięciu Jana Stemperskiego. Kilka sztuk zachował sobie, przeczuwając, że mogą mu się przydać. Wyjął dwie i pokazał sprzedawcy.

- Pana klient.

Nie zrobiło to na mężczyźnie większego wrażenia.

- Tylu tu się kręci, że ho, ho. – Uśmiechnął się, odsłaniając małe zęby i wysokie dziąsła.
- Chciałbym zostawić kilka sztuk, dobra?
- Pan zostawi. – Mężczyzna wskazał głową stolik z ulotkami.

Rak odłożył wydruki, ale jeden zabrał ze sobą. Dokuś-tykał do kontuaru i oparł się o niego przedramionami.

- Niech pan się przyjrzy. – Podał kartkę sprzedawcy.

Ten sięgnął po nią niechętnie, ale przyjrzał się fotografii.

- No, bywał tu taki, faktycznie.

– Ostatnio?

- Czy ostatnio? – Niewielki grubasek przekrzywił głowę. – Może faktycznie.

– Kupił coś u pana. Wydał blisko czterysta złotych.

– A jakim samochodem jeździ?

– Berlingo.

– Cytryna, racja! Stary diesel, dwa zero silnik hadei, dziewięćdziesiąt pięć koni. Muł, ale swoje robi, do pół miliona przebiegu to najlepszy przyjaciel, potem się posypie, jednak za niewielkie pieniądze da się go reanimować i robi kolejne dwieście. Będzie brał olej, będzie kapało z niego, czarny dym będzie siał na drodze, ale nie zawiedzie.

Rak spodziewał się, że mężczyzna wyrecytuje numer nadwozia z pamięci.

- Co kupił?

– Kurde, panie, gdybym ja miał pamiętać jeszcze, co każdy u mnie kupuje, to byłbym profesorem na Oxfordzie. A w ogóle to Oxford, czai pan?

- W sensie?

– Ox-ford. – Mężczyzna przewrócił oczami i żałował, że trafił na tępaka. – No taka motoryzacyjna uczelnia, nie?

Rak zmusił się do uśmiechu.

– Proszę, to ważne. Co kupił za tę kwotę?

– Jak do berlingo, to może rozrząd? Generalnie rozrząd... – Sięgnął po drugi katalog ze stosu i zaczął wertować. Poślinił czarny od brudu palec i przewrócił jeszcze kilka kartek. – Generalnie rozrząd, proszę pana, to u mnie wyniósłby ze trzysta trzydzieści złotych. W sensie podaję koszt części. Ale mógł coś sobie jeszcze do tego dobrać. O, wiem. Czy on klocków czasem nie brał? – Spytał sam siebie, marszcząc brwi. – Tak, kurde, klocki brał jak nic. Hamulcowe. I wtedy mogło być, że wyszło tak, jak pan mówi, czyli pod cztery stówki, nie?

Mężczyzna uśmiechnął się i zamknął grubą księgę z poszarzałymi kartkami.

Na plakacie ze zdjęciem Stemperskiego Rak położył swoją wizytówkę fotoreportera „Echa Torunia” i poprosił o kontakt, gdyby sprzedawca coś jeszcze sobie przypomniał. Potem podziękował i wyszedł, z trudem poruszając zeszywniałą nogą.

– Był tutaj... No, ktoś z gazety... – Sięgnął po zostawioną wizytówkę z logo „Echa Torunia”. – Fotoreporter, Radosław Rak, kulawy taki... Że jak? Jak nazwisko? Bener? Nie, nie wiem. – Uśmiechnął się. – Tego typu nie znam, ale jeśli się pojawi, to oczywiście dam znać. No oczywiście, tak. A ten Rak to szukał tego Stemperskiego. – Mężczyzna przysunął sobie palcem plakat i spojrział na zdjęcie. – Pytał, co Stemperski u mnie kupił... No oczywiście, że nie! – obruszył się. – Nic nie powiedziałem. To znaczy powiedziałem, ale wszystko łgarstwo. Jak pies łgałem.

Odprowadziwszy wzrokiem samochód, który skręcił w Poznańską i oddalił się w stronę centrum, mężczyzna głośno się zaśmiał.

Bener wszedł do wnętrza pubu. Podeszwy zaskrzypiały na linoleum. Spojrzał w lewo, tam, gdzie, jak pamiętał, pomieszczenie było podzielone drewnianymi parkanami na mniejsze boksy, w których mieścił się stół i dwie ławki, w sumie maksymalnie na sześć osób. Jednak teraz po przepierzeniach nie było już śladu. Nie zniknęły natomiast dawne stare i ciężkie ławy oraz stoły w niemal czarnym odcieniu brązu. A może tak mu się tylko przez lata zdawało, bo zawsze panował tu półmrok. Przez witraże w oknach światła dziennego wpadało tu mało. Ludzi, jak się okazało, też. Knajpa była pusta.

Bener spojrział w prawo, gdzie wciąż znajdował się wąski bar i kilka hockerów. Przybił piątkę z właścicielem, który ucieszył się na jego widok. Pogadali chwilę od serca. Bener ze smutkiem przyjął informację, że miasto zamierza sprzedać kamienicę, a to niemal w stu procentach oznaczało śmierć Kotwicy. Bener obiecał zająć się tą sprawą i nagłośnić ją w „Echu”, ale właściciel machnął ręką.

– Będzie, co ma być. Mów, czego się napijesz? – spytał mężczyzna z wąsem i posiwiałymi skroniami. Niewiele się zmienił od czasu, gdy Bener wpadał tu z kolegami z liceum.

– Zrób mi grzaniec, czekam na jednego...

Szef Kotwicy wskazał kciukiem na ścianę za plecami.

– Jest w kiblu – powiedział cicho. – Ale siedzi tam już dobry kwadrans.

Zaśmiali się. Pogadali jeszcze o starych czasach, a potem Bener zabrał grzaniec i usiadł po przeciwległej stronie baru, przy witrażu wychodzącym na Łazienną. Po chwili barman włączył muzykę. Wiedział, co dobre. Bener rozpoznał *Koszmarną noc* Dżemu i wygrywane wspólnie przez Jurka Styczyńskiego i Adasia Otrembę proste, ale jednak elektryzujące dźwięki.

Źle to wszystko rozegrał ze Stemperską i teraz trawił go żal. Bogu ducha winną kobietę, załamaną po stracie męża, oskarżył o takie bezceństwa. Nie myślał trzeźwo, dał się skusić kilku puzzlom, które pasowały do obrazka, chociaż ten jeszcze cały był rozgrzebany i droga do jego ułożenia okazała się długa. Tym dłuższa, że gdy oboje ze Stemperską ochłonęli, kobieta pokazała mu identyczną bransoletkę, którą otrzymała rok temu od męża. Też czerwoną, ale z inną – własną – grupą krwi.

Współczuł Wioletcie Stemperskiej, bo wszystko wskazywało na to, że szara myszka miała kolorową konkurentkę. Tym bardziej było mu przykro, że przecież jego Agata, której odnalezieniu poświęcał cały swój czas, też spotykała się z kimś na boku. I to z kim! Z mechanikiem, człowiekiem, który cały dzień ma brudne łapy, żalobę pod paznokciami, a wieczorem nie może ich domyc i stale śmierdzi smarem, nawet kiedy się umyje i założy marynarkę, to przecież ten smród wdarł się dawno we wszystko, co tylko znalazło się w jego mieszkaniu. Kurwa, nienawidził chłopca, sprzałby tępemu chujowi

ryj, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Bener bał się, że dłużej tego nie wytrzyma. Nie chciał już oglądać zdjęcia, które wciąż wyświetlało mu się we łbie, a mimo to obrazy płynęły ciągle i ciągle, nieprzerwanie, jak Wisła pod taflą lodu.

Musiał zająć się przede wszystkim odnalezieniem Mi-chała Waltera, mężczyzny, który był na zdjęciu z Agatą. Wiedział już, że sprawę Stemperskiego przekaże Rakowi. Sam dał dupy na całej linii, może świeże spojrzenie Raka dobrze temu śledztwu zrobi.

– No jestem, jestem – rzekł z uśmiechem gruby, około pięćdziesięcioletni mężczyzna z twarzą okrągłą jak piłka. Dopiąwszy pasek od spodni, wyciągnął pulchną rękę. – Staszek Kostecki.

Bener spytał, czego się napije.

– Nic nie jem, nic nie piję, z kibla wracam, a w kiblu dantejskie sceny. – Uniósł obie ręce i zastrzegł: – Pan tam, broń Boże, teraz nie wchodzi! Jelito drażliwe. Walczę ze skurczybykiem już szósty miesiąc, ale kiedy mnie przypili, to się tylko za kibelem rozglądam. Gacie w garść, bo tu nie ma przebaczyć, to są sekundy. Wygraj albo zgiń. Zaiste kibel jest tu jedynym ratunkiem. Innej możliwości nie ma. – Mężczyzna usiadł i przyjrzał się Benerowi. – Ale mam wrażenie, że perystaltyka moich jelit nie jest tym, co interesuje pana najbardziej, co? – zaśmiał się tubalnie i klepnął dłonią w blat.

– Podobno całe nasze zdrowie jest w jelitach.

– Święte słowa! Teraz doskonale to rozumiem. Wszystko, proszę pana, z jelit idzie. Zdrowie albo choroby – podkreślił z powagą.

Bener otrzymał numer do Kosteckiego od Stemperskiej. Dopisała go do listy znajomych, z którymi ostatnio kontaktował się jej mąż. Bener wyjaśnił mężczyźnie powód spotkania przez telefon. Ponieważ Kostecki pracował na starówce w biurze rachunkowym, postanowił spotkać się z Benerem od razu i sam wskazał Kotwicę, bo bar znajdował się najbliżej jego miejsca pracy.

– Stemperski zaginął w piątek i od tamtego czasu nie odezwał się do nikogo. Co ciekawe, zaginął razem z samochodem – przypomniał Bener.

– O choinka! I nic nie wiadomo? – Kostecki otarł pot z czoła i przyglądał wilgotną ręką rzadkie włosy.

– Nic.

– Dlaczego sądzi pan, że mógłbym w czymkolwiek pomóc?

– Podobno widzieliście się ostatnio.

– No tak, tak. Ale kiedy myśmy się widzieli? To chyba była środa. Janek był rano na starówce, spotkaliśmy się w aptece. Ja, wiadomo, byłem znowu po coś na sraczkę, a on na receptę brał i płacił jak za zboże, doskonale go jednak rozumiem.

– Rozmawialiście potem?

– Nie było czasu. No, chwilę dosłownie staliśmy na rogu Łaziennej, bo nawet woda w kolanach nam zamarzała.

– Zdziwiło pana jego zachowanie?

– Niespecjalnie.

– Rozmowny był czy przygaszony?

– Taki, jakim widywałem go ostatnio. Wulkanem energii to on nie był, nie rozsadzało go, tak jak mnie. – Mężczyzna mrugnął okiem.

Bener był w połowie swojego grzańca, ale w chłodnym lokalu piwo szybko stygło. Upił łyk i spojrzął na ścianę. Musiał zadać to pytanie, czas się kurczył, od zaginięcia minęło kilka dni, lecz ani on, ani policja nie posunęli się w poszukiwaniach o krok.

– A bywało tak, że przy piwie zwierzaliście się sobie z różnych męskich sekretów?

– Kiedyś tak było, ale dawno już razem piwa nie piliśmy, moje jelito drażliwe...

– Jasne, rozumiem, zapytam jednak wprost: czy Stemperski mógł mieć kogoś na boku?

Kostecki wyciągnął chustkę do nosa i wysmarkał się obficie. Miał problem nie tylko z jelitem.

– Coś panu powiem – zaczął. – Janek od zawsze pracował dupą.

Bener zakrztusił się, ale mężczyzna uspokoił go gestem.



– W sensie, że miał siedzący tryb pracy – dodał. – Więc od czasu do czasu kopaliśmy sobie piłkę na hali, którą nam zresztą nagrał jego kolega z roboty.

Bener odchrząknął.

– Wiem, że nie wyglądam na piłkarza, ale stałem na bramce. No i po tych meczach, wiadomo, że pod prysznic żeśmy szli, jak to dorosłe chłopcy, w sensie z pisiorkami na wierzchu, nikt się tam nie krygował.

Opowieść, co prawda, ciągnęła się jak flaki z olejem, albo – jak jelita, jednak Bener polubił jowialnego Kos-teckiego i tylko dlatego pozwolił mu się wygadać.

– Ale Janek – kontynuował rozmówca – Janek, proszę pana, to była insza liga. Ekstraklasa ekstraklasy! Bo on, proszę pana, dużego to miał od małego.

Bener się roześmiał.

– Tak, serio. Pan się nie śmieje. Żadne tam śmichy-chichy. – Kostecki był poważny jak śmierć. – Chodzi o to, że on, proszę pana, miał w podbrzuszu wyrób ponad-normatywny. Czy mu tak po Czarnobyli urosło, czy faktycznie od dzieciaka tak miał, to nie wiem, ale to był gigant. – Kostecki położył dłonie na bokach brzucha. – Zapyta pan pewnie, po jaką cholere ja to panu mówię? Ano, już wyjaśniam. Otóż on nie byłby, proszę pana, zdolny do tego, żeby coś tam na prawo i gdzieś tam na lewo. – Kostecki pogroził przy tym palcem. – W żadnym razie. Znam go. On tej swojej Wioli za nic by nie skrzywdził. Kochał ją przecież, wszyscy o tym wiedzieli. Miał armatę, bo miał, nie powiem, przy nim aktorzy porno płakaliby ze wstydu, ale Janek wiedział, gdzie ma strzelać. On ją kochał, tę Wiolkę swoją, proszę pana, mimo wszystkich trudności, które w życiu przeszedł. I chociaż miał duży sprzęt, to do innej baby by nie poszedł, gwarantuję panu. Bo Jasiu, poza tym, że dużą pydę miał, to miał też duży kłopot.

– Jaki?

– Problemy z hormonami. Ja z jelitem, a on, proszę pana, walczył z hormonami.

– I co z tego?

– To, drogi panie, że jego faja była z gumy. Nie chciała się, no... ten tego. – Zacisnął pięść i zgiął ramię w łokciu, imitując erekcję.

– Eee... – Bener machnął ręką, miał już dość opowieści Kosteckiego. – Skąd pan to wie?

– Leki, proszę pana. Przy mnie w tej aptece kupował leki na fujarę. To znaczy na erekcję. Ale skarżył się, że nawet one nie działają. Tylko o tym cicho sza. Nic panu nie mówiłem.

Kostecki zasunął usta, jakby miał w nich suwak.

Bener popatrzył na nich i pomyślał, że ta jego wataha nie wygląda na agencję detektywistyczną, co najwyżej na szpitalny oddział rehabilitacji po ciężkich urazach. Nie wykluczał też tych psychicznych.

Przyniósł z kuchni trzy kubki pełne gorącej kawy i postawił je na blacie, po czym klasnął w dłonie.

– Przez dwie godziny nic nie wymyśliliśmy, czas wreszcie wyteńczyć głowy – stwierdził, podchodząc do tablicy korkowej. Kiedy tam stanął, tyłem do Aldony i Raka, wskazał na zdjęcie Michała Waltera. – Aldona, zajmij się nim, zobacz, co uda ci się wydusić z Internetu, może od jego matki. Sprawdź knajpy w promieniu dwóch kilometrów od cmentarza komunalnego, okej? My z Rakiem zajmujemy się Stemperskim. Czas odnaleźć trupa.

Bener odwrócił się i usiadł przy swoim laptopie. Stem-perskiego chciał zostawić Rakowi, zmienił jednak zdanie. Po tym jak zawiódł żonę mężczyzny, musiał stanąć na wysokości zadania. Kolejna ucieczka nie wchodziła już w grę. Zbyt często ratował się ucieczkami.

– Raku, co z komputerem nauczyciela? Sprawdziłeś go?

Fotoreporter drgnął.

– Taa. Nic ciekawego, żadnych haków. Będę jeszcze w nim grzebał – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

– A w motoryzacyjnym?

– Nic z tego. Wygląda na to, że Stemperski kupił rozrząd i klocki hamulcowe.

– I co? Nie ma po tym śladu? – spytał Bener i spojrzał na Raka, a potem na Aldonę.

Rak popił kawy.

- Nie przesadzajmy. Mógł je wozić w samochodzie, mógł wywalić do każdego spotkanego kibla. Bener odchylił się i oparł kolano o blat.
- No mógł. A ten sklep z Wrocławia sprawdziłeś?
- Niby jak?

Bener sięgnął do torby po ulotkę, którą zabrał ze śmietnika w garażu Stemperskiego, i podał ją Rakowi.

- Poszukaj w Internecie, może coś ci przyjdzie do głowy.
- Skąd miał tę ulotkę? – przerwała ciszę.

Bener i Rak spojrzeli na nią, potem na siebie.

– Jak ulotka z Wrocławia znalazła się w Toruniu? – sprecyzowała pytanie, chociaż znała już odpowiedź.

Bener popatrzył na Aldonę i podziękował Bogu, że wróciła do Torunia. Razem z nią powróciły jego siły i chęć do dążenia do prawdy. Jeszcze nie wiedział, czy będzie chciał poznać prawdę o Agacie, ale przynajmniej był pewien, że tylko z nią, tylko z Aldoną może to zrobić.

Zrozumiał, o co pytała.

– Przyszła z zamówieniem. – Naczelný złożył ręce jak do modlitwy i oparł łokcie na stole.

Twarz Raka rozjaśnił uśmiech.

– Fakt. Brawo ty! – Podniósł kubek w stronę Aldony, jakby wznosił za nią toast, a po chwili wrócił do stukania w klawiaturę. – Sprawdź ich stronę.

Bener przydzielił również kilka tematów Justynie i Rafałowi. Już parę dni temu zauważył, że między nimi przepływają dobre fluidy. Zastanawiał się, czy jego decyzja o nieprzedłużeniu umowy dziewczynie nie zakłóci tych dobrych przepływów. Właściwie powinien jej już o tym powiedzieć.

Usiadł w gabinecie i patrzył na nich przez weneckie lustro. Niby każde wpatrywało się w swój ekran, ale Bener wyłapywał ich ukradkowe spojrzenia i zawstydzone, nieśmiałe uśmiechy.

Bener wspominał to wszystko z ciężkim sercem. Ilekroć pozwalał sobie na sentymentalne powroty, chwilę później stawało mu przed oczyma zdjęcie Agaty i mężczyzny, który trzymał jej dłoń.

– Mogę?

Bener odwrócił się do drzwi, w których stał Leszek Hermion.

– Jasne, co masz?

– Wrzuciłem ci mailem kilka tekstów. Zerkniesz?

– Przeczytam i dam znać.

– A dzwoniłeś do matki Waltera? – podpytał Hermion.

– Tak, dzięki za przypomnienie. I sorry, że nawaliłem z siłką.

– Wpadniesz, gdy znajdziesz chwilę.

– Tak zrobię – odpowiedział Bener już sam do siebie.

Zaczął czytać artykuły spisane przez Hermiona w jednym pliku. Zanim doszedł do drugiego, usłyszał dźwięk swojej komórki.

– Halo?

– Leon. Masz chwilę?

Cenił Brodzkiego za to, że dotrzymywał słowa. Wbrew pozorom nie była to powszechna praktyka śledczych policyjnych. Ale on i Brodzki od dawna trzymali ze sobą sztamę. Policjant obiecał oddzwonić i zrobił to.

– Jasne. Wal – poprosił.

– Nasi nabrali wody w usta.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, ale coś się chyba kroi.

– Mów jaśniej.

– Chodzi o Waltera. Spięli się, kiedy ich o to zapytałem. Coś może być na rzeczy. – Tym razem Brodzki próbował wysondować Benera.

– Kto wie. – Bener wiedział, że przed kryminalnym nie może zataić zdobytych informacji.

Sztama to sztama. – Odkryłem, że Walter był prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała... Która była z moją żoną.

W słuchawce zapadła cisza.

Brodzki oddychał szybko nosem, Bener słyszał świst wydmuchiwanego powietrza.

– A ty, co masz? – zagadnął dziennikarz.

– Jak tylko cokolwiek w tej sprawie ustalę, dam znać.

– Okej. A o Stemperskim coś masz?

– Nie, ale chłopaki mówią, że w tym przypadku sprawa wypłynie jedynie przy roztopach. Albo gdy ktoś znajdzie jego samochód. Gość musiał walnąć samobója. A jak wiesz, w takiej sytuacji luzujemy majty. Mamy tu całkiem sporo rzeźniczej deweloperki, a i ginekologiczna by się znalazła. Wiesz, jak jest, taka gra w chowanego...

Rozłączyli się.

Bener związał włosy i zaczął się ubierać. Założył już kurtkę i czapkę, gdy zauważył na ekranie tytuł kolejnego tekstu Hermiona.

Nachylił się nad komputerem.

„Gwałt na Podgórzu”.

Skakał wzrokiem po tekście, żeby jak najszybciej odnaleźć kluczowe słowa.

I znalazł. Właściwie wystarczyło mu jedno z nich. Jedno słowo, które zmieniło jego spojrzenie na interesującą go sprawę.

Wtorek.

A potem dostrzegł jeszcze załącznik. Policja rozesłała dziennikarzom rysopis podejrzanego.

Bener uruchomił plik.

Od godziny jeździła po wysuniętych najdalej na północ toruńskich osiedlach. Wcześniej objechała teren w pobliżu cmentarza komunalnego. Przejechała też trasę od miejsca odnalezienia samochodu Agaty w stronę nekropolii. Miała wydrukowaną listę lokali wraz z ich adresami, które zamierzała odwiedzić. Nie musiała do nich nawet wchodzić, istotne było to, jak wyglądają z zewnątrz. Szukała szerokich brązowych ościeżnic i dużych witryn. Fakt, minęło niemal siedem lat, ktoś mógł dawno zrezygnować z prowadzenia restauracji, zmienić branżę albo przeprowadzić kapitalny remont. Nie zrażało jej to. Wolą być tu, w Toruniu, niż w stolicy.

Gardziła więc taką pracą, która zamiast stać w obronie wartości, była jedynie polem walki.

Aldona zatrzymała się w pobliżu wejścia do Cafe Molus. Minimorris zaszedł podwoziem o twarde jak kamień, zlodowaciałe warstwy śniegu. Wyłączyła światła i wycieraczki, zgasiła silnik. Spojrzała przez boczną szybę i sypiący gęsto śnieg na witrynę kawiarni.

To nie mogło być tutaj, na zdjęciu był zupełnie inny układ szyb. Mimo to wyszła na mróz, owijając się szalem i narzucając na głowę kaptur.

Zamówiła kawę i podwójną porcję sernika.

Usiadła przy stoliku w pobliżu pianina. Po drugiej stronie, pod samą witryną, zauważyła starsze małżeństwo, czule trzymające się za ręce.

Uczuć.

Musiała przekonać Marka do swojej wersji, chociaż było to prawdziwe wyzwanie. Widziała przecież, jak zdjęcie zmieniło jego nastawienie. Nadzieję zastąpiła złość, a raczej gniew.

Tak. I był to niestety gniew w czystej postaci.

Nie mogła tego zrozumieć, bo Bener był typem mężczyzny, którego ona bezskutecznie poszukiwała w całym swoim dorosłym życiu. Mężczyzny, dla którego liczyła się zawsze tylko jedna kobieta, choćby wokół było ich ze sto. On i tak zwracał uwagę wyłącznie na Agatę.

Ileokroć Aldona o niej myślała, tyleokroć zwyczajnie jej zazdrościła. Była to jednak zazdrość całkowicie pozbawiona złych emocji. Aldona, owszem, kochała Benera, ale jak brata. Jak Brunona, brata bliźniaka, którego straciła w dzieciństwie. I zarówno Benerowi, jak i Agacie życzyła jak najlepiej. Wciąż wierzyła, że tych dwoje się odnajdzie. Było w tym może dużo naiwności, możliwe, że dawna wiara Benera udzieliła się i jej. Tak czy siak, Aldona musiała zrobić wszystko, by uratować Marka. Dla siebie

i dla niej.

Musiała odnaleźć Agatę.

Być może zdjęcie, które zabrała ze sobą, jest bramą, za którą czeka rozwiązanie zagadki zaginięcia Agaty.

Kiedy się nad tym zastanawiała, Bener odpisał.

Uśmiechnęła się.

„Masz orgazm?”

Naczelnny wykorzystał to i udał się na Łódzką do bloku, w którym Piotr Stemperski mieszkał z rodziną. Na zamknięty teren tego miniosiedla dostał się przez bramę, którą otworzył jeden z sąsiadów Stemperskiego, wracający samochodem. Śnieg był twardy i wyslizgany. Bener musiał uważać, żeby się nie wyłożyć.

– Coś się stało? Odnalazł pan Janka? – zapytała z przestachem w oczach blondynka z końską twarzą.

– Jeszcze nie.

Spojrzała na zegarek.

– Piotr powinien wkrótce przyjechać – odezwała się chyba tylko po to, by przerwać ciszę.

– Od dawna tu mieszkacie? – spytał.

– Bloki oddali na wiosnę zeszłego roku i wtedy się przeprowadziliśmy.

– Urządzaliście się chyba etapami, co? – próbował skierować rozmowę na właściwe tory. Przecież wcale nie zamierzał czekać na powrót Stemperskiego. Albo inaczej. Nie zamierzał spotkać się z nim w tym mieszkaniu.

– Nie. – Uśmiechnęła się wstydliwie. – Piotr najpierw wyposażył mieszkanie, oczywiście wspólnie dobieraliśmy meble i detale, a dopiero potem się wprowadziliśmy. Dla dziewczynek to był szok, bo o niczym nie wiedziały. Piotr pomyślał, że zrobimy naszej starszej córeczce, Adelce, taki prezent na urodziny. Otrzymała własny pokój.

– O, czyli nie śpią już razem – ciągnął Bener. – Słodko.

– No, też tak sędzę. Mają jeszcze jeden wspólny pokój na tej kondygnacji, taki do zabaw, ale śpią już osobno na górze. – Wskazała głową na kręcone schody na piętro.

– A, to pewnie ten pokój urządzaliście ostatnio, tak? – Bener spojrzał na wyświetlacz komórki. Brodzki od kilku minut próbował się do niego dodzwonić. Po rozmowie w redakcji i doczytaniu tekstów Leszka Hermiona, Bener urządził sobie z detektywem gorącą linię.

– Nie, ten też był od razu gotowy. A dlaczego pan pyta? – zaniepokoiła się.

– Nie pamiętam, może to nie pani mąż, ale ktoś mi mówił, że ostatnio kupował jakiś regał w Ikei. Wie pani, z tyloma osobami rozmawiam, że już nie wiem, o kogo chodziło – zaśmiał się.

– Na pewno nie o Piotra. – Uśmiechnęła się. – Pan się rozejrzy. Tu nie ma żadnych mebli z Ikei. Mąż nie lubi tej szwedzkiej tandety. Zawsze mówił, że jeśli już ma wydać kasę na meble, to przynajmniej niech będą porządne. I tak wybrał Kler.

Bener się uśmiechnął, a telefon znowu zadzwonił.

– Przepraszam, dzwonią do mnie z redakcji. Odezwę się do pani męża jeszcze dziś.

– Nie zaczeka pan? Jestem pewna, że zaraz przyjedzie...

– Obowiązki. Muszę wracać do redakcji.

Bener wyszedł na klatkę i zamknął za sobą drzwi.

Dopiero wtedy odebrał telefon.

Z domu Benera zabrał laptopa – czekając na jakikolwiek ruch Piotra Stemperskiego, zamierzał bliżej przyjrzeć się firmie motoryzacyjnej z Wrocławia. Wyciągnął ulotkę otrzymaną od Benera i rozprostował ją.

„PPHU Wromoto. Części, akcesoria, serwis”.

Rak przejrzał pozostałe zakładki, w tym sklep internetowy z akcesoriami, i zwątpił. Nie znalazł żadnego punktu zaczepienia, niczego, co mogłoby wzbudzić jego wątpliwości. Nie mógł też zadzwonić do firmy i wypytać o realizację zlecenia dla Jana Stemperskiego, bo nikt nie udzieliłby mu takich

informacji. Nie był naiwny.

Zamknął komputer i ponownie napił się chłodnej już herbaty, jakby zamówił sobie *ice tea*. Odstawił kubek do zagłębienia na napoje i odsunął fotel, żeby unieść drętwiejącą nogę. Mimo grubych skarpet nie czuł już stopy. Starał się poruszać palcami, pozginać je rytmicznie, żeby wzmocnić krążenie, ale prawda była taka, że od czasu wypadku można było ich używać zamiast kostek lodu do drinków. O ile nikt by się nie brzydził.

Rak rozejrzał się po placu przed firmą transportową Stem-perskiego. Znajdowała się ona w pobliżu Motoareny, mekki toruńskich miłośników speedwaya. Nowoczesny budynek StemperTrans Sp. z o.o. mieścił w sobie nie tylko biura, ale również stację obsługi pojazdów dla tirów. Jeden z nich, nowoczesne czerwone volvo, lśnił teraz w świetle lamp.

Rak obserwował kręcących się na parterze pracowników. Z tej perspektywy nie widział biur ich szefa – jak zdążył się zorientować, przechadzając się tu ostatnio, okna jego gabinetu wychodziły na pobliską oczyszczalnię ścieków umiejscowioną za ruchliwą wylotówką na Bydgoszcz. Po prawej, daleko stąd, świecił neon Orlenu, a jeszcze dalej, na wysokim słupie, wielkie żółte litery – logo Castoramy – odcinały się od poszarzałych chmur.

Rak poprawił czapkę i uruchomił samochód, żeby odrobinę się rozgrzać. Szalikiem zasłonił sobie usta, ale po chwili zrezygnował z tego pomysłu i sięgnął po telefon. Dręczyły go wyrzuty sumienia, od razu powinien powiedzieć Benerowi o zalanym laptopie. Musiał stawić temu czoła, chociaż wiedział, że ta informacja nie spodoba się naczelnemu. Ściągnął rękawiczkę i wybrał numer.

– Co jest? – Bener odebrał po pierwszym sygnale.

– A nie, nic – powiedział Rak wolno. Zastanawiał się, jak zacząć. – Jestem cały czas u Stemperskiego, na razie nie wybiera się do domu.

– Okej, coś jeszcze? Mam drugie połączenie.

– Tak. W zasadzie chodzi o to, że mam kłopot z komputerem Stemperskiego.

– Dobra, to na razie to olej. Potem ci wyjaśnię. Kończę, bo się do mnie dobijają. Daj znać, gdy Stemperski ruszy do domu.

Rak odłożył telefon. Lubił, kiedy sprawy rozwiązywały się same.

Przyłożył rękę do wylotów powietrza i poczuł wreszcie ciepły podmuch. Wiatr wciąż nie ustawał, gwizdał, prześlizgując się po karoserii samochodu.

Fotoreporter modlił się, by Stemperski wyszedł wreszcie z roboty i pojechał do domu, w przeciwnym razie Rak obawiał się, że żarty o hipotermii źle się skończą. Zerknął na budynek i dostrzegł, jak drzwi w biurowcu otworzyły się, ale zamiast szefa firmy Rak dojrzał niskiego mężczyznę, który szedł pochylony w stronę parkingu. Po chwili wsiadł do białego samochodu. Błysnęły światła, wóz przedstawiciela handlowego wyjechał z parkingu.

Rak odprowadzał go wzrokiem, aż samochód zniknął po lewej, za drzewami.

Wiatr znowu świstał między uszczelkami drzwi i szarpnął budą auta. Wtedy wejście do firmy zalało zimne światło lampy. Tym razem wyszedł Stemperski.

Uruchomił komputer, który dał znać krótkim sygnałem dźwiękowym, że zaraz się rozładuje. Rak nie miał czasu szukać powerbanku w plecaku. Zerknął w historię przeglądanych stron i trafił na Wromoto. Odświeżył ją.

Zamknął okno reklamowe, zachęcające do zapisania się na listę newsletterową, co miało gwarantować rabat przy pierwszych zakupach. Kolejne okno wyświetliło to, czego szukał. Zobaczył nowoczesne czarne kombi na fioletowym tle z umieszczonym w górnym rogu srebrnym logo firmy. Tym samym, które przed chwilą dostrzegł na samochodzie odjeżdżającym spod firmy Stemperskiego. Rak przyjrzał się uważnie reklamie i pięknej brunetce, która ubrana w czarną mini wiła się na masce i olśniewającym uśmiechem prosiła go, by nigdy nie spuszczał jej z oka.

Jej.

Tej równie pięknej limuzyny.

Bener odczytał SMS od Aldony:

Uśmiechnął się.

Bez słowa zjechali windą do podziemnego i ciemnego parkingu, ale kiedy tylko stanęli na szorstkiej posadzce, automatycznie włączyło się światło. Mężczyzna wyminął Benera i przeszedł w odległy kąt garażu, uruchamiając kolejne czujki światła, które po chwili same zgasły. Nastąpiła zupełna ciemność.

Dziennikarz zerknął na wyświetlacz telefonu, żeby wyciszyć dźwięk i sprawdzić zasięg. Jedna kreska.

Teraz nie pozostało mu nic innego jak schować się i czekać, a zabić nudę mógł jedynie układaniem sobie w głowie raz jeszcze tego, co, pozornie ze sobą niezwiązane, zaczęło tworzyć jeden, spójny obraz.

Obraz ze Stemperskim w roli głównej.

– Jak je nazywał? – spytał mężczyzna.

Blondynka podniosła dłonie i przyglądała im się z niemal niezauważalnym uśmiechem, jakby uśmiechała się w duszy do wspomnień.

Spodobało mu się to. Widział, że wkłada w tę opowieść serce.

– Więc jak? – powtórzył pytanie.

Odwróciła do niego piękne, smukłe dłonie z długimi palcami, żeby pokazać mu ich wnętrza.

– Nazywał je motylami. – Naśladowała ruch delikatnych skrzydeł, przyginając i rozprostowując płynnie palce.

Mężczyzna słuchał z uwagą. Była piękną kobietą o artystycznej duszy i to w niej cenił najbardziej. Mógłby słuchać, jak opowiada, godzinami, ale wiedział, że tym razem musi jej przerwać.

– Dość. Dziękuję – wszedł jej w słowo. – Resztę zostawmy na jutro. Musi pani odpocząć.

Wstał i wyszedł z niewielkiego pokoju, następnie przeszedł do pomieszczenia obok. Zerknął na nią przez lustro: wyglądała tak jak chwilę wcześniej, zanim ją zostawił – siedziała wyprostowana, z uniesioną głową. Na jej ustach nie błąkał się już żaden uśmiech. Bała się. Wiedział, że tak.

– Chyba nie jest szczęśliwa, że ją odnaleźliśmy, co? – spytał młodzieniec, który kontaktował się z nim przez zestaw słuchawkowy.

– Nie po to kret ryje pod ziemią, żeby się opalać – powiedział mężczyzna. – Zabierz ją. Niech odpocznie. Jutro czeka nas długi dzień.

– Kiedy go znów zobaczę?

Trzasnęły drzwi. Bener widział nad dachami innych wozów twarz mężczyzny, na którego czekał. Kierował się on do windy, wesoło pogwizdując. Dźwięk niósł się po obszernym wnętrzu.

Dziennikarz podniósł się z kucek. Górna lampa oświetliła jego postać. Stemperski stanął jak wryty.

– Chryste! Przestraszył mnie pan.

Bener jednym ruchem ręki odgarnął z twarzy długą grzywkę.

– Szczerze mówiąc, pan mnie też – odpowiedział Bener.

– Ja? – Stemperski uśmiechnął się niepewnie.

– Tak. – Redaktor wyciągnął z kieszeni wydruk portretu pamięciowego i podał go mężczyźnie.

Stemperski skierował kartkę w stronę światła, skupił na niej swój wzrok i niemal natychmiast stężał.

– O co chodzi? To Janek?

– W pierwszej chwili też tak pomyślałem. – Uśmiechnął się Bener. – Ale nie, to nie jest Janek. To nie jest pana brat.

– No to kto?

Dziennikarz odwrócił na chwilę głowę i spojrzał w bok. Nienawidził tych gier, ale za każdym razem tak to musiało wyglądać. Prawdę trzeba było wrywać po jednej nitce, zanim sięgnęło się garścią i wyszarpnęło cały kłębek.

– To pan – odpowiedział Bener.

– Co pan pieprzy? – warknął Stemperski i zrobił krok w stronę windy. Bener zagroził mu drogę i włożył rękę do kieszeni. Zaprzeczenie, zdziwienie, a teraz dyskretna próba ucieczki. Cieszył się, że te

etapy mieli już za sobą.

– Marcelina Bączkowska. Czy to nazwisko coś panu mówi?

– Nic a nic.

Bener wydał usta.

– Pewnie nie zdążyła się przedstawić – powiedział.

Daleko za plecami Stemperskiego zapaliło się światło. Po chwili Bener zobaczył zbliżającego się do nich mężczyznę, który szedł cicho jak pajak. Płaszcz miał przewieszony przez ramię, a na koszuli Bener dostrzegł wyraźnie odznaczające się szelki. Nie służyły do przytrzymania spodni.

– O czym pan mówi, do cholery? Miałem ciężki dzień i chcę iść do domu.

– Obiadu dziś nie będzie, nie musisz się spieszyć. – Bener położył ręce na biodrach. – Marcelina Bączkowska ma grupę krwi ABRh+. Może to ci rozjaśni w głowie, co?

– Daj mi pan spokój! – Stemperski ponownie spróbował odepchnąć Benera, ale ten nie ruszył się z miejsca. Chwycił mężczyznę za fraki i docisnął go do ściany.

– Nie pogrywaj ze mną, gnoju – szepnął Bener.

Mężczyzna z przewieszonym przez ramię płaszczem stanął przy nich.

Stemperskiemu strach zajrzał w oczy, gdy biznesmen zauważył pod pachą nieznanego pistolet. Szarpnął się, ale nic to nie dało. Bener trzymał go mocno.

– Jan Stemperski, twój brat, wiedział, co się stało. Wiedział, że zgwałciłeś Marcelinę Bączkowską... – odezwał się Bener.

– Ja jej nawet nie znam!

– Nie pierdol! Pożyczyłeś wóz od brata, ale nie po to, by pojechać do Bydgoszczy po regał. Nie kupiłeś żadnego jebanego mebla, wiem to od twojej żony. Wziąłeś jego samo-chód i zerznąłeś tę biedną dziewczynę. A tu jest dowód! – Bener wyjął rękę z kieszeni i otworzył przed mężczyzną dłoń, na której leżała biżuteria. – Bransoletka, ta sama, którą zgubiła podczas gwałtu. Potwierdziła, że to jej.

– O czym ty pieprzysz?

– Twój brat znalazł ją w samochodzie. Być może chciałeś mu ją wtedy odebrać, ale podczas szarpaniny bransoletka gdzieś spadła i nie mogłeś jej znaleźć. Twoja bratowa mówiła, że przychodziłeś potem do garażu. Niby po co tam wracałeś, co?

Stemperski z przestraszeniem wpatrywał się w Benera, który wreszcie go puścił.

– Nie wiem, o co tu chodzi – wydukał.

– Dziewczyna zapamiętała sporo. Nawet pomarańczową choinkę zawieszoną na lusterku. I zapach cytrusów też.

– Pierdoli głupoty!

– Morda! – Bener bał się, że wpadnie w szal i rozbije gnojowi nos albo wargę, a najlepiej łuk brwiowy. Powstrzymał się tylko dlatego, że dał słowo, że Stemperskiemu włos z głowy nie spadnie.

– Mów, gdzie jest twój brat i co mu zrobiłeś?

– Nic mu nie zrobiłem! Nie mam pojęcia, gdzie on jest! Naprawdę!

Bener rzucił okiem na stojącego obok mężczyznę, który od jakiegoś czasu przysłuchiwał się ich rozmowie. Policjant Leon Brodzki dał znak, że już czas – zabierze Stemperskiego ze sobą.

Bener odsunął się i czekał, aż Stemperski odklei się od ściany. Kiedy to zrobił, reporter kopnął go w krocze.

– Kurwa, Marek, nie tak się umawialiśmy. Zdecyduj się, z kim tańczysz – wycedził Brodzki, którego zagłuszył skowyt Stemperskiego.

– Przecież włos mu z głowy nie spadł. Co najwyżej kilka łonowych – odpalił Bener. – O ile ta ciota nie strzyże jaj.

Brodzki stłumił śmiech, podniósł z kolan Stemperskiego i uświadomił mu, że zabiera go na komendę. Mężczyzna stał pochylony i spięty. Kiedy uniósł głowę, Bener poznał po jego zaciśniętych powiekach i otwartych ustach, że ból w jego podbrzuszu dopiero osiągał pełną moc.

Już mieli odejść, kiedy Bener szarpnął Stemperskiego.

– Wiesz, jak witają w pierdлу gwałciciela? – zapytał, a potem puścił do niego oko. – Dobrze ci

radzę, zainwestuj w wazelinę, bo trzonek od szczotki wejdzie po same migdałki.

Odprowadził Brodzkiego i Stemperskiego do bramy. Gdy tylko zaczęła się podnosić, Benera oślepiło niebieskie światło koguta, ślizgające się po ubitym na podjeździe śniegu.

Przy radiowozie stało dwóch policjantów.

– Od kiedy cię zobaczyłem, wiem, że cała jesteś spięta.

Nie odpowiedziała, więc zrozumiał, że trafił. Jego rozgrzane dłonie masowały teraz drugą stopę.

– O nic nie pytam, chcę tylko, żebyś wiedziała, że tak.

– Co tak? – odpowiedziała nieco sennym głosem.

– Tak, zawsze możesz wrócić do „Echa”. Od marca zwalnia się etat. Ale to nie wszystko. Nie ty go zajmiesz. Zajmie go twój współpracownik.

– Że co?

– Nie będę prowadził już „Echa”. Nie wyrabiam, nie mam na to ani sił, ani ochoty. Wydaje mi się, że marnuję czas. Zresztą nieważne – urwał. – Chciałem cię prosić, żebyś przyjęła posadę naczelną.

Aldona zabrała stopy z jego ud.

Bener znowu pociągnął łyk piwa i dopiero po chwili pozbył się wstydu na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy. Nie był zadowolony z tego, co w nich zobaczył, ale spodziewał się tego.

– Praca jest wszystkim, co masz. Jediną nadzieją i jedynym ratunkiem – powiedziała Aldona i natychmiast dodała: – W obecnej sytuacji.

Bener patrzył na jej usta, mocno zarysowaną szczękę, szczupłą szyję, aż zjechał niżej, na stopy, i wpatrując się w nie, zamyślił się.

– W obecnej sytuacji – rzekł wolno – nie znajduję w sobie dość siły na tę robotę.

Zakręcił palcem kółko, wskazując pokój, w którym się znajdowali, i dodał, że to jest jego nowa robota. Nic więcej nie musiał mówić, Aldona wiedziała, że w swoim skazonym umyśle Bener uważa, że powinien zadośćuczynić za swoje zaniedbania wobec Agaty.

– Niczego nie musisz odpokutować – rzuciła. – Być może jesteś bliżej prawdy i odnalezienia Agaty niż kiedykolwiek.

Kłamał. Ale kłamstwo przychodziło mu łatwiej niż mówienie prawdy. Kłamał, bo nie chciał, żeby Aldona męczyła się dłużej w Warszawie. O wszystkim, co się tam wydarzyło wiedział od znajomego, z którym załatwiał Aldonie robotę, a z którym ona pracowała. Chciał pomóc Aldonie, wiedział, że nie ma nikogo innego na tym świecie, komu chciałby tak bezinteresownie pomagać. Żał byłoby mu jej zmarnowanego talentu i pasji. Poświęcił jej sporo uwagi, sądził, że rozumiała ten zawód lepiej, niż on rozumiał go teraz. Poza tym Bener czuł, że powoli wytraca impet, a wszystkie cele, które wyznaczył sobie kilka lat temu, dziś ginęły w śnieżnej zawierusze. Pogubił się. Miał poczucie, że nie ciągnie już tego wózka z taką siłą jak kiedyś i że zamiast wprowadzić jego koła w ruch silnym szarpnięciem, woli wsiąść na niego i toczyć się bezwładnie ku nieuchronnej katastrofie. Od zaginięcia Agaty czuł się jak zraniony żołnierz. Rana krwawiła, odbierając mu siły i jakąkolwiek motywację. Przez ostatnie lata zmuszał się do działania. Teraz nie miał już na to najmniejszej ochoty. A „Echo Torunia” powinno się rozwijać. Jeśli ktokolwiek mógł nadać nowy kierunek tej gazecie, to była to wyłącznie Aldona. Dlatego przed chwilą podjął taką decyzję, a teraz poprosił ją, żeby się uśmiechnęła.

– Nie mogę przyjąć tej roboty, przecież wiesz – odpowiedziała.

Obawiał się tego. Miał jednak przygotowany plan B.

– Wiem. Dlatego proszę cię o pomoc. Zajmij się redakcją pod moją nieobecność. Na jakiś czas. Tylko tyle.

Aldona zacisnęła zdrową dłoń na palcach stóp i pocierała je lekko, próbując na nowo je rozgrzać.

– Zrobię to, ale najpierw zbadam sprawę zaginięcia Michała Waltera.

Bener przytaknął. Zaakceptował to rozwiązanie, przynajmniej na razie dawało jakąś nadzieję. Obawiał się tylko, że dla Aldony propozycja przejęcia „Echa” nie jest zawodowym wyzwaniem, szczególnie po tym, czym zajmowała się w Warszawie. Ale przynajmniej próbował. Ucieszył się z tego, że Aldona pobędzie z nim w Toruniu choćby przez kilka dni. Wierzył, że jej spojrzenie na sprawę zaginięcia Waltera może im pomóc, być może dostrzeże ona to, czego on – zaangażowany emocjonalnie



– zwyczajnie nie widział albo nie chciał widzieć.

– Mam nadzieję, że to znajdziesz – stwierdził.

– Co?

– To, czego sam nie umiem dostrzec w sprawie jego zaginięcia.

– Jestem! – krzyknął Rak. – I muszę wam coś pokazać. Ale to za chwilę.

Aldona z Benerem wymienili spojrzenia.

Rak przeszedł przez salon i usiadł na swoim miejscu. Miał czerwone od mrozu policzki, a jednocześnie mokre od potu włosy. Zalogował się bez słowa, po czym postukał w klawiaturę i odwrócił laptopa w ich stronę.

Bener spojrział na obrazek przedstawiający niebieskie niebo, palmę i plażę. I napis: *last minute*.

– Potrzebuję chwili spokoju – powiedział i nachylił się, żeby pomasażować od dołu udo zdrętwiałej nogi. – Muszę poukładać sprawy prywatne, które ostatnio trochę zaniedbałem. – Rak spojrział najpierw na Aldonę, potem na Benera. – Wiem, że to nie jest najlepsza pora, ale... Chodzi o to, że mam ostatnią szansę. Nie chcę tego spierdolić.

– Zaraz, zaraz... – przerwał mu Bener. – Kiedy?

Rak wstał i przeszedł do kuchni. Redaktor odprowadził kuśtykającego fotografa wzrokiem, aż ten zniknął za ścianą.

– Raku, tylko nie mów mi, że spakowałeś już kąpielówki – rzucił naczelny, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Bener ściągnął brwi i rozłożył ręce, dając znać Aldonie, że nie wie, o co tu chodzi.

– Zrobić wam coś do picia? – usłyszeli.

– Tak, kurwa, drinki z palemką nam przynieś! Z sopolkiem z rynną najlepiej! – Bener nie dowierzał, że Rak naprawdę myślał o wyjeździe. Nie w takiej chwili, kiedy na głowie mieli dwa zaginięcia. – Czy możesz tu łaskawie podejść, faraonie, i oświecić mnie niczym egipskie słońce?

Rak stanął w drzwiach kuchni i oparł się o framugę.

– To dla mnie ważne... – zasępił się.

Bener złożył dłonie jak do modlitwy i opuścił głowę. Aldona nie widziała jego twarzy, która pozostawała ukryta za zasłoną włosów.

– Czy to z powodu tej dmuchanej lali? – odezwał się Bener, nie zmieniając pozycji.

– Powodów jest wiele, a głównym z nich jest to, że nie ma mnie w domu.

– Tę lalkę biorę na siebie, mogę jej to wytłumaczyć... – Bener starał się opanować.

– Nie chodzi tylko o to, wiesz, ona teraz...

– Dobra, dość ciuciubabki. – Bener zarzucił włosy na plecy. – Kiedy wyjeżdżasz?

Rak spojrział na Aldonę, Aldona na Benera. Bener nie chciał patrzeć na nikogo.

– Jutro.

– Jutro – powtórzył Bener.

– Właściwie to dziś w nocy. O czwartej mamy samolot z Warszawy.

Zagwizdał czajnik.

Naczelny zamknął laptopa.

Aldona mrugnęła do Benera i uspokoiła go gestem, po czym poszła za Rakiem i zamknęła za sobą drzwi.

Bener stracił poczucie rzeczywistości. Nie był w poważnym związku od lat, całe dni spędzał w pracy. Zapomniał już jak to było, gdy poznał Agatę. Wtedy, pod byle pretekstem, chętnie urywał się z roboty, by pobyć z nią jak najdłużej.

– Dobra, już nie chcę żadnych drinków – krzyknął w stronę zamkniętych drzwi, które otworzyły się po chwili. – Chodźcie tu.

– Nadal jednak nie wiem, skąd Jan Stemperski wiedział o tym, co zrobił jego brat. – Bener zmierzał do końca przydługiego wyvodu. – Przecież nie mógł złapać go na gorącym uczynku, bo nie wiedział, gdzie Piotr się znajduje. Pomijam już to, że Jan nie miał wtedy samochodu.

Aldona się zamyśliła, a Rak sięgnął do torby po laptopa Stemperskiego.

– Zalałem go piwem – przyznał się.

Bener poczuł delikatne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Rak go uprzedził.

– Wypiąłem więc jego bebechy i podłączyłem twardy dysk do mojego starego kompa stacjonarnego. Coś wam pokażę.

Bener poderwał tyłek i stanął za nim z jednej strony, Aldona dołączyła z drugiej.

Rak wskazał na ekran.

– Wiesz, co to jest? – Podniósł głowę w stronę Benera.

Ten patrzył na kolorową ikonkę, przedstawiającą samochód na tle oka, która prawdopodobnie miała służyć do uruchomienia konkretnego programu.

– Monitoring pojazdów – oznajmił Rak. – Nasz zaginiony zainstalował sobie system GPS w swoim wozie.

– Skąd wiesz? – Bener potarł palce.

– Firma z Wrocławia, która oferuje ten system, bierze za niego trzysta osiemdziesiąt złotych, dokładnie tyle, ile zapłacił Jan Stemperski.

– Zaraz. Przecież tyle zapłacił w sklepie na Poznańskiej – wtrąciła Aldona, zaznajomiona wcześniej ze sprawą.

– Wszystko się zgadza. Właśnie z tym sklepem współpracują w Toruniu na zasadzie wyłączności. Zadzwoń na centralę i bingo!

– Czyli że facet, z którym gadałeś, ten ze sklepu na Poznańskiej, wyprowadził nas w pole, tak? – zauważył Bener.

– Tak, ale teraz nie ma to już znaczenia, bo...

– Czy samochód wciąż nadaje sygnał? – przerwał mu Bener.

– Tak.

Rak kliknął dwukrotnie w ikonkę. Po chwili pojawił się ekran powitalny i program krótkim dźwiękiem oznajmił gotowość do pracy.

Cała trójka wpatrywała się w wyświetlaną mapę, na której migotała czerwona kropka.

Rak musiał zmienić skalę wyświetlania na mniejszą, by mogli się zorientować, o którą część miasta chodzi.

– Jadę tam! – krzyknął Bener i wyszedł do ciemnego przedpokoju, w którym śnieg z butów Raka roztopił się i rozlał po kafelkach. Bener przemoczył skarpety, ale nie miał czasu ich przebierać.

Włożył kurtkę i zanim wyszedł, zawołał:

– Zadzwoń, gdy dojadę na miejsce!

Aldona i Rak nie odpowiedzieli. Oboje wciąż patrzyli na ekran. I na kropkę, która mrugała niedaleko miejsca zamieszkania Jana Stemperskiego.

Bener zjechał ze starego mostu i za tunelem pod torami kolejowymi skręcił w górę, w Poznańską. Znacznie naruszał przepisy, jeśli wziąć pod uwagę nie tylko znaki, ale również ubity na jezdni śnieg. Koła wrzynały się w uformowane koleiny, które miejscami odsłaniały asfalt. Jechał po tych czarnych strużkach szybko jak po szynach. Na szczęście ruch był o tej porze niewielki.

Było tu ciemno, jedyne światło padało z reflektorów jego leciwego forda.

Bener rozejrzał się i przedzwonił do Raka.

– Niczego tu nie widzę – rzucił, gdy fotoreporter odebrał połączenie.

– A gdzie stoisz?

– Przy stacji.

– To podjedź dalej.

– W prawo?

– W prawo i od razu w lewo. Przynajmniej tak pokazuje zdjęcie satelitarne.

Bener przełączył aparat w tryb głośnomówiący i położył go na fotelu pasażera. Dodał gazu. Śnieg zaskrzypiał pod kołami, a reflektory oświetliły czarne pnie drzew. Po lewej minął zamkniętą litą bramę, za którą skrywały się zabudowania fortu pruskiego.

– I jak? Wjechałeś już w las? – dopytywał Rak.

– Właśnie wjeżdżam.

Stary eskort zakołysał się delikatnie na nierównościach, zatrzeszczały plastiki.

Bener sięgnął do schowka po latarkę, a następnie opuścił boczną szybę. Nie zwróciwszy uwagi na siarczasty mróz, który smagał go po twarzy, przeczesywał nikłym światłem ciemny las. Patrzył raz przed siebie, a raz w bok.

Przejechał tak około pięćdziesięciu metrów, gdy jakiś odbłysek zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się.

– Mam coś – wymamrotał, wypuszczając z ust kłęby pary. – Oddzwonię.

– Czekaj! Nie rozłączaj... – usłyszał głos Aldony, ale nie dał jej dokończyć zdania.

Zapiął kurtkę, schował długie włosy pod czapkę i postawił martensy na świeżym, nieubitym puchu. Zatopił nogi w śniegu po łydki i zrobił pierwszy krok.

Oddalał się wolno od mrużącego forda, którego zostawił na jałowym biegu i z włączonymi światłami. Skierował latarkę w to samo miejsce, gdzie, jak sądził, zaskoczył go świetlny refleks. Minął pierwsze drzewa, potem przystanął i podążył za światłem przenośnej lampy w lewo, na pasmo krzaków.

Wtedy to zobaczył. Z nagich gałęzi zwisało kilka stłuczonych butelek, które ktoś przywiązał sznurkiem za szyjki. Pewnie dzieciaki bawiły się w strzelnicę i rzucały w nie kamieniami. Bener zawrócił zawiedziony, ale zatrzymał się w pół kroku. Tam było coś jeszcze.

Odwrócił się.

Obok krzaków, którym się przyglądał, dostrzegł ślady butów wyżłobione w śniegu. Prowadziły w stronę ścieżki, dokładnie tam, gdzie zostawił forda. Bener obszedł krzaki i ruszył śladem w przeciwnym kierunku, w stronę fortu. Kiedy tylko skierował tam latarkę, nabrał pewności, że dobrze trafił. Światło ułożyło się miękko na białym tylnym błotniku. Rozpoznał berlingo Stemperskiego bez trudu, bo drzewa, jak parasole, uchroniły je przed zasypaniem śniegiem, a biały lakier sprawił, że wóz nawet w dzień mógł pozostać niezauważony.

Śladów czyjejś obecności było tu sporo. Ktoś dotarł do berlingo i zrobił pewnie to samo, co teraz zamierzał zrobić Bener, który zajrzał do wnętrza, oświetlając je przez szybę latarką. Było puste i nienagannie utrzymane. Założył rękawiczki i szarpnął drzwi. Ustąpiły z lekkim zgrzytem. Nachylił się, żeby wymacać kluczyki w stacyjce, ale nie znalazł ich tam. Nie dostrzegł też żadnych śladów krwi, walki, niczego, co wzbudziłoby jego niepokój. Przeszedł do drzwi pasażera i otworzył je, żeby zajrzeć do schowków. Były puste i wysprzątane. Samochód wyglądał tak, jakby rzeczywiście był szykowany do sprzedaży.

Pozostało mu jedynie zerknąć do bagażnika.

Śnieg znowu zaskrzypiał pod butami.

Bener stanął z tyłu i sięgnął do klamki znajdującej się nad tablicą rejestracyjną.

Chwilę się wahał, zanim pociągnął za klamkę.

Szerokie drzwi podjechały do góry ze zgrzytem teleskopów, a Bener odskoczył.

– Spokojnie, poradzi sobie – zapewniał Rak. – Znasz go. I tak by na nas nie zaczął.

– Powinniśmy pojechać tam razem. – Aldona upierała się przy swoim.

– Odezwie się. – Rak dopił zimną herbatę.

– Okej, masz rację. – Usiadła z powrotem przy szerokim blacie. Musiała zająć czymś myśli, by w przypiływie desperacji nie pojechać za Benerem. – Dobra, mów, co wiesz o zaginięciu Michała Waltera. Interesuje mnie każdy szczegół.

Rak opowiedział jej wszystko od początku, skupił się jednak na nocnym zapisie z monitoringu, ostatnim, na którym widać Waltera. Chwilę później mechanik rozplynał się jak we mgle.

Wszystko to Aldona już wiedziała.

– Myślałeś o tym, co mogło go łączyć z Agatą?

Rak pokiwał głową.

– W przeciwieństwie do Benera cały czas o tym myślę. – Rak nie silił się na ukrywanie złości. – Mam wrażenie, że to postać kluczowa do rozwiązania tej zagadki. Facet nie mógł zniknąć

bez powodu. Ale coraz częściej zastanawiam się, kto zrobił mu to zdjęcie i dlaczego. O co w tym wszystkim chodzi?

Radosław Rak wyglądał na wyczerpanego. Aldona jeszcze nie widziała go w takim stanie. Przeczesał ręką włosy, a następnie potarł powieki, pod którymi zauważyła sine półksiężycy.

– Jedno zdjęcie Bener dostał pocztą, drugie zostawił mu Szaman – przypomniała Aldona. Wrzuciła na drukarkę oba pliki. Maszyna się obudziła, zaszumiał okręcający się toner. – Może to on ma z tym coś wspólnego? A może dotarł do Neumana i wie, że to jego robota, co?

– Nie znalazłem żadnego punktu zaczepienia, ale kto wie.

– Szaman od dawna chce dopiec Neumannowi i zemścić się za to, co go spotkało.

– Zgadza się. – Rak ziewnął. – Przerzucę ci wszystkie informacje w tej sprawie na nasz wspólny dysk. Zerkniesz sobie później. Gdybyś miała z czymś problem, to pisz, SMS-uj, dzwoń. Będę dostępny.

– Okej. – Aldona wstała i przeszła się po pokoju, rozprostowała plecy, a następnie pozginała palce zagipsowanej ręki. W końcu, kiedy Rak przegrywał pliki, podeszła do tablicy korkowej i powiesiła na niej dwa wydrukowane przed chwilą zdjęcia. Dwa różne kadry, ale niewątpliwie wykonane w tym samym miejscu i czasie.

Usłyszała, jak Rak pakuje torbę.

– Lecisz? – spytała, wciąż przyglądając się zamieszczonym na tablicy informacjom.

– Tak, już czas.

– Uważaj na siebie.

Wróciła do komputera, żeby przejrzeć katalog plików od Radka. Wypisała sobie numery kontaktowe osób, z którymi zamierzała porozmawiać jutro. Skupiając się na pracy, straciła rachubę czasu, ale tępy ból zoperowanej dłoni przywołał ją do rzeczywistości. Inaczej nie odkleiłaby się od ekranu, na którym wyświetlało się CV Michała Waltera, które złożył swojemu ostatniemu pracodawcy. Plik przeglądała kilkakrotnie.

– No odbierz, Bener – mruknęła.

I właśnie wtedy zobaczyła na ekranie coś, na co wcześniej zupełnie nie zwróciła uwagi.

Niby detal.

Ale ten detal mógł mieć znaczenie.

Bener odetchnął, bo bagażnik był pusty.

Zamknął samochód i rozejrzał się.

Ruszył dalej po śladach, które prowadziły przez wzniesienia w ciemną otchłań starego, opuszczonego fortu.

Latarka pracowała bez zarzutu, ale nie świeciła już tak ostrym światłem jak jeszcze kilka minut temu. Nie przygasiała, nie mrugała, Bener jednak wiedział, że powinien się spieszyć.

Brnął przed siebie w gęstym i wysokim śniegu, czując pod grubymi podeszwami twardą, zmarzniętą skorupę. Wspinał się na wzniesienie, chwytając się grubych konarów, a czasem cienkich, lecz wytrzymałych witek krzaków. Czapka ślizgała się po spoconym czole.

Bramę fortu musiał mieć po lewej, o ile dobrze się orientował w terenie. Jeśli tak było, to musiał iść wzdłuż muru i znaleźć w nim dziurę, miejsce po dawnej furcie. Miejskie forty, chociaż najczęściej miały prywatnych właścicieli, niszczały z roku na rok. Pierścień forteczny, unikatowy na skalę europejską, otaczał miasto po to, by go bronić, ale kiedy przyszło do obrony zabytkowych obiektów, okazało się, że nikomu nie jest to na rękę. A teraz, jak na ironię, wymyślono, że w jednym z takich zapomnianych obiektów, w Koszarach Bramy Chełmińskiej na skraju starówki, powstanie Muzeum Twierdzy Toruń. Na konferencji prasowej Bener dowiedział się, że miasto wyda na to dwadzieścia dwa miliony złotych. Jako jedyny spośród dziennikarzy prychnął i zapytał o resztę zabytkowych obiektów. Prezydent ze srogą miną rozkręcał się w swoich wyjaśnieniach, a Benerem targało wkurwienie. Wiedział, jak się to wszystko skończy. Odrąbi się sukces nowego muzeum, a twierdza nadal będzie niszczała i nadal wszyscy będą ją mieli w dupie. No może poza toruńskimi miłośnikami zabytków. Właśnie wtedy Bener poznał Michała Kadleca, autora bloga Po Toruniu, wielbiciela wszystkiego, co toruńskie. Wybrał się z nim do kilku fortów, dzięki czemu przypomniał historię toruńskiej twierdzy na łamach „Echa”.

Bener spotkał się z Kadlecem kilka miesięcy temu, na przełomie lata i jesieni. Pamiętał jego uśmiechniętą twarz i to, jak trzydziestolatek ściągał kaszkiet, by otrzeć pot z czoła tuż po tym, jak wdrapali się na koronę Fortu XI. Tego samego obiektu, do którego Bener miał wejść za chwilę.

Szukał teraz wyłomu w murze okalającym obiekt i wiedział, że jest już blisko. Zgubił, co prawda, ślady prowadzące od samochodu, ale nie miało to znaczenia. Szczególnie teraz, kiedy światło latarki przecięło ciemność po lewej. Przecisnął się przez krzaki, gałęzie smagały go po twarzy, nacinając ostrymi końcami zmarzniętą skórę policzków.

Syknął ze złości, ale nie odpuścił. Po kilku krokach przebił się przez naturalną barierę i wtedy dopiero latarka wyłowiła z ciemności dwukondygnacyjną, potężną budowlę wzniesioną grubo ponad sto lat temu. Nad wysoką linią elewacji z cegieł pochylały się smętnie ciężkie od śniegu drzewa porastające koronę fortu.

Wtedy usłyszał dźwięk swojego telefonu.

– Masz coś? – spytał Brodzkiego bez zbędnych wstępów.

– Wydaje się, że powiedział wszystko. Idzie w zaparte, ale nie sadzę, żeby wiedział, co stało się z jego bratem. W ogóle nie wygląda na takiego, któremu wiedza rozsądza czaszkę.

– Gówno tam! Przycisnąłeś go?

– To łajza. Gdybym go przycisnął, posrałby się ciurkiem – westchnął Brodzki i po chwili rzekł bez przekonania: – Odezwę się, gdy ustalę coś nowego.

– To ja się odezwę.

Usłyszał, jak Brodzki odpala zapalką papierosa, zaciąga się i po chwili wypuszcza powietrze.

– Co masz na myśli? – spytał policjant niewyraźnie. Pewnie trzymał w ustach papierosa.

– Trzymaj telefon przy dupie i włącz wibracje. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

– Widzę, że kolega dba o moje życie erotyczne. Dziękuję – zarechotał. – A tak na poważnie, masz coś?

– Coś mam.

Brodzki znowu westchnął.

– Okej. W pogotowiu – stwierdził. Po chwili ciszy dodał: – A, i jeszcze jedno. Marek, to była dobra robota... Ale wiesz, że nie mogę...

– Wiem, nie robiłem tego dla chwały. Bierz wszystko na siebie i szykuj klapę na ordery.

Dziennikarz już miał schować telefon, gdy dostrzegł na ekranie kilka nieodebranych połączeń. Większość od Aldony i Raka. Obiecał sobie, że oddzwoni później.

Echo oddało odgłos jego ciężkich butów, kiedy stawiał kroki na szorstkiej betonowej posadzce.

– Pani Walter?

– A kto mówi?

– Aldona Terlecka. Marek Bener, naczelny tygodnika „Echo Torunia”, miał panią uprzedzić, że będę dzwoniła.

– W sprawie mojego syna, tak?

– Tak. Chodzi o Michała.

– Pan Marek nie dzwonił...

– Pewnie zapomniał, ale chciałam panią o coś zapytać.

– Gdyby była pani od Marka Benera, to wiedziałaby, że nie udzielam informacji przez telefon.

– Rozumiem. – Aldona spojrzała na zegarek. Było wpół do dwudziestej. – Czy jeśli będę u pani za dwadzieścia minut, udzieli mi pani kilku odpowiedzi?

– Teraz? Teraz chce pani przyjechać? Ciemno już.

– Wolałabym nie odkładać tej rozmowy.

– Ale czy coś się stało? – spytała zaciekawiona, a może wystraszona Walterowa. Aldona nie umiała wyczuć emocji w głosie starszej kobiety.

– Na razie nie mamy żadnych nowych tropów, ale kilka istotnych kwestii wymaga szybkiego uzupełnienia. – Dzień-nikarka zarzuciła wędkę i przyglądała się spławikowi.

Kobieta trawiła prośbę. Aldona wydrukowała już CV zaginionego i przynajmniej jedną

odpowiedź zamierzała dziś uzyskać. Odpowiedź, która być może rzuci nowe światło na sprawę.

– No dobrze, to niech już pani przyjedzie – usłyszała.

Bener szedł, zachowując czujność. Z niezrozumiałych powodów czuł się tu jak w zapomnianej przycmentarnej kaplicy, jakby za chwilę wieka trumien miały z hukiem spaść na podłogę, a zombie ruszyć w jego stronę.

Poczuł pierwsze, lodowate krople potu w dole pleców. Każdy jego krok brzmiał w tej ciszy jak wystrzał. Dźwięk odbijał się od cegieł, po czym biegł przez pomieszczenia, by po chwili wrócić do Benera. Dziennikarz zatrzymał się przy wejściu do czegoś, co kiedyś pewnie było kuchnią. Wielkie palenisko z cegieł przypominało kupę gruzu, nad którą wisiał ogromny walec, pełniący niegdyś funkcję komina. Wzrok Benera podążał za jasną plamą światła z latarki, które łamało się na nierównościach. Pod sklepieniem spały nietoperze.

Przeszedł dalej, między pustymi salami, i – o ile dobrze pamiętał ze spotkania z miłośnikiem fortyfikacji – kierował się w stronę jednej z kaponier, w pobliżu której na suficie wisiały ogromne, porzewiałe haki. Pamiętał je doskonale.

Czas leciał, a on nie posunął się w odnalezieniu Stem-perskiego ani o krok. Fort był ogromny, a na jego zwiedzanie za dnia potrzebował co najmniej dwóch godzin. Obawiał się, że teraz zejdzie mu dłużej.

Na poranionych policzkach Bener poczuł mroźny powiew. Im bliżej był kaponiery, tym podmuchy wiatru stawały się silniejsze.

Ale nie chodziło tylko o chłód. Wiatr niósł ze sobą coś jeszcze.

Coś, co spowodowało, że przyspieszył.

– No więc, co panią sprowadza? – Matka Michała Wal-tera była od Aldony wyższa o głowę i miała posturę atletki. Granatowa sukienka nie ukryła grubych łydek, takich samych bicepsów oraz szerokich ramion. Stawy skokowe były napuchnięte tak, że przypominały Aldonie nogi słonia.

Dziennikarka spojrzała w kwadratową twarz kobiety, zauważyła lekko obwisłe policzki i wykrzywione, skierowane ku dołowi kąciaki ust. Oczy Barbary Walter wypełniał bezgraniczny smutek matki, która każdego dnia zmaga się z tęsknotą za ukochanym, jedynym synem.

Wnętrze ciasnego mieszkania w bloku przy Dworcowej wypełniały liczne meble. Z półek spoglądały na Aldonę oczy niezliczonych Matek Boskich i Jezusów Chrystusów, a w narożniku, koło telewizora wzrok w podłogę wbijał święty Antoni, patron osób i rzeczy zaginionych. On jeden, zdaje się, nie miał odwagi patrzeć w oczy utrapionej Barbary Walter. Kolorowa figura, wysoka na metr, wykonana z tego samego materiału co krasnale ogrodowe, przyprowadzała Aldonę o mdłości. Ze ścian zwisały wydrukowane kartki z modlitwami i różańce. Nigdzie natomiast nie znalazła zdjęcia Michała Waltera.

– Michał żyje, czuję to jako matka. Rozumie pani? – odezwała się kobieta, ocierając wilgotne oczy. – Czy ma pani dzieci?

Aldona zaprzeczyła, a Barbara Walter uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Jest pani młoda, kiedyś to pani zrozumie – powiedziała, pociągając nosem.

Dziennikarka wyjęła z torebki teczkę, a z niej wydruk CV Michała Waltera. Podała kartkę matce mężczyzny, która przebiegła wzrokiem tekst.

– To jego – potwierdziła, skinąwszy głową. – Ale właściwie czemu pani mi to pokazuje?

– Syn często zmieniał pracę, prawda?

Kobieta podniosła głowę i zaczęła wpatrywać się w sufit. Mrugała powiekami, jakby przepędzała w ten sposób łzy.

– To nie tak. On zmieniał pracę dlatego, że chciał pracować.

– Nie rozumiem.

– Najczęściej podłapywał robotę na kilka miesięcy, staże albo coś przez pośredniak. Kiedy jednak okres zatrudnienia się kończył, pracodawcy nie chcieli już przedłużać umowy, bo sami musieliby płacić im pensję. Zamiast tego woleli brać kolejnych stażystów i wykorzystywać pieniądze z pośredniaka. I tak w kółko. Każdy chce zaoszczędzić parę groszy.

– Dobrze sobie radził?

– Co ma pani na myśli? – Barbara Walter z grymasem bólu wyciągnęła przed siebie słoniowe nogi.

– Czy szanował pracę?

Matka zaginionego przymknęła oczy i złożyła dłonie na brzuchu.

– Wie pani, co zrobił, kiedy dostał od mojego świętej pamięci męża swoją pierwszą motorynkę?

– Przejechał się wokół domu? – Aldona nie siliła się na wymyślną odpowiedź.

– A skądże znowu. – Walterowa machnęła ręką. – Wziął z ojcem brezent i przed garażem rozebrali ją do ostatniej śrubki. Złapałam się za głowę, krzyczałam na nich, że gwarancja, że części pogubią, ale oni tylko się ze mnie śmiali. Złożyli ją, do nocy im zeszło, ale złożyli, to lato było. A następnego dnia...

– Powtórzyli to?

Barbara Walter przytaknęła.

– Tak, ale tym razem mąż tylko się temu przyglądał. – Kobieta uśmiechała się lekko do swoich wspomnień. – Więc jeśli pani pyta, czy mój syn szanował pracę, to ma już pani odpowiedź. Poza tym jego ojciec ciągle mu powtarzał, że gdy on kiedyś umrze, Michał będzie musiał się mną zająć i utrzymać nas oboje. Syn brał to sobie do serca.

– Jednak nie zawsze pracował jako mechanik, prawda?

– Tak. Ale wtedy cierpiał. On był stworzony do silników, do smaru, on jak miał ręce utyłane po łokcie, jak brud za paznokciami miał, to był cały szczęśliwy. Ile to ja razy ścierą go goniłam do łazienki przed obiadem. Śmiałyśmy się z tego nawet, ale widzieć szczęście w oczach dziecka to największa radość matki.

Barbara Walter dostatecznie się już otworzyła, Aldona mogła przejść do sedna.

– Kiedy skończył pracę jako operator wózka widłowego – zaczęła – miał długą przerwę. Co wtedy robił?

– Nic.

– Nie szukał pracy, nie robił gdzieś na czarno?

– Nie.

– Nie myślał o założeniu firmy? Własnego serwisu?

– Nie.

Aldona wyczuła, że Walterowa się spięła.

– Taki zdolny chłopak, przecież umiał o siebie zadbać prawda? – zaryzykowała dziennikarka.

Gospodyni oddała jej kartkę z życiorysem syna.

– To był trudny dla nas okres. Zmarł mój mąż. Syn był z nim bardzo związany. Popadł w depresję.

– Przepraszam, że pytam, ale czy pani mąż chorował?

– Nie, proszę pani. Tego dnia wyszedł z domu jak zwykle o tej samej porze. Odprowadzałam go wzrokiem do garażu, piłam kawę przy oknie. Wziął samochód syna, poprzedniego dnia tak się umówili, i wyjechał do pracy do Torunia. Zasłabł za kierownicą i uderzył w stojącego na poboczu tira. To był udar, tak powiedzieli po sekcji.

– Dlaczego wziął samochód syna?

– Dzień wcześniej Michał naprawiał kolektor wydechowy w naszym aucie, ale brakowało mu jakiejś części. Walczył z tym do nocy, w końcu mąż wyszedł do niego i mówił, żeby dał spokój, że weźmie jego samochód. Michał był wtedy zły na siebie, że nie udało mu się tego naprawić. Niby i tak był bez pracy, ale akurat następnego dnia też potrzebował samochodu, bo podłapał jakieś drobne zlecenie. Miał gdzieś jechać ze znajomym, coś załatwić. Dał ojcu dokumenty i kluczyki, sam jednak wrócił do garażu i siedział tam tak długo, aż skończył, proszę pani. Rano samochód był gotowy, jednak Michał zasnął. Chciał wziąć swoje auto, ale mąż już wyjechał. Zmartwił się, choć w zasadzie nie wiem czemu, nasze było nowsze, duże i dobrze się nim jeździło.

Aldona współczuła kobiecie. Najpierw w tragicznym wypadku straciła męża, teraz bała się o syna, którego nie widziała od października. Nadzieja gasła w niej powoli, ale miało to niszczycielską siłę.

– Krótco potem Michał sprzedał nasz samochód, a za pieniądze z ubezpieczenia kupił sobie nowy, śliczny taki, niebieski. Był używany, ale przecież Michał się znał, więc wiedział, że...

Aldona nie słuchała Walterowej. Zamyśliła się.

Spojrzała raz jeszcze na wydruk i okresy, w których Michał Walter był zatrudniony. Jedna jedyna dziura obejmowała jesień 2010 roku.

– Kiedy doszło do wypadku? – przerwała kobiecie w pół zdania.

– Słucham?

– Kiedy zginął pani mąż?

– Niedawno minęło sześć lat i Pan Bóg wystawił mnie na kolejną próbę. – Z niedowierzaniem pokręciła głową.

Aldonę zaswędziła skóra na karku.

– Kiedy dokładnie?

– No, Michał zginął przecież w październiku zeszłego roku. – Walterowa złożyła ręce jak do modlitwy.

– Nie pytam o syna, pytam o męża.

– Nie uwierzy pani, bo w to doprawdy trudno uwierzyć.

Aldona poczuła, jakby czyjeś niewidzialne dłonie gwałtownie ścisnęły jej nerki.

– To był listopad, tak? – powiedziała to głośniejszym głosem, niż zamierzała, i była pewna, że odgadła.

– Tak. Mój mąż, proszę pani, zginął trzeciego listopada. – Walterowa otarła łzy. – Ale jedno trzeba Panu Bogu przyznać. Zabrał do siebie naprawdę świętego człowieka.

Latarka przygasła. Pomachał nią trochę, żeby pobudzić baterie, ale nic to nie dało. Plama światła była coraz bledsza, jednak Bener wierzył, że jest coraz bliżej.

Wreszcie stanął w ostatnim, najdalej wysuniętym na północ pomieszczeniu. W ścianach z cegieł dostrzegł wnęki, które mogły służyć jako nisze amunicyjne, a z prawej – pozostałości tajemniczej konstrukcji: szyny wbite w ścianę i podwieszki w suficie. Michał Kadlec, miłośnik fortyfikacji, mówił mu, do czego służą, ale Bener teraz tego nie pamiętał. Podszedł bliżej do otworów strzelniczych, przez które wpadało świeże powietrze. Nie czuł już tego odoru co wcześniej.

Musiał się pomylić.

Omiótł jeszcze raz latarką wewnątrz niewielkiego pomieszczenia.

Był tak blisko, na pewno coś przegapił.

Wyglądała na świeżą, nieregularny czarny kształt błyszczał w przygaszonym świetle latarki.

Dopiero po chwili poczuł smród.

Ściągnął szalik i owinał nim sobie twarz pod same oczy.

Powiódł wzrokiem od plamy na podłodze do tego, co znajdowało się nad nią. Najpierw dostrzegł czarne, oblepione mazią adidasy. Potem skarpety i nogawki z podłużnymi zaciekami. Bener oświetlił wisielca i dopiero wtedy go zemdliło. Tuż pod miejscem, gdzie kończyły się kurtka i plecy, czerniła się wielka plama. Jego wzrok przyciągnęły też napuchnięte, niemal czarne dłonie. Mężczyzna wisiał plecami do niego. Bener był pewien, że zaraz zarzyga cały fort.

Zrobiłby to, ale najpierw chciał spojrzeć Stemperskiemu w twarz, coś niewytłumaczalnego pchało go do tego, by wejść do pomieszczenia. Utrudniał to gęstniejący smród, który wykręcał mu flaki. Sunął przy ścianie, jakby bał się, że wisielec puści do niego oko i pomacha ręką. Cały czas nie spuszczał wzroku z przekrzywionej głowy denata.

Wreszcie Bener stanął tak, że mógł oświetlić jego twarz.

Ale to był błąd. Gwałtownie się odwrócił i nachylił.

Treść żołądka chlusnęła na podłogę.

Pytanie było inne. Czy istnieje jakikolwiek związek między Michałem Walterem a Wiktorem Neumannem, biznesmenem i człowiekiem duchem? Im dłużej Aldona o tym myślała, tym więcej pytań pojawiało się w jej głowie.

– Czy mówi pani coś nazwisko Wiktor Neumann?

Barbara Walter wyglądała, jakby kończyły się w niej baterie, jakby wspomnienia, które przed



chwilą raz jeszcze stanęły jej przed oczami, zużyły cały zapas jej energii.

– Nie. A powinno? Kim jest ten Neumann?

– A czy pani syn mógł znać Agatę Bener?

– Kogo?

– Żonę mojego...

– Matko Boska, przecież wiem, o kim pani mówi! – ożywiła się. – Dlaczego pani o to pyta?

– Po prostu staram się sprawdzić, czy w listopadzie dwa tysiące dziesiątego roku mogli się znać.

– Nie wiem, nie sędzę...

– A może mieli wspólnych przyjaciół?

– Nie wiem! Matko Boska, nie wiem przecież! – Kobieta przyłożyła dłonie do skroni. – Już mnie głowa rozbolała od tego wszystkiego. Czy pani coś wie? Dlaczego mnie pani nachodzi?

– Po prostu szukam nici, po których mogłabym dotrzeć do informacji o tym, gdzie Michał jest obecnie.

– Dlaczego pani to łączy? Te dwa zaginięcia? Czy jest jakiś konkretny powód?

Aldona zastanawiała się, czy nie powinna pomóc tej udręczonej smutkiem matce i powiedzieć prawdę. Ale prawda zadaje większy ból niż cisza. Zresztą zdjęcie samo w sobie żadną prawdą nie było. Jak dotąd nikt nie wiedział niczego więcej poza tym, że Michał i Agata musieli się poznać. A przecież nic z tego nie wynikało. Owszem, oboje się poznali i oboje zaginęli, ale w różnych okolicznościach i w różnym czasie.

Aldona wsunęła dłoń do torby i wymacała wydruki zdjęć. Miała je już między palcami. Wysunęła kartki z tekturowej teczki, nie spuszczać z oczu Barbary Walter, która przymknęła powieki i nie odrywała dłoni od głowy.

– Niech już pani idzie. Ja już nie mam na to wszystko siły – stwierdziła cicho starsza kobieta.

– Zaraz pójdę. Chciałabym tylko zobaczyć pokój pani syna.

Słoniowa ręka wskazała na drzwi.

– Byle szybko.

Wybiegł z fortu i szybkimi susami gnał drogą powrotną. Musiał sprawdzić raz jeszcze samochód Stemperskiego, zerknąć na tablice rejestracyjne. Kiedy był już blisko białego berlingo, spróbował ponownie połączyć się z Brodzkim.

– Odbierz, Leon! – warknął Bener.

Następnie Bener raz jeszcze otworzył drzwi od strony kierowcy i przyjrzał się wnętrzu. Kiedy zrobił to po raz pierwszy, jeszcze zanim wszedł do fortu, wydawało mu się, że coś przeoczył. Teraz kucnął, nachylił się i puścił wiązkę światła pod fotel.

Wsunął rękę i po chwili wyciągnął zwój kabli, których miedziane końcówki zaślniły w świetle latarki.

Zatrzasnął drzwi.

Nic z tego nie rozumiał.

Raz jeszcze dokładnie przeszukał samochód, ale bez rezultatu. Wrócił do swojego forda, który cały czas pracował miarowo. Diesel chuchał z rury wydechowej siwymi kłębamii dymu, rozchodzącymi się na wietrze. Bener wsiał, zapiął pas i zawrócił. Zatrzymał się dopiero na parkingu w pobliżu salonu fiata. Wtedy zapalił lampkę we wnętrzu i sięgnął do kieszeni.

Powróciły smród i obrazy, którymi katował się kilka minut wcześniej. Miał wrażenie, że odór wnikał nie tylko w strukturę materiału jego ciuchów, ale też sięgał głęboko pod jego skórę i dlatego redaktor już zawsze będzie śmierdział trupem.

Mimo że siedział w ciepłym samochodzie, zakręciło mu się w głowie.

Niczego już nie rozumiał.

A co, jeśli za śmiercią mężczyzny, którego znalazł w forcie, stoi właśnie Olgierd Szamojski? Tyle że jeśli rzeczywiście tak było, to Bener przecież nigdy nie znalazłby tych zwłok. Szaman sprzątał po każdej robocie, i to tak, że zaginieni nigdy nie wypływali i nie odnajdywali się w płytkich leśnych mogiłach. Szaman działał przezornie, nie był nastawiony na widowisko. Nie potrzebował tego, był

piekielnie skuteczny.

Bener myślał o tym długo, zanim wrzucił pierwszy bieg i wyjechał na Poznańską.

Gdy był w pobliżu komisariatu, oddzwonił Brodzki.

– Marek, nie truj dupy. Mówiłem ci, że gdy tylko czegoś...

– Posłuchaj, masz trupa w mieście. Wisi w forcie jedenastym.

– Co ty pieprzysz?

– Stary brelok. Czarny i napuchnięty.

– Skąd wiesz?

– Widziałem, dlatego w pobliżu znajdziesz moje ślady.

– Kurwa!

– Zbieraj ekipę i jedź. W lesie tuż obok, za zabudowaniami Polmozbytu, znajdziesz samochód.

– Czyj? Tego trupa?

– Stemperskiego.

– O kurwa – jęknął Brodzki.

– Ale to nie wszystko. To nie jest samobójstwo, zresztą sam zobaczysz. – Bener przypomniał sobie związane na plecach ręce.

– Marek, spierdalaj stamtąd, daję ci dziesięć minut.

– Dzięki za fory.

– I broń Boże nie mów nic jego żonie, my się tym zajmiemy.

– Jasne, Stemperskiej nic nie powiem...

– No przecież! I spierdalaj stamtąd! W podskokach.

– ...bo to nie on.

– Co?!

– To nie Stemperski.

Leon Brodzki głośno wypuścił powietrze.

– Jebane powtórki.

Bener wciąż miał przed oczami tę czarną, napuchniętą twarz z wywalonym, nabrzmiętym językiem i wytrzeszczone, a raczej wypychane przez gazy gnilne oczy. Mimo to nie miał wątpliwości, na kogo wówczas patrzył.

– To Michał Walter.

Zastanawiała się, dlaczego trzydziestotrzyletni mężczyzna wciąż mieszkał z matką. To, że czuł się odpowiedzialny za jej los, nie musiało jeszcze oznaczać wspólnego mieszkania. Pomagać można na wiele sposobów. Pamiętała, jak sama, mimo że nędznie zarabiała, wyprowadziła się z rodzinnego domu. Pęd do wolności i niezależności odziedziczyła po ojcu, królu stali, jak nazywano go w Toruniu, i była z tego naprawdę dumna. Motywował ją do walki, kazał przeć naprzód bez względu na okoliczności, a im były one gorsze, z tym głębszych pokładów siły korzystała Aldona. Pomyślała, że ojciec Michała Waltera, najzwyczajniej w świecie go skrzywdził, zrzucając na jego barki konieczność opiekowania się matką. Podciął mu skrzydła, zgasił w młodym człowieku naturalne potrzeby i dążenia. Na dodatek chłopak był trzymany na krótkiej smyczy przez nadopiekuńczą matkę. Może nawet i się buntował, ale w końcu zrozumiał, że z tej pułapki nie ma ucieczki. A później, z biegiem lat, traktował już ją jak dom. Może nawet cieszył się z tego, że mógł pójść do pracy z kanapkami z ogórkiem i pomidorem, wrócić na obiad i myć ręce, gdy obok na patelni skwierczały kotlety. Gorzej, gdy zamierzał przyprowadzić do siebie dziewczynę, chciał całować jej piersi i wsunąć dłoń w jej majtki, a od pokoju rodziców oddzielały ich jedynie wąskie drzwi z matowym świetlikiem.

Aldona przeszperała książki, bez większych nadziei zajrzała do szuflady biurka. Pod meblem dostrzegła listwę przepięciową na kilka gniazd i szereg podłączonych do niej kabli, których końcówki leżały przy ścianie. Komputer zabrali pewnie policjanci.

Spojrzała na pudełka z gramami. W większości były to strzelanki, kilka przygodówek, do tego parę symulatorów wyścigów.

Aldona zajrzała do szafy, w której nie znalazła niczego oprócz ciuchów. Zrezygnowana podniosła

prawą część wersalki i zajrzała do skrzyni na pościel. Równo ułożone i wykrochmalone poszewki, lekka kołdra letnia i dwie poduszki z pierza. Podniosła je, aby zerknąć, czy niczego pod nimi nie schowano.

Wstała i poczuła nasilający się ból prawego nadgarstka. Od operacji minęło zaledwie kilka dni, a ona strasznie forsowała tę rękę. Rozmasowała palce, ale nie przyniosło to ulgi.

Barbara Walter stanęła w drzwiach.

– I co? – spytała.

– Dziękuję za poświęcony czas. – Aldona uśmiechnęła się i przeszła obok tęgiej kobiety.

Stanęła już na klatce schodowej, gdy przyszły jej na myśl jeszcze dwa pytania.

– Jeśli pani syn spędzał czas ze znajomymi, to gdzie zazwyczaj się spotykali?

– Czasami wychodzili na piwo.

– Dokąd?

– Jeździli w piątki do Torunia.

– A tu? Zdarzało się, że czasami umawiali się tutaj?

– Chodzi pani o jakiś pub? Nie, nie sędzę. Kupowali w Biedronce piwo i chipsy i przesiadywali w warsztacie albo w garażach.

– Rozumiem. Dziękuję. – Aldona skierowała się na schody. – A, i jeszcze jedno. – Czy Michał dostał ostatnio jakąś przesyłkę?

– List?

– List albo paczkę.

– Zapomniałam o tym. Było coś. Pani poczeka. – Kobieta zniknęła w kuchni.

Aldona przygryzła lekko wewnętrzną część policzka. Wpadła na to dopiero przed chwilą. Skoro Bener dostał list, być może podobną przesyłkę ze zdjęciem otrzymał również Michał Walter. To miałoby sens. Być może autor tych zdjęć zaczął szantażować mechanika. Możliwe, że to on stoi za jego zaginięciem.

– Przepraszam – powiedziała Barbara Walter. – Scho-wałam, żeby się nie zgubiło, ale potem sama zapomniałam, gdzie to wcisnęłam.

– Co to jest? – Aldona wyciągnęła kilka wydruków. Wyglądały na zdjęcia zamaskowanego mężczyzny z bronią.

– Nie wiem.

– A kiedy to przyszło? – zapytała, wertując papiery, ale jej entuzjazm osłabł.

– Kilka dni temu. Myśli pani, że to może mieć znaczenie, pani redaktor? – Matka zaginionego przyłożyła dłoń do ust.

Aldona przyjrzała się papierom.

– Zdecydowanie nie.

Aldona oddała jej reklamę nowej gry na konsolę.

– Nic mi nie mówi to nazwisko.

– Mąż nigdy nie wspominał o Walterze? – Bener stał na obsypanym śniegiem Bulwarze Filadelfijskim. Za jego plecami ciepłe światło jupiterów rozświetlało na pomarańczowo mury miejskie, a samochody sennie przemykały jezdnią odcinającą starówkę od rzeki. Przed sobą miał zamarznąłą Wisłę i biały od śniegu las Kępy Bazarowej na drugim brzegu. Na oświetlonym moście dostrzegł tira z naczepą.

– Nie przypominam sobie.

– Przepraszam, to może głupio zabrzmieć, ale czy od czasu zaginięcia męża przeglądała pani jego skrzynkę mailową?

– Nie musiałam.

– Nie rozumiem – rzekł szczerze zaskoczony.

– Chodzi o to, że mamy wspólną skrzynkę. Jeden adres na gmailu.

– Jak z niej korzystacie?

– Normalnie.

– Pytam o to, czy korzystaliście z programu do odbioru poczty, na laptopie nie zauważyłem

żadnego.

– Logowaliśmy się przez stronę.

– Okej – przeciągnął to słowo i zamilkł.

– Nic w niej nie znalazłam – odezwała się po chwili Stemperska. – Żadnych dziwnych maili, niczego niepokojącego.

– A w wiadomościach wysłanych?

– Też nic. Ale jeśli pan chce, sam pan może tam zajrzeć. Nie mam nic do ukrycia.

– Nie, zdaje się, że to nie będzie konieczne – rzekł.

– A czy to prawda, że szwagra aresztowała policja?

Nie wiedział, jak ugryźć ten temat, ostatecznie postawił na szczerość.

– Tak. Słyszałem, że jest oskarżony o gwałt.

– To niemożliwe!

– Nie?

– Piotr nigdy by tego nie zrobił.

Bener skrzywił usta. Nawet bliscy tak mało o sobie wiedzą. Rozumiał jednak, że zaprzeczanie to rezultat szoku. I tylko tak tłumaczył sobie postawę Stemperskiej.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Po prostu, to niemożliwe. Ma żonę i dwie córki.

O naiwności, zawołał w myślach Bener, odprowadzając wzrokiem nisko zawieszony chmury, które sunęły w stronę mostu.

– Czasami to o niczym nie świadczy – dodał i zanim się rozłączył, obiecał, że będzie w kontakcie. Uprzedził także Stemperską, że w związku z odnalezieniem samochodu wkrótce odezwie się do niej policja.

Wciągnął w płuca mroźne powietrze. Czuł, jak z zimna zeszywniały mu policzki.

Pomyślał o Michale Walterze, o jego śmierci i o tym, że mężczyzna jest wolny. On też, w tej chwili, pragnął takiej wolności. Chciał uciec od wyzerającej mózg twogi.

Podskoczył. Raz i drugi. Mocno podciągnął kolana, a następnie spadał, wykorzystując swoją wagę i wkładając w to całą siłę.

– Czy pan oszalał? Halo? – usłyszał kobiecy krzyk. – Co pan robi?!

Zdyszany obejrzał się, ale nikogo nie zobaczył.

Zawstydzony odwrócił się w stronę panoramy średniowiecznego miasta, nad którym unosiła się luna światła, i odszedł szybkim krokiem w jego stronę.

„Jeszcze nie teraz”, pomyślał, ocierając łzy, które wyciskał wiatr.

Jeszcze nie dziś.

Wyjął notatnik i przejrzał wszystkie zapiski dotyczące sprawy Stemperskiego, a potem przypomniał sobie to, czego dowiedział się o Walterze.

Nie widział żadnych powiązań między oboma mężczyznami. Mieszkali daleko od siebie, pracowali w innych zawodach. Jedyne, co przyszło Benerowi do głowy, to samochód, którym jeździł Stemperski, ale redaktor szybko odrzucił myśl o tym, że nauczyciel jeździł na naprawy do Lubicza. To nie miało najmniejszego sensu. Przecież pracował w Toruniu, tutaj też kupował części. Jedyne rozsądne wytłumaczenie było takie, że Stemperskiemu w piątek skradziono samochód. Być może zrobił to ten, kto zabił Waltera.

Bener zabrał się za drugie, ostygłe już piwo.

Przyszło mu o głowę, że powinien zadzwonić do matki Waltera i powiedzieć jej o dzisiejszym odkryciu. Kobieta i tak się dowie, że był tam pierwszy. Miałaby do niego słuszny żal.

Spojrzał na zegarek. Było tuż przed północą.

Nienawidził przekazywania takich informacji o takiej porze i do tego przez telefon, ale przecież wiedział, że nie zapukałby o tej godzinie do jej drzwi.

Wyłączył muzykę, żeby mieć to za sobą.

Wybrał numer.

Było mu dobrze, ale wiedział, że to jedynie chwilowa ułuda. Ubrał się i pozostawiwszy niedopite piwo oraz niedojezione frytki z plamą keczupu na tekturowej tacce, wyszedł w mroźną noc. Znowu zaczęło sypać śniegiem. Bener odniósł wrażenie, że ta zima się nie skończy, że z tego koszmaru nie ma wyjścia, i obawiał się, że już na zawsze ugrzęźnie w śniegu po kolana.

Z Łaziennej skręcił w lewo i odnalazł forda na parkingu wzdłuż ogrodzenia katedry. Zrzucił cienką warstwę śniegu z przedniej i bocznych szyb i wsiadł do wyiębionego samochodu. Wóz z trudem odpalił. Diesel klekotał, Bener kilkukrotnie wcisnął pedał gazu, pobudzając silnik do wyteżonej pracy. Wytoczył się na jezdnię i ruszył. Łazienną dotarł do Bulwaru i zanim odbił w lewo, spojrzął na zamarznąłą rzekę, szeroką lodową autostradę.

Nie spieszyło mu się, jechał wolno. Myśli przelatywały przez jego głowę, kotłowały się jak żwir w betoniarni. Myślał o Agacie, Aldonie, widział Jana Stemperskiego i Szamana, spoglądał też w wytrzeszczone oczy trupa. Do życia przywołało go czerwone światło.

Przy nowym moście skręcił w lewo i dojechał do Kali-nowej. Musiał wjechać do garażu, jeśli zamierzał korzystać jutro z samochodu. Ciepłe pomieszczenie dobrze zrobi akumulatorowi.

Zostawił ją i ruszył na górę.

Nie miał siły się myć. Rozebrał się i w samych bokserkach położył się do łóżka.

Zapomniał o zasłonięciu żaluzji, dlatego wpatrywał się w noc za oknem.

– Koszmary zasnę ostatnie! – wrzasnął Walter w chwili, gdy ciało Benera z impetem wpadło do wody. Redaktor wypuścił ostatnie resztki powietrza z płuc, pęcherze powietrza uciekały do góry, tam gdzie po chwili wypchnęła go woda. Wprost pod zamarznąłą taflą.

Minął wiszące ciała Szamana i Aliena. A na końcu zobaczył ostatnią ofiarę.

Agata pomachała mu od niechcenia, jakby chciała się go pozbyć, a potem przecięła wisielczą pętlę, zeskoczyła na lód i pobiegła pomóc Walterowi. Widział wyraźnie podeszwy jej stóp.

Ale Bener już nie walczył z żywiołem.

Zesztywniałe z zimna ciało, pozbawione życia, opadało ku nieprzeniknionej toni, na samo jej dno.

Zawiodła zupełnie. Fakt, jak dotąd mało czasu poświęciła na zapoznanie się ze sprawą zaginięcia Michała Waltera, ale nie znalazła w niej niczego, co wskazywałoby nowe, nieodkryte wcześniej ścieżki poszukiwań. Nie była w tym w żaden sposób lepsza od policji dysponującej całym arsenałem możliwości, nie miało to jednak dla niej większego znaczenia.

Zawiodła.

A stało się tak tylko dlatego, że nie wykrzesła z siebie świeżych myśli. Cały czas nękało ją to, co zdarzyło się w Warszawie. Czuła się winna, chociaż to ona była ofiarą nieczystych zagrywek i seksizmu, z którym musiała walczyć na każdym kroku. Ucieczka w operację dłoni, a potem z Warszawy była błędem. Powinna zająć się swoim życiem, uporządkować je, stanąć do walki z podniesionym czołem, tak jak robiła to dotąd.

Nie rozumiała samej siebie, nie umiała wytłumaczyć sobie, co miał zmienić przyjazd do Torunia. Przecież nie zapomniałaby o tym, co stało się w Warszawie. Ucieczka nie była żadnym rozwiązaniem, powodowała tylko nowe problemy, a Aldona nie miała na nie czasu.

Zamierzała wysłać Benerowi SMS z przeprosinami, lecz gdy była w połowie wiadomości, wykasowała całą treść.

Ustawiła walizkę przy wyjściu z pokoju hotelowego, w którym się zatrzymała, bo własne mieszkanie w Toruniu wynajęła, a u rodziców nie chciała mieszkać.

Ustawiła budzik w telefonie na szóstą rano, wyciszyła aparat, a potem wzięła długi, gorący prysznic i rozgrzana wskoczyła pod grubą kołdrę.

Długo walczyła z myślami, ale w końcu poczuła, jak jej mięśnie się rozluźniają, a ciało swobodnie zapada się w miękki materac.

Sen nadszedł szybciej niż świt.

## Środa

15 lutego 2017 roku

Otworzył oczy, kiedy za oknem noc trwała w najlepsze. Zlany potem wszedł pod prysznic, potem napił się kawy, spakował plecak. Samochód zostawił w garażu, postanowił się przejść, bo do redakcji miał nieco ponad kilometr. Na działkach PZWANN, tam, gdzie mieszkał, powoli budził się nowy dzień. Gęste chmury tak jak wczoraj kierowały się ku zachodowi, ale przynajmniej teraz nie niosły żadnych opadów.

Bener minął pierwsze bloki na Rubinkowie i wtedy zauważył, jak na dachu Kwadratu, w którym mieściła się redakcja, czarne sylwetki zrzucają śnieg do wyznaczonych tyczkami i taśmami miejsc. Przy jednej z przyzmy warczała wywrotka. Kierowca palił papierosa, osłaniając się przed wiatrem.

W redakcji Bener wypił drugą kawę i zjadł kupioną w Paluszku pod redakcją kanapkę oraz naszprycowaną chemią sałatkę, której data ważności sięgała końca roku. Wybrał też dwa „gorące kubki” grzybowej i przyjrzał się nowej dostawie piw. Rozglądał się w poszukiwaniu dobrego craftu, ale ostatecznie nie wiedział, czy ma ochotę na IPA, a może na kawowego stouta. W związku z tym odłożył ten zakup na później.

Na dalszych stronach można było przeczytać o gwałcie, którego dopuścił się brat zaginionego, ale oczywiście Bener nie mógł podać jego nazwiska.

Odchylił się w fotelu i założył ręce za głowę. Przez lustro weneckie dostrzegł, jak w redakcji pojawili się Justyna z Rafałem. Przywitali się z nim, ale Bener niespecjalnie miał ochotę na rozmowę. Rafałowi polecił zabrać się za tekst o odśnieżaniu dachów i związanych z tym kosztach, wskazując przy okazji palcem na sufit, żeby wiedział, gdzie szukać źródeł informacji.

– A jak ja tam wejść? – spytał młody dziennikarz.

– Chuj mnie to obchodzi. Możesz się wciągnąć po piorunochronie, możesz dygać na górę po rynnie – rzucił, nie spuszczając chłopaka z oczu.

– Kłopot w tym, że mam lęk wysokości... Ale spoko, zadzwonię, gdzie trzeba.

Bener zbliżył się do biurka Rafała. Mówił głośno i wyraźnie, żeby usłyszała go również ta Justysia, dziennikareczka od siedmiu boleści.

– Tknij telefon, a jeszcze dziś, oprócz tego zasranego tekstu, napiszesz wypowiedzenie z pracy – mówił, celując palcem w twarz Rafała. – Czy to jasne?

Młody nie odpowiedział, ale potwierdził skinieniem głowy.

Bener spojrzał na dziewczynę.

– A ty? Jakie masz pomysły na teksty, co? – spytał tylko dlatego, że znał odpowiedź.

– Zaraz do ciebie przyjdę – powiedziała przestraszona.

– Zaraz to ja wychodzę. Natychmiast – rzucił i schował się w gabinecie.

Patrzył przez weneckie lustro, jak oboje dają sobie znaki, że naczelnemu odbiło. Zupełnie jakby ich nie widział.

Justyna wertowała notatnik, ale on już wiedział, że niczego tam nie ma, że robi tak, żeby zagłuszyć nerwy.

– Czekam! – ryknął przez zamknięte drzwi.

Zerwała się i ruszyła w stronę gabinetu. Kiedy stanęła w drzwiach, Bener odwrócił się w fotelu i spojrzał w jej oczy. Mrugała szybko.

– Proszę! Tematy na dziś – rzucił.

Miętoszyła notatnik i gapiała się w podłogę. Przestraszona jak uczeń wyrwany do odpowiedzi.

– Chciałam zrobić sondę...

– Sondę? Na jaki temat?

– No, jeszcze nie wiem... Myślałam, żeby...

- Serio? Myślałaś? Daruj sobie. Temat poproszę.
- Wykrzywiła usta do płaczu, co jeszcze bardziej rozsierdziło Benera.
- Chcę usłyszeć jeden rozsądny temat na tekst. Tylko jeden, kurwa mać!
- Nie wiem... – rozplakała się.
- Czy żądam niemożliwego? Czy to przerasta twoje kompetencje? – Bener zacisnął zęby.
- Ale ja... .
- Co ja? Co ja? Co to kurwa jest?! Przedszkole jakieś? – Dyszał z nerwów.

A może to był jego błąd? Może poświęcił im zbyt mało uwagi. Może gdyby wcześniej zainwestował w ich rozwój, dziś nie miałby takich problemów. Tak, teraz był właściwie pewien, że wściekał się nie tyle na nich, ile na siebie. A im dłużej tak myślał, tym bardziej przerażało go to, co tak naprawdę zrobił i jak się zachował.

Czuł się wypruty. Zupełnie bezsilny. Dziś robotę miał już z głowy.

– Zejdź mi z oczu. – Machnął ręką, jakby odprowadzał psa.

Justyna jednak nie odeszła. Słyszał jej chlipanie, ale starał się nie zwracać na nie uwagi.

– Nie słyszałaś? – burknął, wpatrując się w ekran.

– Co się z tobą stało, co? – spytała. – Co się z tobą stało, Marek? Boję się ciebie!

Justyna odeszła do swojego biurka, spakowała się i odprowadzona wystraszonego wzrokiem Rafała wyszła z redakcji. Chłopak ruszył za nią.

Wyszedł, żeby powiesić stronę na ścianie. Popatrzył na wszystkie zawieszane teksty, szybko zakreślił długopisem drobniaki, które musiały ulec zmianie, a potem odwrócił się w stronę gabinetu i dostrzegł swoje odbicie w lustrze.

Podszedł do niego wolno, przypatrując się sobie.

Długie, poprzetykane pasmami siwizny włosy opadały za ramiona. Gęsty zarost od dawna był oprószony solą i pieprzem. Zupełnie pospolita twarz czterdziestolatka, z wyraźniejszymi zmarszczkami wokół oczu i fałdami skóry, które okalały łukami usta, wyglądała całkiem obco. Widział też wyraźne i gęste czarne brwi, nieco przydługi nos i normalnie skrojone usta.

Wpatrywał się w siebie w taki sposób, jakby pierwszy raz zobaczył swoje odbicie. I nagle poczuł odrazę.

„Kim jestem?”, spytał w myślach, wciąż patrząc swojemu odbiciu w oczy, i nie umiał odpowiedzieć na to proste pytanie.

Zawsze dążył do tego, by być lepszym dziennikarzem. Teraz dbał o to, by jego gazeta była lepsza od innych czasopism. Robił wszystko, by ten cel osiągnąć. Nie zauważył jednak ceny, jaką musiał za to zapłacić. I nie myślał o tych oczywistych kosztach. Pieniądze raz były, raz nie, zresztą miał je gdzieś. Myślał wyłącznie o sobie i swoich relacjach z pracownikami. Myślał o tym, że cele przysłoniły mu wszystko to, czym sam do tej pory gardził. Chociaż gardził Zdziarskim, to sam właśnie wkroczył na wytyczoną przez niego ścieżkę. Tyle tylko, że być może Bener w porę to dostrzegł.

Schował się do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Usiadł, zgarbił się i siedział jak człowiek przygnieciony przez los. Błąd. Przygnieciony przez własne czyny. Nigdy by siebie nie podejrzewał o takie łajdactwo, ale też nie zamierzał zrzucić winy na okoliczności.

Westchnął i sięgnął po telefon.

Zobaczył nową wiadomość od Aldony.

Przeczytał ją, ale nie zrozumiał. Musiał to zrobić kilkakrotnie, dopiero wtedy dotarło do niego, że na placu boju został sam.

Oddzwonił do niej, ale miała wyłączony aparat.

Opadł z sił.

Gapił się bezmyślnie w wykładzinę podłogową, podążając wzrokiem za łamaną linią wyszytych na niej wzorów, kiedy odezwała się jego komórka. Odebrał odruchowo.

– Aldona? – rzucił, ale w słuchawce zapadła cisza.

Odsunął aparat od ucha i zerknął na ekran.

– Więc jednak go pan odnalazł. – Barbara Walter brzmiała, jakby mówiła zza grobu.

Nie wiedział, co powiedzieć, gardło ścisnęła mu stalowa obręcz. Kiedy dzwonił do niej w nocy, miała wyłączony telefon.

– Jeszcze tydzień temu jasnowidz powiedział mi, że Michaś żyje, pamięta pan? – spytała, ale on był w stanie tylko kiwnąć głową. – Mówił pan, obiecywał, że go przywiezie do domu. Wierzyłam panu bardziej niż komukolwiek.

Milczenie było oznaką słabości. Oboje to wiedzieli.

– Ale i tak panu dziękuję. Chociaż przeplakałam całą noc, jestem szczęśliwa, że będę mogła go pochować, że spocznie koło swojego ojca, że będę miała ich obu przy sobie, blisko, tu na cmentarzu. Że nie będę już drzeć z niepokoju, oszukiwać się i karmić nadzieją. – Pociągnęła nosem i dodała: – W takich sytuacjach odnalezienie ciała jest błogosławieństwem. Na pewno mnie pan rozumie.

Podziękowała raz jeszcze i rozłączyła się, zanim Bener zdążył się odezwać. Ale wyręczyła go, bo tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia.

I fakt, rozumiał ją bezbłędnie.

Był sam.

Zjadł makaron z zakupionymi w Biedronce gotowymi kotletami z kurczaka i popił sokiem. Potem podgrzał piwo i przelał je do kufła. Oprócz do Aldony próbował dozwonić się także do Brodzkiego, ale z takim samym skutkiem.

Zadzwoił do Szamana.

– Odnalazłeś go, gratuluję – powiedział Olgierd Sza-mojski, odchrząknawszy flegmę. – Podobno wisi tam jakiś czas, co?

Bener zrelacjonował mu historię w skrócie.

– I co o tym myślisz? – spytał Szaman.

– Nie wiem. Rozwazałem kilka różnych wariantów znajomości Waltera z Janem Stemperskim, ale żadna z tych konfiguracji nie wydaje mi się spójna i logiczna. Nie pasuje mi pozostawiony w pobliżu fortu samochód z wymontowanym czujnikiem GPS.

– Jak to wymontowanym? Przecież mówiłeś, że wóz znalazłeś dzięki czujnikowi.

– Niby tak, ale gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, doszedłem do wniosku, że chyba wcale tak nie było.

– Co masz na myśli?

– Komputer zapisał ostatni sygnał nadawania z GPS. Kiedy drugi raz zająrzałem do samochodu, zobaczyłem wystające pod siedzeniem kable. Przejrzałem dziś Internet i okazuje się, że to bardzo popularne miejsce do schowania nadajnika.

– No i?

– Sam nie wiem. To, o czym myślę, nie wydaje mi się prawdopodobne – Bener zawiesił głos. – Mogło być tak, że Stemperski umówił się z kimś na spotkanie. Pojechał tam, dostał w łeb i został wywieziony innym samochodem.

– Tylko jeśli by tak było, nadajnik pozostałby na miejscu.

– Właśnie. A tymczasem nie ma ani nadajnika, ani nowego sygnału.

– A gdyby to Stemperski go wymontował? – odezwał się Szaman.

– Po cholere? Po pierwsze, zrobiłby to wcześniej, żeby nie zdradzać położenia wozu, a po drugie, po co w takim razie w ogóle instalował ten sprzęt?

– No to jest jeszcze jedno rozwiązanie – rzucił Szaman.

Bener milczał przez chwilę, aż wreszcie odezwał się właściwie sam do siebie.

– Racja. Stemperski o niczym nie wiedział.

\*

Po rozmowie z Szamanem Bener pojechał do Stemper-skiej i zdecydował się zdradzić jej więcej szczegółów na temat odnalezionego samochodu.

– Nadajnik GPS? – spytała z autentycznym zdziwieniem.



- Mówił pani o tym? – dopytywał dziennikarz.
- Ależ skąd! Przecież szykował samochód do sprzedaży.
- Niech pani pomyśli, kto i kiedy mógł go w takim razie zainstalować. To powinno nam pomóc. Stemperska pokiwała głową.

Już miał odejść, kiedy usłyszał kolejne pytanie.

– Czy on może mieć coś wspólnego ze śmiercią tego drugiego zaginionego? Tego chłopaka z Lubicza?

– Nie sadzę – Bener nie zamierzał się nad tym rozwodzić, chociaż wiedział, że kobieta wkrótce się dowie, że berlingo stało w pobliżu miejsca zabójstwa Waltera.

Leżąc w łóżku, Bener wciąż intensywnie myślał o sprawie, której elementy w ogóle do siebie nie pasowały. Szukał zwłok Stemperskiego, a znalazł rozkładające się ciało Michała Waltera, mężczyzny ze wspólnego zdjęcia z Agatą, zrobionego w dniu jej zaginięcia. Dotarło do niego, że Walter był jedną z ostatnich osób, która mogła cokolwiek wniesić do tej sprawy. Mogła, ale już nie wniesie. Kolejna osoba zabrała swoją tajemnicę do grobu, jakby prawdę o losie Agaty chroniła siła wyższa. Dopiero po chwili pomyślał o tym, że być może ta siła dbała przede wszystkim o niego samego – nie chciała, żeby dowiedział się o ich ewentualnym romansie. Ale teraz było już za późno.

Benerowi pozostała tylko jedna nadzieja. Był nią fotograf, autor zdjęcia, który uwiecznił Agatę, zanim zniknęła gdzieś we wszechświecie. Bener łudził się, że może on wiedział coś więcej. Nie miał tylko pojęcia, jak do niego trafić.

Zamknął oczy.

To była droga donikąd. Ścieżka we mgle, która nie miała początku i końca, zagubiona droga bez kierunkowskazów, przestrzeń niczyja, zupełnie obca i nieodgadniona. Szedł po niej, raz w lewo, raz w prawo, ale bez względu na to, jak daleko by zaszedł, zawsze wydawało mu się, że wraca do punktu wyjścia. Kręcił się jak postaci w tandetnych horrorach. Przemierzał wciąż na nowo tę samą drogę, zamknięty w pętli czasu. Jednocześnie wciąż słyszał głos Agaty. Wołała go po imieniu, prosiła o pomoc. To ten głos kazał mu iść, stale zbierać nowe siły, opędzać się od szaleństwa, ocierać łzy. Dobiegał go zewsząd, jakby kryła się we mgle, daleko z przodu, ale kiedy robił krok w tamtą stronę, głos docierał do niego zza pleców. Wracał więc. I tak w kółko. A ona wołała.

Bener dopiero po chwili poczuł, że część poduszki jest mokra.

Odłożył ją na podłogę, przetarł poszwą kołdry wilgotne policzki i wyprostował ciało. Tuż przed tym, nim zapadł w płytki sen, przypomniał sobie matowy głos matki Waltera.

Odnalezienie zwłok jest błogosławieństwem.

– To rzeczywiście był romans? – Mężczyzna patrzył na kobietę. Siedziała ze spuszczoną głową. Blond włosy zafalowały, kiedy zaprzeczyła.

– To nie tak, jak pan myśli.

Dobrze. Uśmiechnął się, bo właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– A jak?

Założyła nogę na nogę i oparła się wygodnie.

– Nazwijmy to transakcją związaną. Nie znalazłam tego mężczyzny, on w zasadzie nie znał mnie. Miał mi pomóc.

– W czym?

– To sprawy rodzinne.

– Niech pani powie.

Popatrzyła w bok i długo się nie odzywała. Może przesadził. Będzie musiał nad tym jeszcze popracować.

– Na fotografii jest pani w ciąży... – zawiesił głos.

Nie odpowiedziała.

– Co stało się z dzieckiem? – dopytał po dłuższej chwili ciszy.

– Z dzieckiem? – podniosła wzrok.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Musi pani wiedzieć.
- A pan wie?
- Tak. Ale chcę to usłyszeć od pani.

Potarła nos.

- Dobrze. – zawiesiła głos. – Powiem...

Odłożyła gazetę, odstawiła kubek i przeklęła.

Aldona czuła, jak poca jej się plecy.

Gdy przeczytała dwa ostatnie akapity, spocila się jeszcze bardziej.

Fakt, w swoim tekście skupiła się wyłącznie na molestowaniu kobiet. Mimo kilku prób i rozmów w cztery oczy nie udało jej się namówić na zwierzenia na łamach żadnego z trzech mężczyzn. Opowiedzieli jej swoje historie, mówili o poniżeniu, jakiego doznali ze strony kobiet na wysokich stanowiskach, w tym również od tych znajdujących się wysoko w partyjnych hierarchiach. Niestety żaden z mężczyzn nie zgodził się, by przedstawiła ich doświadczenia. Uszanowała to i opowiedziała o rezygnacji z „męskich przykładów” podczas redakcyjnego kolegium. Nikt nie zgłosił sprzeciwu, nikt nie wymagał więcej. Tekst był mocny, Aldona z każdą tezą trafiła w punkt i o to chodziło. W końcu wskazała na dane statystyczne, mówiące o nikłym odsetku mężczyzn molestowanych seksualnie. Skomentowała je, informując że po pierwsze, wielu z nich nigdy się do tego nie przyzna, bo byłoby to oznaką słabości, a po drugie, co oczywiste, większość stanowisk kierowniczych zajmowali mężczyźni. I wiadomo, co z tego wynika. Wtedy ta argumentacja przeszła, ale teraz przeczytała dwa ostatnie akapity tekstu, które nie wyszły spod jej palców. Zastępca naczelnego dopisał swoje spostrzeżenia o tym, że coraz częściej ofiarami agresywnych kobiet padają mężczyźni. Tak jakby chciał pokazać, że został jej ofiarą. Że jego bezczelne zachowanie to jej wina.

Aldona odłożyła gazetę na półkę. Ze stresu ścisnął się jej żołądek. Kubek po kawie i kanapkę wyrzuciła do kosza. Ruszyła do wyjścia i wtedy dopiero ją otrzeźwiło. Nie miała klucza do minimorrisa. Rozejrzała się po sklepie, spojrzała na dystrybutory. Nigdzie nie zauważyła pracownika w czerwonym uniformie, który zatankował jej wóz. Mini na szczęście wciąż stał przy dystrybutorze.

Zdezorientowana zatrzymała się w pół kroku. Już miała zwrócić się do kasjera o pomoc, gdy usłyszała głos.

- O, tutaj pani jest! – Chłopak z przerzedzonym wąsem uśmiechał się do niej i machał kluczykami. – Wszędzie pani szukałem.

Aldona podziękowała i przeprosiła. Zagapiła się przy gazetach i zwyczajnie straciła rachubę czasu.

Wyszła szybkim krokiem przez rozsuwane drzwi na porywisty, mroźny wiatr. Pochyliła się, stawiając opór silnym podmuchom, które targały jej włosy i kurtkę.

Wreszcie chwyciła za klamkę w drzwiach samochodu.

- Aldona Terlecka? – usłyszała niski głos.

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego, barczystego mężczyznę w pikowanej kurtce z kapturem na głowie.

- Nie mam drobnych. – Aldona szarpnęła drzwi.

Przytrzymał, gdy chciała je zatrasnąć.

- Nie tak szybko. – Uśmiechnął się. – Musimy pogadać.

Otworzył oczy i zerknął na zegarek. Było ciemno, nie mógł skupić wzroku na czerwonym wyświetlaczu zegarka.

Już miał odebrać, gdy usłyszał głośnie walenie w drzwi. Odrzucił połączenie i wstał z łóżka. Chwiejnym krokiem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Przy furtce stał jej samochód.

Komórka znowu zaczęła wibrować, ale ponownie jej nie odebrał, tylko zszedł na dół i przekreślił zamki. Nie zapalał światła.

Weszła, wnosząc ze sobą chłód, ale wiedział, że za chwilę będzie gorąco.

Pocałowała go.

Zaczął ją rozbierać, bo przecież tego chciała. Ciuchy spadały na podłogę, gdy przechodzili do

salonu.

Zsunęła mu z bioder bokserki, a on odwrócił ją plecami do siebie. Oparła łokcie na blacie obszernego stołu i wypięła pośladki rozstawiając szeroko nogi. Bener obserwował, jak światło latarni muska jej ciało, uwydatniając krągłości. Kucnął i zaczął je całować.

Gdy był gotowy, zatracili się zupełnie.

– To był koszmar.

Bener chrząknął.

– Inne nie narzekały. Twoje dwa orgazmy też przeczą tej tezie – zażartował i dostał z łokcia w zebra.

– Podjęłam złą decyzję. Mogłam cię posłuchać. – Uśmiech zniknął z jej twarzy szybciej, niż się na niej pojawił.

Bener nie zamierzał pograżać znajomej.

– Stało się coś?

Dorota zaciągnęła się ponownie i milczała. Bener wsłuchiwał się w ciszę.

– Zdegradował mnie. Przestałam być rzeczniczką.

– Chyba żartujesz!

– Chyba jednak nie.

– O co poszło?

– O nic. Od początku mnie nie lubił, szukał tylko pretekstu. Najpierw dawał sprzeczne polecenia, niemożliwe do realizacji. – Znowu zapadła cisza. – Potem zapraszał mnie do gabinetu i milczał, a kiedy zaczynałam coś mówić, opierdalał mnie, że jeśli ktokolwiek ma tu coś do powiedzenia, to tylko on. Że głupi nie mają prawa się odzywać.

– Skurwysyn.

– To były tylko takie gierki. Chociaż już zaczynałam się spinać przed każdym spotkaniem z nim. Wiesz, jazdy w brzuchu, a potem, po spotkaniach ból głowy. Ale najlepsze było dziś.

– Co takiego?

– Wczoraj cała prezydencka świta robiła ochłaj w Lubi-czu, nie wiem, czy imieniny, czy co to było, ale Zdziarski tam nie pojechał, a i tak chodził jak struty, jakby go ktoś ostro grillował. Przygotowałam mu, tak jak prosił, materiały na stronę o powstaniu Bramy. W końcu sekretarka zadzwoniła, że Zdziarski mnie wzywa. Poszłam. Zwymyślał mnie od progu, że teksty są odtwórcze, beznadziejne, że nikt ich nie przeczyta. Pokreślił, ponanosił kosmetyczne zmiany. Idiota! Podzielił na przykład jedno dłuższe zdanie na dwa krótsze. Gdzieś kazał zrobić nowy akapit. Powiedziała mi, że jestem po filologii i na pewno nie będzie mnie uczył, jak pisać. Trzasnęłam drzwiami aż zahuczało. Wybiegł za mną na korytarz, no i się zaczęło. Groził mi przy wszystkich. Każdy to widział, ale jednocześnie wszyscy schowali głowę w piasek. Wszyscy się go boją, rozumiesz?

– A ta nowa robota to...?

– Mam być bileterką w kasie Baja Pomorskiego. Załatwił przejście za porozumieniem stron.

– Co?!

– No jasne, że tam nie pójde, nie dam gnojowi tej satysfakcji. Jutro złożę pozew. A na razie załatwiłam sobie zwolnienie. Muszę jednak znaleźć coś na chwilę. Może na dwie. Twoja oferta jest nadal aktualna?

Bener nabrał powietrza i wypuścił je wolno.

– Nie wiem... Nie sędę. – Pamiętał ich rozmowę w windzie, okoliczności jednak uległy zmianie. Obiecał sobie, że popracuje nad Justyną i Rafałem, że postara się poświęcić im więcej czasu. Zainwestuje w nich.

– No nie pierdol! – Dorota zgașiła papierosa. – Liczyłam na ciebie.

– Nie wypieprzę ludzi z dnia na dzień. Poza tym sprawdzają się – skłamał, wiedząc, że dobrze robi. Nie chodziło o kłamstwo, a jedynie o decyzję. Praca i seks nie szły ze sobą w parze. Był nawet gotowy poświęcić to drugie, bo wiedział, że jeśli nie pomoże Dorocie, ich relacja – tak, to było odpowiednie słowo – ulegnie destrukcji.

Kobieta wstała i zaczęła się ubierać, Bener uniósł głowę i obserwował jej nienagane nagie ciało, szczególnie krągłe pośladki, kiedy schylała się po bieliznę.

Uległa destrukcji, poprawił się w myślach.

– Co robisz? – spytał, mimo że znał już odpowiedź.

– Fikołki, kurwa. Nie widać?

Bener podciągnął się do siadu.

– Myślałam, że mogę na ciebie liczyć, ale zawiodłam się jak na każdym głupim fiucie. – Strzepnęła sukienkę i włożyła ją.

– Daj spokój. Załatwię ci coś, nie gorączkuj się – obiecywał, ale nie miał żadnego pojęcia, jak miałby to załatwić.

– Odwal się. Jesteś taki sam jak inni. Aha, i jeszcze jedno. – Wycelowała w niego palec. – Hermion powiedział mi to w zaufaniu, ale pieprzyć to, skoro podobno robisz się taki sam.

Benera przeszedł wstrząs.

– Podobno też jebiesz wszystkich dokoła, aż uszy puchną. – Sięgnęła po torebkę. – Prawda to?

Nie czekała na odpowiedź.

Usłyszał, jak zbiega po schodach.

A może tak głośno dudniło jego serce.

## Czwartek

16 lutego 2017 roku

Czuł się tak, jak kiedyś na krótkim sparingu po solidnym lewym prostym od Ivo Straussa. Mroźna zima malowała wzory na oknach hali Pomorzanina na Bydgoskim Przedmieściu, Bener pamiętał to doskonale. Tak jak ciemność, która nagle spadła na niego. Złożył się jak zapalka. Nie wiedział, co się stało, dopiero po chwili dostrzegł Iva, który pochylił się nad nim i pomógł mu wstać. Bener z trudem oparł się o liny. Nogi wciąż miał jak z waty.

– Gdzie ty, kurwa, Bener, ręce miałeś? Gdzieś ty, chłopie, był, co? Bo widać, że nie tu z nami, na treningu. Mózg ci wyżarło i dlatego dostałeś wpierdol, cioto! Co to, kurwa, było, co? Mistrzostwa za miesiąc, a gówno ci we łbie chlupie. Jakbyś miał, kurwa, nocnik zamiast globusa! Zobaczysz, że ci do niego nasrają w tym Grudziądzu. Wspomnisz moje słowa.

Koledzy ryknęli śmiechem, a postawny mężczyzna w dre-sie, z gładko ogoloną głową, ściągnął młodemu pięścia--rzowi kask ochronny i obejrzał łuk brwiowy. Okostna zaczęła wylewać, miejsce puchło w oczach, ale skóra nie pękła.

– A ty, Ivo, brawo. Polska szkoła boksu, tak trzymać. – Bener czuł papierosowy oddech trenera.  
– No, a teraz wszyscy wypierdalać do szatni. I tylko prysznic wziąć, żeby mi tam nie capiło jak ostatnio! A jak który nie weźmie, zapierdala kółka, jasne?

Oszolomiony Bener ruszył za kolegami.

– A ty dokąd, łazjo? Dziesięć karnych z uniesionymi rękami – usłyszał rozkaz trenera.

Bener z trudem zmusił się do truchtu po parkiecie.

– Ochujaleś? Na bieźni!

– Mróz jest! – próbował się buntować.

– Wypierdaj, ale już! – Mężczyzna wskazał palcem na drzwi, a potem odwrócił się i ruszył w stronę swojego kantorka. – Mróz mu przeszkadza, kurwa. Co z nich wyrośnie, ja pierdołę...

Bener nie miał pojęcia, dlaczego właśnie dziś, właśnie teraz przypomniał sobie tamtą scenę. Wstał, opłukał się pod gorącą wodą i stanął przed zaparowanym lustrem. Przejechał dłonią po zaroście i stwierdził, że czas go przyciąć. Spojrzał na lwi kiel zawieszony na szyi, ten sam, który kiedyś dał Agacie.

Dość wspomnień, rozkazał sobie, a następnie zebrał w garść długą grzywkę i wpatrywał się w mokry kosmyk. Zastanawiał się, co by to zmieniło, gdyby postawił na inny wygląd. Gdyby zgolił się na zero.

Patrzył tak na siebie i patrzył.

To był impuls.

Zjadł jajecznicę z pięciu jaj, do której wkroił dwie parówki i kawałek wyschniętej cebuli, przegryzł ją nieco czerstwym już chlebem. Kiedy skończył, wytarł pieczywem talerz do czysta.

W komputerze Stemperskiego uruchomił program monitorujący. Powinien był to zrobić wcześniej i sprawdzić na mapie poprzednie miejsca, w których pojawiło się berlingo. Chciał przejrzeć te rekordy i porównać z tym, co udało mu się ustalić dotychczas, zwłaszcza o ostatnim tygodniu przed zaginięciem Stemperskiego.

Komputer miał wolno, Bener postanowił nastawić wodę na kawę. Nim czajnik zagwizdał, a on zalał kubek wrzątkiem, oparł czoło o zimną szybę w kuchni i przyglądał się różnym odcieniom bieli za oknem. Wpatrywał się długo, ale zaskoczyło go, że nie dostrzegł żadnego ruchu. Ani żywej duszy, jakby mróz wybił wszystkich mieszkańców. Marzyło mu się puste miasto, chciałby mieć Toruń wyłącznie dla siebie, jak w jakiejś postapokaliptycznej wizji. Z początku podobało mu się, ale po chwili ogarnęła go fala lęku. W pustym mieście pokonałyby go własne fobie, zabiłyby go strach.

Wrócił do salonu i usiadł przed laptopem, odzegnując się od niedawnej wizji. Program wyświetlił mapę z czerwonym punktem, który już znał. Bener poszperał w menu, chcąc odnaleźć historię przejazdów, i wybrał odpowiednią zakładkę. Łyknął trochę kawy raz i drugi, czekając aż klepsydra skończy nieznośnie długi taniec wokół własnej osi. W końcu program wyświetlił rekordy.

A raczej rekord.

Dokładnie ten sam, który już znał.

W pierwszej chwili pomyślał, że może popełnił jakiś błąd, może coś źle kliknął.

– No, co jest?! – warknął. Właśnie w takich chwilach brakowało mu Raka, który akurat teraz musiał moczyć jajka w egipskim basenie.

Przeszperał raz jeszcze ustawienia, ale w końcu uznał, że to nie ma sensu. Historia przejazdów berlingo, jeśli jakakolwiek tu była, musiała zostać wykasowana. Żałował, że nie porozmawiał o tym z Rakiem, ale teraz było już po wszystkim.

Bener stracił motywację, zniechęcił się. Liczył, że dzięki tym danym uda mu się popchnąć sprawę naprzód. Miałby czarno na białym przejazdu Stemperskiego, widziałby, gdzie się zatrzymał, dokąd pojechał i ile czasu tam spędził. W ten sposób odtworzyłby cały piątek, ostatni dzień, w którym widziany był Stemperski. A tu nie dość, że nie miał tych informacji, to jeszcze Rak zawiązał się na wakacje, a Aldona wróciła bez słowa do Warszawy. Bener wpatrywał się w monitor, ale tak naprawdę w odbiciu pokrytej szkłem matrycy widział siebie. A ściśle rzecz biorąc, widział klęskę. Miał ją wypisaną na twarzy. Czaiła się w jego oczach, chociaż zasłaniały je włosy. Między innymi dlatego właśnie nie tknął ich maszynką, przyciął jedynie zarost. Za opadającą na twarz grzywką mógł się jeszcze wiele razy schować.

Nim zdążył zamknąć gwałtownie laptopa, rozdzwonił się jego telefon. Przywitał się ze Stemperską i od razu wyczuł, że kobieta jest podenerwowana.

– Niech pan tu do mnie przyjedzie – poprosiła Stemperska. – Tylko szybko.

– A co się stało? Odnalazł się?

– Musi mi pan coś wyjaśnić!

– Nie rozumiem.

– W garażu! – stwierdziła. – To było w garażu!

Za galerią handlową nawrócił i po przejechaniu kilkuset metrów skręcił w prawo. Zaparkował w pobliżu budynku straży. Wszedł na piętro i przywitał się z Jędrzejem.

– Masz? – spytał Bener, po tym jak wymienili uścisk dłoni.

– Jasne. Poprosiłem kogo trzeba o zgranie materiału z poprzedniego tygodnia. – Wyciągnął w jego kierunku kopertę. Bener domyślał się, że znajdzie w niej płyty CD.

– Dzięki. Gdybym mógł...

– Przestań – przerwał mu Witkowski. – Daj tylko znać, czy w czymkolwiek ci pomogłem.

Bener skinął głową i wyszedł na korytarz. Obok niego przemknęło dwóch strażników w czarnych mundurach. Było tu gwarno, a Bener potrzebował spokoju.

Wyszedł na zewnątrz i natychmiast oślepiło go słońce, którego promienie odbijały się od zalegającego wszędzie śniegu. Pierwszy raz od tygodnia pogoda pozwoliła się lubić. Po chwili jednak słońce przykryła pierzasta zasłona i znowu zrobiło się szaro. Bener poprawił czapkę i ruszył w stronę starego forda.

Dojechał do domu w zupełnej ciszy, trawiąc wszystko to, czego dowiedział się w ostatnich godzinach. Zmarzył przeokropnie, więc szybko nastawił na gazie rondel z piwem i przywołał na myśl spotkanie ze Stemperską.

Spotkał się z nią w garażu na tyłach bloku. Wiatr hulał przez otwarte wrota, Bener trząsł się z zimna i ze strachu.

– Może mi pan to jakoś wytłumaczyć? – dostrzegł w Stemperskiej prawdziwą złość.

– Ale co? – spytał.

Stemperska stała w dresie, z narzuconą na ramiona kurtką. Podała mu stary aparat cyfrowy canon g5 z ruchomym wyświetlaczem. Był włączony. Na małym ekranie Bener dostrzegł znany mu obraz. Zdjęcie zrobione przez witrynę lokalu, na nim Agata i Michał Walter. Kliknął na kolejne i przejrzał wszystkie zapisane na karcie fotografie. Był zbyt zdenerwowany, by zauważyć jakiegokolwiek różnice, a jednak coś mu w tych zdjęciach nie pasowało.

– Nie wiem, co powiedzieć – stwierdził zupełnie bez sensu.

– Może prawdę? – Stemperska założyła ręce na biodra. – Czy zaginięcie mojego męża ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem – rzekł zgodnie z prawdą.

– Czy pan go w coś wplątał za moimi plecami?

– Nie! Dlaczego pani...

– To jak to pan wytłumaczy?

Bener wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od aparatu. Był czarny, mocno już sfatygowany, klapka na baterię trzymała się na taśmie.

– Gdzie go pani znalazła? – spytał, rozglądając się po wnętrzu.

– Tam. – Wskazała na stół roboczy, który Bener sprawdził, kiedy był tu wcześniej. Widocznie zrobił to niedokładnie. Zganił się w myślach.

– Czy mój mąż ma coś wspólnego z zaginięciem pańskiej żony?

Bener wzruszył ramionami. Nie rozumiał, o co tu chodzi. Czy rzeczywiście Jan Stemperski mógł być autorem tych fotografii? Czy zaginał dlatego, że wiedział coś o Agacie? Czy Michał Walter został zabity z tego samego powodu?

– Nie wiem.

– A dlaczego jego samochód został znaleziony w pobliżu miejsca odnalezienia zwłok Michała Waltera? Był pan tam.

– Byłem. To ja znalazłem jego ciało.

Bener opowiedział jej o tym, zataił jedynie informację o wydrukowanym zdjęciu, na które trafił przy denacie.

– To dlatego pytał mnie pan, czy Janek mógł znać Waltera, tak?

Potwierdził.

– Jeśli go znał, to musiał to przede mną ukrywać – stwierdziła.

Pożegnali się.

Po obejrzeniu zdjęć z aparatu zrozumiał, że jeśli Stemperski byłby zamieszany w cokolwiek, co miałyby związek z Agatą, na pewno chciałby się skontaktować z Benerem. Stemperski wiedział, że zaginięcie Waltera też musiało mieć związek z tą sprawą. Bener nie rozumiał tylko, na czym on polega i co takiego wydarzyło się w październiku minionego roku, co sprawiło, że Walter zaczął się ukrywać.

Bener wsadził do napędu kolejną płytę. Data wyświetlana na obrazie w dolnym rogu ekranu wskazywała wtorek. Znowu samochody parkowały i odjeżdżały, a przechodnie zasuwali, jakby chcieli uciec przed końcem świata. Jeden wielki chaos.

Przeglądał materiały i popijał piwo. Robotka wymagała skupienia, dlatego siedział w drażniącej go ciszy, ale w pewnej chwili poddał się natrętnej myśli, żeby jednak włączyć muzykę. Chwycił pilota do wieży i uruchomił ją. Przełączył na czwarty utwór. Gitarowe dźwięki wypełniły dom. Przyciszył nieco, chociaż ciężko mu było słuchać *Autsajdera* bez odpowiedniej mocy w głośnikach.

Ponownie obserwował znikające z kadru i pojawiające się w ich miejsce następne samochody. Na chwilę stężał. Zatrzymał obraz, cofnął i uruchomił odtwarzanie. Z kadru zjechał właśnie samochód, który przykuł jego uwagę. Bener ponownie cofnął nagranie i jeszcze raz je odtworzył.

Białe berlingo.

Redaktor zobaczył, jak wysiada z niego facet. Zatrzymał się i patrzy w okna redakcji. Bener nie miał co do tego wątpliwości. Mężczyzna zniknął w przejściu na wewnętrzny dziedziniec. Nie minęła chwila, gdy szybkim krokiem wrócił, wsiadł do samochodu i odjechał.

Bener nic z tego nie rozumiał.

Z tej odległości nie mógł wiedzieć, czy był to Stemperski. Nie widział go przecież od lat, dodatkowo mężczyzna ubrany był w zimowe ciuchy i czapkę. Samochód też o niczym jeszcze nie świadczył, bo numer rejestracyjny był nieczytelny. Jedno było pewne. Mężczyzna w tym czasie nie zdążyłby wejść do redakcji i wrócić do samochodu.

A może zwyczajnie się rozmyślił?

Usiadła przed nim na krześle i nie wiedziała, co zrobić z oczami.

– Wiesz, jaki jest cel naszego spotkania? – spytał.

– Chodzi o umowę, tak?

Dziennikarka splotła dłonie, żeby opanować ich drżenie.

– Chodzi o to, że chciałem przeprosić za moje zachowanie – powiedział, patrząc jej w twarz.

Uśmiechnęła się lekko. Zaskoczył ją.

– Rozumiem – powiedziała.

– A ja nie rozumiem, ale obiecuję, że to się nie powtórzy. Do tej pory dbałem o dobre stosunki w pracy. Będę to robił nadal.

– Nie musisz mnie przepraszać. Sama też zachowałam się...

– Muszę – przerwał jej. – Poza tym to nie będzie jedyna zmiana.

Przestraszył ją, chociaż nie miał takich intencji. Sięgnął po dokumenty ułożone przy monitorze i podał Justynie. Dziewczyna przyjrzała się im, Bener widział, jak skacze wzrokiem po linijkach tekstu.

– Nie spodziewałam się. Prawdę mówiąc... – Oddała mu papiery. – Znalazłam już sobie pracę.

Bener oparł łokcie na blacie i złożył dłonie jak do modlitwy. Nie słuchał jej, patrzył na nią, ale zupełnie się wyłączył. Był ciekaw, co jeszcze on sam spierdoli w tym marnym życiu. Nie wiedział, na co tak naprawdę liczył, proponując Justynie umowę na czas nieokreślony i podwyższając jej pensję o trzysta złotych. Czy to była zapłata za czyste sumienie? Brzydził się sobą i swoimi pomysłami. Jak w ogóle mógł na to wpaść?

– Dlatego, sam rozumiesz... – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Lepiej będzie, jeśli zwolnię to miejsce.

Pokiwał tylko głową.

– Mogę? – spytał.

– Jasne, wchodź. – Bener uśmiechnął się lekko. – Z czym problem? Ze sportem?

– Też – bąknął.

– Widziałem te strony na ekranie i wydają mi się okej, nie wiem, co chcesz w nich zmieniać.

– Właściwie to nic. Poprosiłem o spotkanie, bo chciałem ci coś przekazać. Wiem, że jesteś zajęty... – Sięgnął do plecaka po teczkę, a z niej wyjął dokument, który przekazał Benerowi.

Ten zerknął na podpisany papier i odłożył go na blat.

– Ty też załatwiłeś już sobie pracę?

– Chodzi o to, że...

– Chodzi o moje zachowanie, tak? – Bener poczuł, jak podnosi się mu ciśnienie. Krew jakby pęczniała w jego żyłach, uczucie rozpierania narastało.

– O wszystko generalnie. – Rafał lustrował wzrokiem wykładzinę. – Fajnie się nam tu pracowało, ale ostatnio... Zresztą sam wiesz.

– Wiem. Mimo wszystko dziękuję za współpracę. – Bener miał nadzieję, że to zakończy temat i Grosz wyjdzie z gabinetu, zanim redaktorowi strzeli gdzieś żyłka.

– Bo widzisz... – Grosz przetarł chłopięcy zarost, liche pypcie na czubku brody.

– Rafał, wszystko rozumiem. Dziękuję. A teraz chciałbym zostać sam.

– Ale jest jeszcze jedna sprawa. Chciałbym wybrać zaległy urlop. Będę w pracy jeszcze w przyszłym tygodniu, a potem...

– Załatwione, dzięki.

– A do tego numeru chciałbym jeszcze napisać o lodołamaczu, który jutro dopłyne do Torunia i...

– Dobra – uciął naczelny.

Grosz wstał, a Bener zastanawiał się, czy flegmatyczne ruchy dziennikarza nie były związane z tym, że młody pismak chciał coś ugrać na swoim odejściu. Może liczył na to, że Bener będzie próbował go zatrzymać, skusić podwyżką. Może taki właśnie miał plan.

Ale nie każdy plan da się zrealizować.

– Powodzenia – dodał Bener i uśmiechnął się, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

Kiedy drzwi w końcu się zamknęły, naczelny walnął pięścią w podłokietnik fotela.



Był w czarnej dupie.

Głębiej, niż mógł to sobie wyobrazić. Ta dupa – nawet się nie zaśmiał – nie miała końca.

Nie wyszedł ze swojej nory dopóty, dopóki nie zamknął numeru. Skoro już tu przyjechał, spełnił swój obowiązek. Nie miał ochoty na żadne rozmowy, siedział odizolowany od reszty i czekał, aż sobie pójdą. Ostatnie pliki wysłał do bydgoskiej drukarni, gdy za oknami było już ciemno. Poczekał na potwierdzenie odbioru, słuchając utworów Dżemu z Youtube'a.

Kiedy odezwano się z drukarni, Bener wyłączył komputer, pogasił światła. Miał wyjść, ale zatrzymał się i odwrócił do okien. Stał w pustym i cichym pomieszczeniu, ubrany w kurtkę i owinięty szalikiem. Nie wiedział, co teraz będzie. Przez mokre szyby, po których spływał roztopiony śnieg, patrzył na zniekształcony świat, migoczące reflektory samochodów i niewyraźne sylwetki przechodniów, na rozmazujący się w oddali blok.

Świat stracił na rzeczywistości.

– Straszna pogoda, nie? – rzucił Bener, gramoląc się z forda.

– A ma być jeszcze gorzej! Nie słyszał pan? – odpowiedział niski mężczyzna. – Jakiś straszny kocioł nam ta pogoda robi. Co przestanie padać, to chmury wracają. Żona mówiła, że w radiu mówili, że to tak jeszcze z tydzień co najmniej będzie. Uwierzy pan?

Bener narzucił plecak na ramię. Śnieg sypał mu w twarz.

– A żona jak się czuje po tej operacji biodra? Lepiej?

Mężczyzna machnął ręką.

– Cieniuchno. Leży biedna, boli ją bardzo. Żal patrzeć.

– Trzeba wierzyć, że będzie lepiej.

– Oby, panie Marku, oby, chociaż w naszym wieku to już sam pan wie, jak to jest. Może być tylko gorzej.

– Głowa do góry! – powiedział mistrz optymizmu. – Muszę lecieć.

– Oczywiście. Do zobaczenia!

Bener ruszył w stronę furtki.

– Widziałem, że u pana też ręce palą się do roboty. Wyprowadza się pan?

Bener odwrócił się zaskoczony.

– Ja? – zaśmiał się. – Mi tu dobrze.

– No, ale przecież wywoził pan dziś sprzęt, nie? Te komputery i to wszystko.

– Jakie komputery? – Bener wrócił do faceta w kapeluszu.

– No te, co je brali tu do samochodu i pakowali. No, jakąś godzinę temu!

Plecak zsunął mu się z ramienia i spadł na podłogę.

– No, a nie mówiłem? – Rzucił starszy mężczyzna, który zaciekawiony wszedł za Benerem.

– Niech pan już idzie, panie Balicki – odezwał się Bener, rozglądając się po salonie.

– A może w czymś pomóc, co? Po policję zadzwonić? – zapytał sąsiad, ale nie usłyszał odpowiedzi. Odwrócił się i zniknął.

Bener stał tak dłuższą chwilę. Gdzieś, jakby z oddali, docierały do niego głosy ulicy, a może tak mu się tylko wydawało.

W salonie pozostały wszystkie meble, każdy na swoim miejscu. Żadnego bałaganu, wręcz wyglądało to tak, jakby Bener opłacił serwis sprzątający. Jedyne, czego brakowało, to komputerów. Poza tym zniknęły wszystkie informacje, które przez miesiące zgromadzili na obu tablicach. Na tej korkowej pozostały wetknięte w róg kolorowe pinezki, a suchościeralna była czysta i wypolerowana.

Bener zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze.

Oprócz komputerów zniknął aparat fotograficzny przekazany mu przez Stemperską. Jedyne ślad, który mógł zaprowadzić go do zabójcy Waltera, a być może także do wyjaśnienia zaginięcia Agaty.

Teraz Bener nie miał nic.

Opadł na krzesło. Podparł twarz rękoma, a cisza świdrowała mu w uszach.

Ułuda.

Żył ułudą. Nakręcał się nią.

Napił się piwa i przypomniał sobie jedną z ostatnich rozmów z Agatą.

Leżeli w salonie, wtuleni na łyżeczkę. Bener obejmował ręką ciężowy brzuch Agaty, zupełnie bezwiednie gładził go, tak jakby chciał pogłaskać swoją córkę. Oglądali wtedy *Tylko dla orłów* na podstawie powieści Alistaira MacLeana, z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem w rolach głównych. Bener znał film na pamięć, dlatego zgodził się, żeby odtwarzać go w wersji anglojęzycznej, bo Agata chciała szlifować angielski. Ona oglądała ten film po raz pierwszy, a Bener za każdym razem czekał na zapierającą dech w piersiach kulminacyjną scenę w zimowym, górskim krajobrazie z brawurową akcją na kolejce linowej. Prowadziła do wybudowanego na szczycie skały zamku Hohenwerfen, który na potrzeby filmu przemianowano na Schloss Adler. Znajdował się on niedaleko austriackiego Salzburga. Po latach Bener dowiedział się, że w rzeczywistości żadnej kolejki tam nie było, a ta filmowa znajdowała się w oddalonej o blisko sto kilometrów miejscowości Ebensee, też na terenie Austrii.

Oglądali właśnie scenę w zamku, w trakcie której brytyjski major John Smith, grany przez Burtona, i amerykański porucznik Schaffer, czyli Clint Eastwood, wpadli do sali kominkowej, gdzie naziści przetrzymywali ważnego amerykańskiego generała. To właśnie tego dowódcę miała odbić grupa alianckich komandosów. Kluczowy moment dla całego filmu, znakomity twist, całkowicie zmieniający pierwotną, niebezpieczną misję wojskową. Dla Benera było to arcydzieło filmu szpiegowskiego, więc liczył, że Agacie też się spodoba.

Najpierw usiadła na sofie, potem wstała i wyprostowała plecy. Bener wiedział, że w szóstym miesiącu trudno było wytrzymać dłużej w jednej pozycji. Przyniósł jej herbatę z cytryną, a kiedy postawił kubek na stole, Agata wpatrywała się w ekran i przegryzała paluszki. Próbował coś zagadać, ale uciszyła go gestem, pochłonięta przez fabułę.

– A nie mówiłem, że to dobry film?

– Zamknij się i nie przeszkadzaj. – Puściła do niego oko.

– Będziesz miał ban na seks aż do rozwiązania, Bener – skarciła go, ale wiedział, że żartowała.

– Że co? Aż trzy miesiące? – obruszył się, ale nie przestał całować.

– Plus osiem tygodni na połów. – Odwróciła się do niego uśmiechnięta, z wystającym słonym paluszkiem w ustach. Schrupał go i pocałował ją. Pozwoliła mu na to, ale krótko. – A teraz cofnij się i nie podniecaj mnie, bo nie obejrzymy tego filmu do jutra.

– Połów trwa sześć tygodni.

– Jeszcze słowo, a będzie trwał dziesięć.

– Możemy przecież zrobić przerwę na siku.

– Już ja znam to twoje siku, zboczeńcu. – Pacnęła go ręką w udo.

Uspokoił się, mimo bolesnej ciasnoty w bokserkach, i też dał się porwać filmowej akcji.

Kiedy pojawiły się napisy końcowe, Agata odwróciła do niego twarz i pocałowała go namiętnie. Podciągnęła sukienkę i ściągnęła majtki. Uwielbiał ją za podejmowanie inicjatywy w tych sprawach. Kochali się w ubraniach krótko, ale intensywnie. Potem leżeli spoceni i wtuleni w siebie na sofie. Marzyli o chwili, w której ich córka pojawi się na świecie. I snuli długie rozważania o tym, kim ona zostanie.

Przeszedł przez salon i zatrzymał się u podnóża schodów. Spojrzał mokrymi oczami na te cztery ściany i ustawiony na środku pusty blat. Pozostało mu tylko to, co miał w głowie. Ale czy to wystarczy? Czy to nie za mało?

Był zbyt zmęczony i zniechęcony, żeby odpowiedzieć sobie na te pytania. Nie mył się, zrzucił ciuchy i padł w samych majtkach na materac.

Tej nocy nie śnił mu się żaden koszmar, widział natomiast stary tarczowy telefon ze słuchawką na widelkach. Wpatrywał się w niego długo, aż wreszcie zaczął ogłuszać go narastający i nieznośny dźwięk starego dzwonka.

Ale to był tylko sen.

Bener przewrócił się na drugi bok.

## Piątek

*17 lutego 2017 roku*

Podciągnął spodnie i wyszedł na korytarz. Przez okno dostrzegł dwa samochody, które zatrzymały się pod domem Benera. Obok nich stali antyterrorysty z karabinami, schowani za wysokim bokiem pojazdu. Balicki zamarł. Zerknął w stronę wylotu z Kalinowej na Wschodnią i zobaczył radiowóz, który błyskał niebieskim światłem. Stał w poprzek jezdni i blokował ruch.

Mężczyzna założył czapkę i kurtkę i po cichu wyszedł na zewnątrz. Stanął za wiatą chroniącą przed wiatrem i obserwował policyjne podchody.

– Czysto – rzucił ubrany na czarno funkcjonariusz, prześwietlając wnętrze forda escorta należącego do Be-ne-ra. Kilku z antyterrorystów przebiegło do ogrodu, część przywarła do ściany domu.

Dowodzący akcją policjant zgasił papierosa i niedopałek rzucił w śnieg.

– Stało się coś? – rzuciła zaspianym głosem żona.

– Nie, śpij – odpowiedział i wycofał się szybko do przedpokoju. Z krótkiej listy numerów wybrał ten do Benera i przyłożył aparat do ucha.

Była minuta po szóstej rano.

Nowe fakty i to, co w samochodzie należącym do zaginionego Jana Stemperskiego znaleźli technicy kryminalistyki, rzucały inne światło na sprawę Agaty Bener. Komisarz zerknął w końcu na zegarek i dał znać funkcjonariuszowi z taranem, by ten sforsował drzwi. Huk rozszedł się po osiedlu. Zamaskowani policjanci wpadli do wnętrza z krzykiem. Brodzki ruszył za nimi.

– Światło nie działa. Dół, czysto – rzucił jeden z nich, prześwietlając wnętrze latarką umieszczoną na korpusie broni.

Brodzkiemu nie udało się wyperswadować nowemu komendantowi, żeby nie urządzać cyrku z antyterrorystami, ale ten się uparł. „Ma być cyrk, kurwa!”, krzyczał. I Brodzki musiał teraz robić za małpę. Wdrapywał się więc po schodach za dwoma funkcjonariuszami. Dopadli drzwi sypialni, które po jednym uderzeniu z buta wyleciały z futryny. Tu także światło nie działało. Ciemności rozdzierały jedynie dwie latarki. Obie wiązki światła zamigotały po całym pomieszczeniu, by po krótkiej chwili skrzyżować się na łóżku.

– Wstawaj, Bener! – rzucił zamaskowany funkcjonariusz.

Brodzki spojrzał na kryjącą się pod kołdrą nieruchomą postać. Leżała plecami do nich. Komisarz widział tylko długie, lśniące włosy.

Brodzki zadrzał, bo zrozumiał, że coś poszło nie tak. Nie tak to, kurwa, miało być.

Kiwnął głową, że czas wyrwać pismaka z wyra.

Ale gdy zrzucili kołdrę, papieros, który komisarz trzymał w ustach, spadł na parkiet.

– Jest światło – rzucił ktoś z dołu tuż po tym, gdy włączono korki. Brodzki nie wiedział, po kiego chuja ktoś mówił mu takie rzeczy, skoro światło zalewało teraz cały dom i raziło go w gały.

Komisarz przymrużył oczy, ale i tak nie mógł uwierzyć w to, co widział. W swoim życiu napatrzył się na niejedno, ale jeśli miał być ze sobą szczery, to taką kobietę miał przed sobą pierwszy raz w życiu.

– No to nas wyruchał! – zaśmiał się jeden z policjantów, który uniósł dmuchaną lalę.

Brodzki też uniósł kąciki ust.

Więc jednak wszystko się udało.

Dawno już wyjechali za miasto. Droga na Brodnicę była wąska, a przy tej prędkości zdawała się Benerowi niewiele szersza od samochodu. Subaru impreza cięło ciemność potężnymi reflektorami, silnik dudnił basem, głośne i wysokie dźwięki pojawiały się tylko wówczas, gdy Ivo wciskał hamulec i wprowadzał auto w kontrolowany poślizg, tak jak teraz, gdy pokonywali prawy zakręt.

– Dokąd? – Bener kurczowo trzymał się kubelkowego fotela i próbował przekrzyczeć ryk silnika.

– Pluskowęsy – odparł Ivo.

Z przeciwka minął ich tir, jego kierowca mrugał światłami, by zwolnili. Być może gdzieś w pobliżu czaiła się policja. Ivo jednak nie zwolnił.

– Pali się gdzieś? – denerwował się Bener.

– Siedź spokojnie.

Strauss zadzwonił do redaktora nocą, potem głośno walił w drzwi, tak długo, aż w końcu wyrwał Benera ze snu.

– Pakuj się – rzucił, kiedy tylko Marek podniósł słuchawkę. W pierwszej chwili naczelny „Echa Torunia” myślał, że to tylko sen. Do jego świadomości dotarł jednak łomot z dołu, walenie w drzwi i kolejny telefon.

– Pakuj się, kurwa, i to już! – ryknął Ivo.

Bener zbiegł w samych bokserkach na dół i otworzył drzwi.

– Co się stało?

– Za chwilę będzie tu policja, więc zagęszczaj ruchy – niecierpliwił się Ivo.

– Policja?! – odkrzyknął gospodarz. – Czego chce ode mnie policja?

– Pogadamy w samochodzie – przerwał mu Ivo.

Bener zbiegł po schodach.

– Gotowy? – spytał Ivo.

Naczelny kiwnął głową, że tak, ale po chwili podniósł palec i schował się w piwnicy, skąd wyniósł dmuchaną lalę.

– Niech te chuje mają coś od życia – rzucił i pognął z nią do sypialni.

Ivo się uśmiechnął. „Cały Bener”, pomyślał.

– Fajnie bzyknąć taką gumową? – rzucił, gdy Bener zamykał drzwi do domu.

– Lateksową – poprawił kolegę dziennikarz. – A właściwie to cyberskóra. W dotyku całkiem naturalna. Jeśli gliny jej nie przedziurawią, to chętnie ci pożyczę i sam się przekonasz – rzekł dziennikarz.

Po kilometry Ivo zatrzymał się w lesie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni pikowanej kurtki po niewielką kartkę z rozrysowanym schematem dróg i budynków.

– Pójdiesz prosto jeszcze jakieś osiemset albo dziewięćset metrów. Zobaczysz zabudowania pałacowe i ogrodzony park. Przejdiesz przez płot i skierujesz się do domku dla gości – instruował go Ivo, wskazując na odpowiedni rysunek na kartce.

– Powiesz coś więcej?

– Nie teraz. – Ivo sięgnął do drugiej kieszeni. – To jest telefon, z którego możesz kontaktować się ze światem. Masz tam wbite dwa numery.

Bener rozumiał już, dlaczego Ivo wyrzucił jego telefon tuż po tym, jak minęli granice miasta.

– To znikaj – rzucił Ivo. – Muszę wracać do Warszawy.

Bener otworzył drzwi, które oparły się o wysoki, zmarznięty śnieg. Wygramolił się z fotela i zapadł się w przydrożnej zaspie na drodze, która w kategorii odśnieżania musiała mieć zapis: „nie odśnieżać przenigdy!”.

– Dzięki, Ivo. Ale może powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– Mnie nie dziękuj.

– A komu?

– Brodzkiemu. Odezwie się do ciebie. Ja o niczym nie wiem.

– Serio?

– Serio. Zrobiłem to, o co prosił, i więcej wiedzieć nie muszę. Ciesz się, że masz już dwóch takich, co ratują ci dupę. Do następnego.

W domu, do którego się kierował, nie świeciło się żadne światło. Bener obszedł budynek i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że w oknach były zaciągnięte rolety antywłamaniowe.

Stał przed drzwiami, ale nie miał żadnych kluczy. Delikatnie nacisnął klamkę, jednak drzwi nie ustąpiły. Tego się właśnie spodziewał. Rozejrzał się za miejscem, w którym można było ukryć dodatkowe klucze. Zerknął pod wycieraczkę, rozejrzał się za donicą, szukał czegokolwiek, co mogło być

dobrym schowkiem. Niczego takiego nie znalazł.

W końcu sięgnął po telefon. Nie pozostało mu nic innego, jak wybrać jeden z dwóch numerów i zapytać, co dalej.

Zanim to jednak zrobił, drzwi uchyliły się bezszelestnie.

– No, jesteś wreszcie. Wejdz.

Głos przebił się przez szum wiatru, ale Bener go nie rozpoznał.

Uchylił drzwi szerzej i wszedł do ciepłego wnętrza. Dopiero gdy rozbłysło światło, zobaczył dziewczynę z gipsem na ręce.

– Aldona! – krzyknął i uściskał ją.

Nie okazała radości. Była spłoszona, coś wyraźnie ją niepokoiło.

Chciał o to zapytać, ale popchnęła go lekko w stronę salonu.

Wszedł tam i oniemiał.

– Co pan planuje? – spytała podejrzliwie.

– Nic. – Rozstawił statyw i zamontował na nim niewielką kamerę. Chciał zmienić temat, odejść od wałkowanych w kółko spraw. – Jak się tu pani mieszka? Smakuje pani jedzenie?

Nie narzekała, wręcz pochwaliła. Dobrze, chciał, żeby się rozluźniła, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Ciągnął więc tę rozmowę o niczym, która wyraźnie sprawiała jej przyjemność, dzięki niej nie musiała się skupiać, myśleć i zastanawiać się, nie musiała stresować się ewentualnymi błędami. Starła się, chociaż nie wiedziała, że wszystko to, co do tej pory wspólnie zrobili, na nic się już nie przyda. To była tylko zasłona dymna. Zadaniami i rozmowami o przeszłości uciszał jej sumienie. Ale czas dobiegł końca, musieli przejść do realizacji celu, jaki przed sobą postawił. Ona była jedynie narzędziem.

– Niech pani tu podejdzie – poprosił. Stał do niej plecami, udawał, że majstruje przy kamerze.

Wyczuł, kiedy stanęła bok, a gdy się odwrócił, uśmiechała się lekko.

– Przepraszam – powiedział, odwzajemniając uśmiech.

Może to był błąd, bo dojrzał w jej oczach strach. Zrobiła krok do tyłu, a on zamachnął się i uderzył ją w twarz. Upadła na podłogę, zupełnie nie rozumiejąc, co się stało. Rozglądała się nieobecny wzrokiem po pomieszczeniu, a z jej ust spływała krew.

Podniósł ją niczym lalkę i wyniósł do innego pomieszczenia. Nie zareagowała.

Następnie wrócił po kamerę.

– A więc to twoja robota – powiedział, ściągając kurtkę.

Redaktor podszedł do wyspy oddzielającej salon od aneksu kuchennego. Na jej blacie stały komputery, laptop Stemperskiego i aparat. Wszystkie urządzenia były podłączone do długiego przedłużacza z kilkoma gniazdami w listwie.

Aldona usiadła w fotelu i objęła dłońmi gorący kubek.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o wyniesieniu sprzętu? – spytał. – Byłem bliski zgłoszenia kradzieży na policję.

Dziennikarka nie odpowiedziała. Sama miała mnóstwo pytań.

– Powiesz mi, co jest grane?

Bener wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– To zacznijmy od początku. Kim jest Ivo Strauss? – Napiła się kawy.

– Strauss zaczepił mnie na stacji w drodze do Warszawy i powiedział, że za chwilę będziesz miał kłopoty. Zabrał mi telefon i przekazał nowy. Zabronił kontaktowania się z tobą, dopóki nie przekaże ci takiego samego aparatu. Policja podobno ich nie namierzy. – Wskazała brodą telefon leżący na skraju ławy. – Resztę już znasz. Pojechaliśmy razem do twojego domu i zabraliśmy sprzęt. Strauss mówił, że tak będzie bezpieczniej.

– Chyba miał rację.

– Zrobilibyśmy to wcześniej, być może z twoim udziałem, ale musiałam załatwić jedną sprawę w Warszawie...

– Jaką sprawę?

– Sądzę, że wiesz.

Pokiwał głową.

– Jak to rozwiązałaś?

– Normalnie.

– Kopnęłaś go w jaja?

– Jestem delikatną kobietą. – Aldona mrugnęła. – Poprosiłam, żeby sam się kopnął.

Bener się uśmiechnął.

– Cała ty – rzekł i raz jeszcze popatrzył na sprzęt komputerowy, jakby wciąż nie wierzył, że Aldona razem z Ivo przewieźli go w bezpieczne miejsce.

– Teraz twoja kolej – powiedziała.

– Podobno policja miała mnie dziś zgarnąć.

– Za co?

– A skąd mam wiedzieć?

– Rozmawiałeś z Brodzkim?

– Nie. Ivo wyrzucił mój telefon, potem przekazał mi nowy.

– Ale to robota Brodzkiego, tak?

Bener potwierdził. Zastanawiał się, dlaczego Brodzki tak wiele ryzykował, wystawiając do wiatru swoich ludzi. Ale jeszcze ciekawsze było to, jakie dowody świadczyły przeciwko Benerowi. Podzielił się swoją wiedzą z Aldoną.

– Naprawdę myślisz, że chodzi o to, że odnalazłeś Michała Waltera?

– To nie jest tylko kwestia odnalezienia zwłok. Zosta-wiłem tam mnóstwo śladów, dotknąłem trupa, musiałem wyjąć mu z rąk zdjęcie Agaty.

Aldona się skrzywiła.

– Brodzki wiedział, że tam byłeś. Dlaczego miałby cię za to aresztować?

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. – Bener wziął dwa większe łyki kawy i poczuł, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po przelyku i dalej po całym brzuchu. Popatrzył na Aldonę i czekał, aż ona podniesie wzrok. Kiedy to zrobiła, odezwał się. – Dziękuję.

– W co myśmy się wpakowali, co?

Bener i na to pytanie nie znał odpowiedzi.

– To wszystko jakoś się łączy. Gdzieś jest jakaś niewidzialna dla nas nić, która łączy wszystkie ostatnie wydarzenia.

Opowiedział jej o tym, że Stemperska znalazła w garażu stary aparat fotograficzny. Jak twierdziła, nie pamiętała, by jej mąż kiedykolwiek go używał.

– Obawiam się jednak, że Stemperski może mieć coś za uszami.

– Sądziś, że to on zrobił te zdjęcia?

– Możliwe. Ale sprawdziłem też monitoring przy redakcji. Okazało się, że Stemperski był we wtorek pod redakcją. Wysiadł z samochodu i zniknął z zasięgu kamery. Po chwili jednak wrócił do samochodu i odjechał.

– Co to może oznaczać? – dociekała Aldona.

– Może chciał mi coś przekazać, ale mnie nie zastał?

– Czemu nie zadzwonił, czemu cię nie uprzedził? Znał cię, mógł się przecież z tobą umówić.

– Nie wiem.

– Może w takim razie nie przyjechał do ciebie?

Bener zamyślił się. Chciał, żeby Aldona pociągnęła ten wątek, kiedy zadzwonił jego nowy telefon.

Odebrał połączenie w trybie głośnomówiącym.

– To ja – usłyszał głos Brodzkiego. – Żadnych nazwisk, jasne?

– Jasne. Mów, o co chodzi.

– Nasz przyjaciel się spisał?

Bener wiedział, że chodzi o Iva.

– Tak. Wszystko okej.

– Dobrze, bo sam nie mogłem cię uprzedzić.

– Co na mnie masz?

– Spokojnie – odsapnął Brodzki. – O tym później. Na razie mogę tylko powiedzieć, że w samochodzie znaleziono odciski palców tego, no... Fotoreportera.

Bener zrobił wielkie oczy. Aldona spuściła bose stopy na podłogę i pokręciła głową. Zaprzeczała oczywistym faktom.

– Po pamiętnej akcji w dwa tysiące trzynastym roku i po tym wypadku, w którym wziął udział, mieliśmy jego odciski. A jak wiesz, bęben w takich sprawach nie kłamie. – Brodzki mówił o policyjnej bazie danych.

Bener nie mógł uwierzyć w te słowa. Czy rzeczywiście Radosław Rak mógł być w to wszystko zamieszany?

– No dobrze, ale to nie z jego powodu chciałeś mnie... mieć u siebie. – Bener musiał uważać na słowa, by nie zdradzić fachu swojego rozmówcy.

– Polecenie przełożonych, którzy o pewnych sprawach nie mają pojęcia. Bardziej mi się przydasz tam, gdzie teraz jesteś. Ale bądź ostrożny. Odezwę się, gdy będę miał więcej wiadomości. Na razie po prostu bądźmy w kontakcie. Informuj mnie, jeśli cokolwiek się wydarzy, okej?

– Dobra, dzięki.

– No. – Brodzki się rozłączył.

Bener popatrzył na Aldonę. Przechadzała się po pokoju.

– To niemożliwe! – powiedziała.

Bener też był wstrząśnięty.

– Nie wiem, co o tym myśleć – stwierdził bliski załamania. Rak był jego przyjacielem. Ryzykował i nadstawiał karku, kiedy kilka lat temu wpadli na pierwszy trop w związku z zaginięciem Agaty. To właśnie wtedy doszło do wypadku i nieodwracalnych uszkodzeń kolana. Rak został kaleką. A mimo to nigdy nie odwrócił się od Benera. Zawsze mogli na siebie liczyć.

– To nie on. Nawet tak nie myśl – rozkazała Aldona.

Bener spojrział na aparat.

– A co jeśli te zdjęcia...

Aldona ponownie pokręciła głową.

– Nie! – krzyknęła.

– ...jeśli to on je zrobił?

Pytanie zawisło między nimi.

– Przestań! – Aldona była bliska łez.

Odwróciła się i zniknęła w łazience.

Bener uruchomił sprzęt i przejrzał zapisane w nim pliki.

Bateria aparatu się wyczerpywała. Bener nie miał ładowarki, więc wyłączył go i pomyślał, że pora zgrać wszystkie fotografie do pamięci komputera.

Na razie jednak odłożył canona i stanął pod drzwiami łazienki. Usłyszał szum wody.

– Jest coś, o czym nie wiem? – spytał, przysuwając twarz do framugi.

– To nie on – odpowiedziała Aldona, przekrzykując wodę.

– A jakieś fakty? Coś, w co mógłbym uwierzyć bez cienia wątpliwości?

Szum w końcu ustał. Drzwi się uchyliły i Aldona przeszła koło niego.

– Bierzmy się wreszcie do roboty – stwierdziła.

Aldona weszła do „Polski”, zastanawiając się, jak wiele rzeczy jeszcze ją zaskoczy. Tak jak ta pusta o tej porze i skryta w półmroku restauracja. Wyglądała na świeżo odmalowaną i urządzoną nowoczesnie, chociaż w stylu disco polo.

Dziennikarka przeszła do części barowej. Zza drzwi, jak w amerykańskim salonie, dochodziły dźwięki radia. Białe płytki wyścielające korytarz prowadziły zapewne do kuchni. Kobieta nie usłyszała jednak brzęku talerzy czy sztućców, a jedynie podniesione głosy. Jakiś bełkot kobiety kłócącej się z

mężczyzną. Aldona próbowała wyłowić pojedyncze słowa, ale okazało się to niemożliwe.

Rozejrzała się.

Po drugiej stronie sali dostrzegła kolejne zdjęcia, ale z tej odległości mogła się tylko domyślać, że prezentowały podobne treści.

– I żebym ci więcej, kurwo, nie musiał o tym mówić, jasne? – usłyszała niski męski ryk. – Bo ja cię widzę!

Aldona podeszła do baru znajdującego się pośrodku sali.

Za kontuarem kelnerka ocierała łzy.

– Przepraszam, może nie w porę? – zapytała dziennikarka.

Kobieta pociągnęła nosem.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

Aldona ukradkiem dojrzała kamerę zawieszoną w rogu baru.

– Poproszę dwie herbaty z cytryną. – Mrugnęła do dziewczyny. – Jedna dla pani.

Kelnerka się uśmiechnęła. Była niskiego wzrostu, nosiła czarną obcisłą spódnicę i białą bluzkę.

Długie blond włosy ułożyła w kok.

– Zaraz pani podam – zapewniła i odwróciła się do elektrycznego czajnika.

Aldona zapłaciła i usiadła przy stoliku, skąd miała dobry widok na kościół i osiedlową drogę. Nie czekała długo. Po chwili ogrzewała dłonie o gorącą szklankę.

– Niech pani usiądzie – poprosiła Aldona.

– Nie mogę. – Dziewczyna spojrzała strachliwie na bar.

– Ale ja w sprawie wynajęcia restauracji.

– A, to co innego. Przyniosę zeszyt.

– Zeszyt?

– No, żeby ustalić termin. Bo chodzi o ślub, tak? – Już chciała odejść, ale zamiast tego oparła się o blat. – A przyszedł mąż gdzie?

Aldonę zatkało.

– Wie pani, jak to z nimi jest – odpowiedziała po chwili wahania i rozłożyła ręce.

– Wiem, wiem. Sama też wszystko załatwiałam, bo mój Krzysiu ciągle siedział w pracy. I wszystko miałam na głowie, chociaż to ja byłam w ciąży. I to zaawansowanej – dodała. – Zresztą zaraz coś pani pokażę.

Czekając, Aldona napiła się rozgrzewającego napoju i spojrzała przez szyby. Szaruga przechodziła w czerń, światła reflektorów sunących po drodze samochodów stawały się wyraźniejsze. Silniki mruzczały miarowo. Skulone sylwetki poruszały się szybko.

– O tu, proszę. – Kelnerka sapnęła i położyła przed Aldoną wielką, grubą księgę. Na otwartej stronie dziennikarka zauważyła wklejone trzy zdjęcia i podpisy nowożeńców, którzy dziękowali za wesele i polecali restaurację innym.

– To pani? – Aldona skupiła się na pannie młodej. – Kiedy to było?

– Ładnych parę lat temu.

– Dzieciom z przedszkola nie wolno brać ślubu – Aldona zażartowała, ale uśmiech na twarzy kelnerki szybko zgasł.

Kelnerka podała jej niewielki zeszyt i poprosiła o wpisanie nazwiska wraz z numerem telefonu. Aldona zrobiła to.

– Wracaj do roboty! – warknął wysoki, krótko ścięty blondyn z szeroko rozstawionymi rękami.

– Ja tu teraz panią obsłużę, co nie?

Aldona odłożyła księgę na bok, ale nie zamknęła jej.

– Ślub będzie, jo? – spytał mięśniak. – Arek jestem, Aras dla kumpli. Jakby kto chciał panience tu krzywdę zrobić, to mówić od razu, że mnie zna, okej? Po prostu tak bezpieczniej, chociaż nie mówię, że tu nie jest bezpiecznie, ale moich klientów to tu się normalnie szanuje, nie ma chu... Nie ma to tamto. Szucun musi być – zreflektował się i wyciągnął w stronę Aldony wielką dłoń. Uścisnęła ją, a on się zaciekawił. – A kiedy?



- Co kiedy? – dopytała zdziwiona.
- No ten ślub, co nie? – zarechotał.
- Aaa, wkrótce.
- Sprawdziła w zeszycie i zapisała?
- Kto? Ta kurwa? – wypaliła Aldona, wskazując głową na bar, przy którym kelnerka wycierała

szkło.

– O, poezja! Widzę, że ty też lubisz sobie jebnąć słówkiem. – Mężczyzna zatarł ręce i nachylił się, jakby chciał zdradzić dziennikarce tajemnicę. – No fakt, Gocha to wyjątkowa pizda, trzeba przyznać. Już jej powiedziałem, że wypierdole na pysk, jak jeszcze raz coś takiego wywinie.

– Aras, to ty ją kurwą nazwałeś. Udajesz czy nie pamiętasz? – Aldona dopiła herbatę. – Brzydko! Mężczyzna się zmieszał.

– Wszystko zapisała, zdolna dziewczyna.

– Taaa, zdolna! Za chuja jej nie przetłumaczysz! – Aras zaczął gestykulować. – Ja do niej tak, a ona, że tego, że nie czai, ale w sumie, to że niby jo. A ja, że sro! No bo ile, kurwa, można, nie?

– Czyli że... – Aldona z trudem udawała rozbawioną.

– Chciała mi tu porządki zrobić, Marszałka zdjęła ze ściany i już się za szaliki zabrała, żeby je wypierdolić, bo niby, że będzie szykowała lokal na ślub tego radnego lewicy, czy tam jego, kurwa, pociotka jakiegoś. Komuch jebany teraz demokratą się nazywa, a dawniej to wiesz, co takim robiliśmy? No! To ja jej powiedziałem, że takiego chuja, że jak chce sobie fiut zatańczyć, a później podupczyć u góry, bo mam tam dwa takie pokoiki na różne okazje – mrugnął i wskazał palcem na sufit – to niech się Boga i ojczyzny nie boi, kurwison jeden! A jak się boi, to wypierdalać!

– Od dawna masz tę knajpę? – Aldona wołała zmienić temat i ugrać coś na tej wizycie.

– Trochę czasu już będzie. W sumie to zaczynali tu moi rodzice. – Wskazał na wielką księgę obok Aldony. – To ich robota, ta cała księga pamiątkowa. Przekazali mi ten lokal, bo sami już nie dawali rady.

Aldona sięgnęła do torebki.

– Znasz go? – Podała mężczyźnie zdjęcie Waltera.

– No kurwa, Michy miałbym nie znać? Toć wszyscy tu ciągle o nim trąbią. A jak się okazało, że się przekreślił z czyjąś pomocą, to już w ogóle. To znaczy, ludziska tak mówią, bo podobno policja jeszcze pary z gęby nie puściła. Jak zawsze, dla dobra śledztwa. A my tu na wiosce to nie mamy teraz innych tematów. Każdy, kurwa, Sherlock. Każdy wie, co mu tam było i komu za skórę zalażł. Ale jak chcesz znać moje zdanie, to ci powiem. Pierdolenie zwykłe.

– A ty wiesz?

– A niby skąd? Stypę będę mu tu robił, to może coś się uda podsłuchać, nie? Ale na moje oko, to wszedł komuś pod nogi i wpierdolił dostał.

– A był taki?

– Jaki?

– Lubiał się wtrącać w czyjeś sprawy?

– Nie, no skąd! Ale kto tam go wie? Roboty wszędzie szukał, nawet na czarno robił, jak trzeba było. Więc może co gdzie przywazył albo podpierdolił coś komuś? Bo to wiadomo?

– A u ciebie pracował?

Blondyn zaprzeczył.

– Czemu o niego pytasz? – Odchylił się na oparcie krzesła.

– Znajomy kolegi.

– Znam go?

– Nie sądzę, zresztą nieważne. Jeszcze tylko jedno i znikam.

– No to wal.

– Czy Walter tu bywał?

– Rzadko. Oni częściej na dole, koło biblioteki, w tym pubie u Krasnego przesiadywali. Krasodębskiego znasz? Nie? No to wpadnij do niego.

Pogadali jeszcze trochę, ale Aldona nie mogła być zadowolona. Zmarnowała sporo czasu, by dowiedzieć się, że powinna iść do pubu, przy którym niedawno przejeżdżała. Wstała, założyła kurtkę, sięgnęła po torebkę i rękawiczki. Ostatni raz jej wzrok powędrował na otwartą mniej więcej w połowie księgę ze zdjęciami ze ślubu kelnerki.

Poczuła dziwny skurcz pod lewą piersią.

Musiała to wcześniej przeoczyć.

– Przytknęło cię tak, że z przyjemnością bym cię odetkał. – Aras zarżał jako koń. – Kumaszu, co nie?

Aldona usiadła i przysunęła do siebie księgę. Wertowała kolejne strony, aż dotarła do tej właściwej. Tej, której szukała.

– Ej, kurwa, no co jest? Na żartach się nie znasz? – Właściciel „Polski” spowaźniał.

Aldona położyła palec na zdjęciu i spojrzała na krzepkiego właściciela.

A potem rozejrzała się po lokalu.

Zapisał zdjęcia na pulpicie i wydrukował je w kolorze. Następnie poszedł do łazienki się wysikać. Kiedy wrócił, zdjął z drukarki papiery i usiadł przy biurku. Odsunął klawiaturę i ułożył na nim zdjęcia w dwóch rzędach, siedem u góry i sześć na dole. Porównał daty i godziny zapisane na zdjęciach. Od pierwszego do ostatniego upłynęło dziewiętnaście minut. W ciągu tych dziewiętnastu minut ktoś tkwił za oknem restauracji i robił zdjęcia. Bener nie wiedział, czy ich autor fotografował z ukrycia, czy też Agata i Walter wiedzieli o istnieniu fotografa, a zdjęcia były pozowane. W tym wszystkim nie zgadzała mu się leżąca na blacie róża, główką zwrócona w stronę żony dziennikarza. Uchwycono ją na trzech zdjęciach, a pierwszy raz pojawiła się na siódmym.

Aldonie coś nie pasowało w jednym z tych ujęć. Bener odnotował w pamięci, że nazwała je „nienaturalnym”, ale nie wiedział, co miała na myśli. Powinni o tym porozmawiać, to mogło okazać się ważne. Przynajmniej na to liczył.

Dziennikarz podniósł siódmą kartkę i przyjrzał się fotografii z bliska. Agata, Walter, blat i róża.

Co więcej chciał w tej fotografii znaleźć? Była niezbyt wyraźna, bo zdjęcie robione przez szybę zarejestrowało sporo świetlnych refleksów. Układały się białymi, wąskimi trapezami.

Przetarł palcem czarny paproch, ale ten nie zniknął. Bener pomyślał, że czarna kropka musiała znaleźć się na papierze. Nie była to jednak wina papieru. Pomylił się. Przejrzał kolejne fotografie i zobaczył, że wszystkie zdjęcia miały podobny feler w tym samym miejscu.

Bener chciał przyrzeć się im na ekranie. Uruchomił wszystkie pliki zdjęciowe z karty i przeglądał je jeszcze raz w znacznym powiększeniu. Obserwował plamy, które, jak sądził, były martwymi pikselami. Mogło to świadczyć o uszkodzeniu matrycy.

Ale o czym jeszcze? Co dało mu to nowe odkrycie? Zupełnie nic. Mimo to przeszukał Internet w poszukiwaniu informacji o błędach matryc aparatów fotograficznych. Niespecjalnie wiedział, po co to robi, nie spodziewał się, by ta informacja mogła mu w czymkolwiek pomóc. Niewiele też zrozumiał z technicznego bełkotu, z którym próbował się zapoznać.

Bener odsunął się od blatu. Zamknął folder ze zdjęciami. Zamyślony wsunął kartę pamięci z powrotem do aparatu i postawił go obok monitora.

Agata, Walter, róża, stół.

Agata, róża, stół, Walter, Agata, rak, Walter...

Otworzył oczy.

Na zdjęciach nie było Raka, a jednak...

Bener musiał coś przeoczyć.

Uspokój się, zganil się w myślach. Aldona ostrzegła go, że się uprzedził, zafiksował. A jeśli nawet nie powiedziała tego, to dostrzegł to w jej oczach. Pewnie miała rację.

Bener rozejrzał się po biurku, spojrzał na wydruki. Nie, nie chodziło o to, co było na fotografiach. To, czego szukał, musiało być gdzieś indziej. Błądził wzrokiem po salonie, po ułożonych na ławie materiałach z tablicy korkowej. Zimo, zimno, podpowiedział sobie. W końcu popatrzył na aparat.

Ciepło.

Raz jeszcze wziął go do ręki i obejrzał z każdej strony.

Nie, jednak zimno.

Odstawił go i zaczął krążyć po salonie. Splótł, a potem wyginał palce dłoni, aż trzeszczały kości.

Rak, Rak, Rak...

Myślał intensywnie, aż w końcu zaskoczył.

Znowu sięgnął po aparat i niemal wyszarpnął z niego kartę pamięci.

Bener przyjrzał się jej i z trudem przełknął ślinę.

Na niewielkiej czarnej obudowie dostrzegł naklejkę.

Czerwony rak z dużymi szczypcami.

– Gdzie zostało zrobione to zdjęcie? – Aldona spytała napakowanego mężczyznę.

Wcześniej do restauracji weszło dwóch jego znajomych i dziewczyna. Podnieśli rękę na powitanie, Aras odpowiedział, że zaraz do nich podejdzie, po czym gwizdnął na kelnerkę. Przybiegła w popłochu.

– Jak to gdzie, kurwa? No przecież, że tu! – odpowiedział na pytanie Aldony.

– W dwa tysiące czternastym roku?

– No a jak? Tak jest napisane, nie?

Aldona przyglądała się zdjęciom z remontu elewacji i wymiany okien. Stara witryna została zastąpiona nową, budynek ocieplono, część wielkich okien zamieniono na mniejsze, ale z grubą szybą.

Aldona przerzuciła kartkę, na której zamieszczono zdjęcia z zewnątrz. Kwitły kwiaty, zieleniły się drzewa. Para młoda ustawiła się na środku schodów, a z każdych stron otaczali ich goście. Do dachu nad schodami przytwierdzony był neon „Staropolska”.

– Mogę? – Aldona wyciągnęła aparat i chciała zrobić zdjęcie.

– A po co? – Aras sięgnął po księgę i zamknął ją. – Wolałbym nie, cholera wie, co się potem, kurwa, zdarzyć może. Remont był, myśmy tu część rzeczy machnęli po cichu, więc... No, sama rozumiesz. Strzeżonego... i tak dalej, nie?

Aldona odpuściła, nie miało to już większego znaczenia. Była pewna, że to właśnie w tym lokalu wylądowali Agata i Walter. Ale dlaczego żona Benera trafiła aż do Lubicza?

– No, Aras, kurwa, idziesz? – usłyszeli z głębi sali.

Dziennikarka spojrzała w stronę stołu, przy którym siedzieli znajomi właściciela restauracji.

– Muszę iść – odpowiedział Aras.

– Jeszcze jedno.

– Tylko szybko, jo? – Odwrócił się do niej.

– Powiedziałeś, że Walter szukał roboty na czarno, ale jego matka nic na ten temat nie mówiła.

Był tak zdesperowany?

– Jego matka to, umówmy się, orłem nie jest, czy tam orlicą. Gównu wiedziała. Michu robił, co chciał, i na brak kasy nigdy nie narzekał. Nawet po śmierci ojca. Krasny mówił, że nieraz w pubie kolejkę chłopakom stawiał.

– Niedawno?

– Raczej dawno. Niedawno to jakiś struty łąził.

– A gdzie najczęściej pracował?

– Na czarno to tylko w serwisie w Lubiczu robił. Temu nigdy nie opłacało się nikogo zatrudniać, kutwa ten Romek jest, ale przynajmniej uczciwy z niego chuj. Nie opierdala się i jak wóz trzeba zrobić w terminie, to robi, nawet gwarancję da.

Aldona przypomniała sobie, że w okresie zaginięcia Agaty chłopak nie był nigdzie zatrudniony.

– Gdybyś chciała jechać do Romka, to powołaj się na mnie. Aras otwiera w Lubiczu wiele drzwi, pamiętaj o tym. – Udał, że celuje do niej z pistoletu.

– Dzięki.

– Do zobaczenia na weselichu! Nie ma chuja, będziesz zadowolona, że hej!

Aldona znowu przywołała na twarzy sztuczny uśmiech. Nienawidziła prostaka od pierwszej chwili, ale jeszcze nie mogła mu o tym powiedzieć, chociaż świerbił ją język.

Na dworze było już ciemno. Śnieg był wyslizgany, musiała uważać, dlatego stawiała drobne kroki. Podeszła do miejsca, z którego – jeśli dobrze pamiętała – mogło być zrobione zdjęcie Agaty i Waltera. Witryna całkowicie się zmieniła, układ stołów wewnątrz też.

Aldona patrzyła teraz na siedzących przy stole trzech mężczyzn i młodą kobietę.

– Dzień dobry – usłyszała chłopięcy głos.

Odwróciła się i przywitała. Chłopiec mógł mieć nie więcej niż dziesięć lat. Gdy wchodził do restauracji, zgrzytnęły drzwi.

Co robiła tu Agata i dlaczego pojawiła się w tej restauracji razem z Walterem? Dlaczego nikt jej tu wtedy nie widział, nikt niczego nie zgłosił, nie skojarzył jej z tym miejscem?

Popatrzyła raz jeszcze na restaurację i już miała odjechać, gdy usłyszała, jak Aras krzyczy na chłopca.

– Wypierdalaj, rudzielcu, z tymi badyłami, ale już! – usłyszała przytłumiony przez szybę niski głos właściciela. – Jak jeszcze raz tu przyjdiesz, to ci kopa zasadzę, kurwa! Jasne?

Odeszła w stronę samochodu i uruchomiła minimorrisa. Wyjechała z parkingu i minęła chłopaka, który szedł nieodśnieżonym chodnikiem ze zwieszoną głową.

W czerwonych, zmarzniętych dłoniach trzymał kilka tulipanów. Każdy z nich owinięty był celofanową folią.

Nasunął na głowę kaptur i poczuł się jak ninja z filmów z lat 90., nie dlatego, że japońscy wojownicy nosili kaptury, bo nie nosili, ale Bener miał wrażenie, że jemu to nakrycie głowy zapewniało niewidzialność. Skulony przebiegł truchtem do schodów prowadzących na galerię, rozejrzał się i zaczął wspinać się na piętro. Miał ochotę przywrzeć do elewacji, jak robili to najlepsi komandosi, ale z żalem odpuścił. Ci, którzy obecnie wpatrywali się w ekrany monitoringu, mieliby niezły ubaw. Być może zostałby nawet gwiazdą Internetu. Otworzył drzwi, a następnie rozkodował alarm. Nie włączył światła, ale z zewnątrz i tak wpadało go tu wiele. Usiadł przy biurku Raka i zaczął wertować zawartość szuflad. Włączył komputer, który wraz z wyświetleniem ekranu powitalnego poprosił o hasło.

Do Torunia dotarł po piętnastu minutach.

Zdążył już przejrzeć wszystkie szuflady, ale nie znalazł w nich niczego interesującego. Rak nie byłby na tyle głupi, by jakkolwiek ślad zostawić w redakcji. Albo po prostu uprzedził Benera.

Naczelnny nie ruszał się z miejsca. Zawiedziony wpatrywał się w światła miasta za oknem, jasne punkty na czarnej panoramie nieba. Żałował, że w jego historii tak mało było jasnych punktów.

Bener wciągnął powietrze.

– Redakcja – rzucił do słuchawki.

– Spierdoliłeś to koncertowo, Lechu!

Dziennikarz chrząknął zamiast udzielić odpowiedzi. Roz-poznał ten głos. Ciarki przebiegły mu wzdłuż kręgosłupa.

– Yhm – mruknął Bener do słuchawki.

– Miałeś to, kurwa, uciąć! Tak czy nie?

Dziennikarz cmoknął.

– Halo? – odezwał się głos i w słuchawce zapadła cisza.

Mężczyzna po drugiej stronie się rozłączył.

Odjechał spod wieżowca i zatrzymał się przy wyjeździe na Łyskowskiego. Upewniwszy się, że droga jest pusta, zwolnił sprzęgło i skręcił w prawo. Po chwili jednak musiał się znowu zatrzymać, żeby przepuścić pieszych.

Bener myślał o Leszku Hermionie i zastanawiał się, co ten gość kombinuje. Zaproszenie na siłownię, rozgadywanie o tym, że źle dzieje się w redakcji „Echa”, a do tego jeszcze ten dziwny telefon. Czego od Hermiona chciał Alfred Zdziarski? Bener analizowałby to dłużej, gdyby nie kobieta, która przemknęła przed maską jego samochodu.

Dziennikarz nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale o pomyłce nie mogło być mowy.

Piesi przeszli, droga była już pusta. Ktoś na niego zatrąbił. Światła w lusterku wstecznym go oślepiły.

Bener zjechał na długi parking przed Kwadratem i przejechał przez dziurawy asfalt, nie spuszczać kobiety z oka. Szła w stronę przystanku.

Rozpoznał jej różową czapkę i szalik.

Przypieszył i ponownie wbił się na Łyskowskiego.

Kobieta stanęła blisko krawężnika.

Ruszył gwałtownie i zatrzymał się w zatoczce autobusowej tuż przy niej.

Szarpnął drzwi pasażera i nachylił się, by dobrze ją zobaczyć.

– Wsiadaj – rzucił.

Dziewczyna wyglądała na przerażoną.

– No już!

Ogrodzony plac pełen był samochodów ustawionych prostopadle do płotu i ulicy. Część z nich przykryto plandeką, kilka miało zdemontowane blachy, Aldona nawet nie umiała rozpoznać marek. Garaże, mimo mrozu, były otwarte, a prawie każdy z wozów miał podniesioną maskę. Przy blaszaku stał biały dostawczak, przechylony na bok i bez jednego koła. Kierowca wpatrywał się we wnętrze opony, którą postawił przed nim wulkanizator.

Aldona przekroczyła próg niewielkiego i nieotynkowanego pomieszczenia „przitulonego” do głównego, murowanego warsztatu. Na szybie przyklejono napis „Serwis”, a pod spodem, mniejszymi literami „Poczekalnia”.

Aldona sięgnęła po tekturowy kubek i naląła sobie gorącego napoju. Czekala, aż zawiadomiony głośnym dźwiękiem właściciel zajrzy do poczekalni. Po chwili mężczyzna pojawił się w bocznych, przeszklonych drzwiach prowadzących do warsztatu. Zatrzymał się w nich, krzyknął do jednego z pracowników, by przyniósł klocki hamulcowe z magazynu. Dopiero potem się przywitał, ściągnął rękawiczki i oparł dłonie na biodrach. Granatowy ocieplacz umazany był smarem. Mężczyzna wyglądał na zniecierpliwionego, robota paliła mu się w rękach.

– W czym mogę pomóc? – Uśmiechnął się niemrawo.

Aldona zamoczyła usta w kawie. Sięgnęła do torebki po wydrukowane zdjęcie Michała Waltera i podała je właścicielowi serwisu.

– Szukam informacji o tym chłopaku – powiedziała.

– A pani z policji? – Mężczyzna ściągnął czapkę. Wyglądał młodo, kilka siwych włosów na ciemnych skroniach mogło świadczyć o tym, że zbliżał się do czterdziestki.

– Jestem dziennikarką, zajmuję się sprawą jego zaginięcia razem z Markiem Benerem. Poznał go pan, prawda?

– Tak, ale wszystko już mu powiedziałem. – Mężczyzna położył rękę na klamce drzwi do warsztatu i zerknął przez szybę. W oświetlonej przestrzeni kręciło się dwóch pracowników, pozbawione życia, brudne samochody wisiały na podnośnikach. – Mam dużo pracy.

– Rozumiem. Chodzi mi tylko o jedną rzecz. Czy Michał pracował u pana na przełomie dwa tysiące dziesiątego i jedenastego roku?

– Trzeba by sprawdzić w papierach, to było tak dawno...

– Chodzi o pracę na czarno. I niech się pan nie przejmuję, nie piszę tekstu, chcę się tylko upewnić.

– W czym upewnić? – Podniósł na nią badawczy wzrok.

Aldona ponownie się napiła.

– Chodzi o jego przeszłość. A konkretniej o to, czy miała wpływ na to, co się wydarzyło.

– Na samobójstwo? – Mężczyzna był szczerze zdziwiony.

Prawdziwa wersja wciąż jeszcze nie była upubliczniona i Aldona wolała nie zdradzać niczego w obecnej sytuacji.

– Tak.

– W jaki sposób? – Właściciel warsztatu znowu oparł dłonie na biodrach.

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć.

– Pytam, w jaki sposób wiązałyby się to z moim warsztatem.

Zapędził ją w kozi róg.

- Może kogoś tu spotkał, może świadczył komuś przysługi – próbowała znaleźć właściwy trop.
- I to mogłoby mieć związek z jego samobójstwem? Sześć lat później?
- Aldona wiedziała, że go nie przekonała, ale nie zamierzała się poddać.
- Wiem, co pan ma na myśli, wolałabym się jednak upewnić. Pomoże mi pan?
- W dwa tysiące dziesiątym roku nie było mnie w Polsce, warsztat prowadził jeszcze mój ojciec.

Mieszka w domu na sąsiedniej działce, tam gdzie skup starych aut. Powinien być w domu, może on coś pani wyjaśni.

- Świetnie, dziękuję. – Aldona nie ruszyła się z miejsca. Uśmiechała się tylko.
- Coś jeszcze?
- Moja druga prośba to dla pana pikuś.
- Roman Balcerek westchnął, ale odwzajemnił uśmiech.
- Kłopot z samochodem?
- Aldona zmrużyła oko.
- Poniekąd.
- To słucham. – Rozłożył ręce.
- Czy mógłby pan coś dla mnie sprawdzić w komputerze?
- Co takiego?
- Chodzi o naprawę citroëna berlingo. – Aldona wpadła na nowy pomysł.
- Rocznie naprawiam ich kilkadziesiąt.
- Podam numer rejestracyjny.

Mężczyzna z niechęcią usiadł za biurkiem w przeszklonym pomieszczeniu. Była tam jeszcze skórzana, splekana na siedziskach, stara sofa. Aldona zerknęła na sterty papieru i leżący przed klawiaturą dzisiejszy numer „Echa Torunia” ze zdjęciem Alfreda Zdziarskiego. Przewidywała numer rejestracyjny samochodu Stemperskiego.

Balcerek mocno uderzał palcami wskazującymi w klawiaturę owiniętą folią. Kiedy skończył, wpatrywał się w monitor.

- Nic nie wyskakuje. Żadnych napraw.
- Zupełnie nic? Chodzi o dwa tysiące dziesiąty rok.
- Trzeba było tak od razu. Wtedy jeszcze mieliśmy wszystko w segregatorach. Jeśli nie spalił wszystkiego, powinna pani coś znaleźć.
- Nie spalił? Kto?
- Mój ojciec. Możliwe, że segregatory jeszcze u niego stoją.

Aldona pożegnała się i zawiedziona ruszyła w stronę domu rodziców właściciela warsztatu. Ślizgała się na twardej śnieżnej skorupie, gdy szła pod górę.

Nacisnęła dzwonek, po chwili w wiatrołapie rozbłyśło światło. Drzwi uchyliła niska, starsza kobieta z posępną miną.

Aldona przedstawiła się i powiedziała, że przysła ją syn. Podziałało jak czarodziejskie zaklęcie. Kobięcina się uśmiechnęła i otworzyła szeroko drzwi.

- Wejdz, moje dziecko, bo ziąb straszliwy.

Bener włączył się do ruchu. Szumiał i silnik, i nawiew. Przez długi czas były to jedyne dźwięki, które słyszano w samochodzie sunącym po rozmiękczonej solą brunatnej brei.

- Gdzie cię podrzucić? – spytał wreszcie Bener.
- Na Bydgoskie.

Bener skręcił w stronę Lubickiej, nie przekraczał dozwolonej prędkości.

- Co tu jest grane, co? – rzucił, gdy zmieniał pas.

Odwróciła twarz w stronę bocznej szyby.

- Rak mówił, że zabierze cię daleko na wycieczkę, że naprawiacie związek.
- Tego już się nie da naprawić.

Nie wiedział, co się stało, i nie potrafił wprost o to zapytać. To nie jego sprawa.

- Wyjechał bez ciebie?

Wzruszyła ramionami.

– Kilka dni temu pod redakcją. – Przypomniał sobie sytuację, w której Zuza naskoczyła na Raka, popchnęła go. Zastanawiał się jak to ubrać w słowa, by nie poczuła się zaatakowana i urażona. – Czy byłaś zła o to, co kupił mi Rak? O ten prezent?

– Co? – Odwróciła się do Benera.

– No ten... Gadżet z sex-shopu – powiedział oględnie.

– O czym ty mówisz?

– Dostałem dmuchaną lalę, Rak mówił, że to ci się nie spodobało, sądziłaś, że kupił ją dla siebie.

– Bener czuł się coraz bardziej zażenowany.

– Nic nie wiem o żadnej dmuchanej lali! – warknęła.

Dziennikarz pokiwał głową. Włączył wycieraczkę, bo sypnęło śniegiem z deszczem.

– Może chodziło o to, że zbyt mało czasu spędzała z tobą? Za dużo pracowała?

– Kryłeś go?

Bener z początku nie zrozumiał pytania.

– No powiedz, kryłeś go? Czy prosił cię, żebyś kłamał o tym, gdzie bywał?

– Nie.

– Bo wszystkich prosił. Okłamywał mnie, rozumiesz?

– Nigdy mnie o to nie poprosił – wyjaśnił spokojnie dziennikarz.

– A innych nie omieszkiał.

Stanęli na czerwonym świetle przy Galerii Copernicus. Kolorowe światła neonów zawieszonych przy wejściu rozpląwały się na mokrej bocznej szybie samochodu, tworząc obraz na miarę francuskich impresjonistów.

– No, w każdym razie Radek jest wolny – dopowiedziała.

Bener wrzucił jedynekę i ruszyli.

– Jaki on był ostatnio?

Prychnęła.

– To ty spędzałaś z nim więcej czasu. Sam mi powiedz!

– Kiedy zauważyłaś zmianę? – Bener nie zrażał się, a po chwili milczenia dodał łagodnie: –

Proszę, to ważne.

Sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos.

– Kilka miesięcy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jesie-nią wszystko się posypało.

– Co masz na myśli? Jakies konkretne zdarzenie?

– Nie wiem. Po prostu tak się stało. Zresztą może to była moja wina. W poprzedniej pracy mi się nie układało, musiałam szukać nowej. Radka nigdy nie było w domu, wszystko było na mojej głowie. A tak się nie da.

Bener musiał się pospieszyć, zanim dziewczyna utonie w żalu i goryczy.

– Czy ktoś się wtedy z Rakiem kontaktował, ktoś go nachodził?

– Nie przypominam sobie.

– Nie odbierał częściej telefonów? Nie chował się po domu?

Zuza chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Raczej nie – odezwała się, ale w jej głosie zabrakło pewności.

Jechali dalej w ciszy. Bener wpatrywał się w drogę przed sobą i w wirujący w świetle reflektorów śnieg, który następnie uderzał w przednią szybę.

– Kiedyś go ktoś odwiedził, rozmawiali dość długo na korytarzu.

– Widziałaś go?

– Nie. Radek od razu wyszedł na korytarz i zamknął drzwi.

– Spodziewał się gościa?

Zuza się zastanowiła.

– Chyba nie. Ale może to był tylko kurier z paczką? Sama już nie wiem...

– Długo tam stali?

– Nie wiem. Stali i gadali.

– To tu. – Zuza wskazała na blok przy Słowackiego.

Bener podziękował jej, ale dziewczyna nie wysiadła. Redaktor zgasił więc silnik. Samochód jadący z przeciwka oświetlił wnętrze starego garbusa. Bener spojrzał na dziewczynę, która sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej niewielką bąbelkową kopertę.

– Oddaj mu to, proszę.

– Co to jest? – spytał, gdy przejął zaklejony i opisany pakunek.

– Klucze do jego domu. Nie zdążyłam mu ich zwrócić. Chciałam wysłać pocztą, ale będzie bezpieczniej, jeśli ty mu je oddasz.

Bener położył kopertę w zagłębienie między fotelami, tuż przy dźwigni hamulca ręcznego.

– Kiedy wraca z tego Egiptu?

– Skąd? – zaśmiała się. – Rak w Egipcie? Sam ci tę bajkę wcisnął?

Bener odwrócił się do niej i poczuł, jak jego powieka wpada w mimowolne skurcze.

Kiedy Aldona stanęła pod domem właścicieli punktu skupu samochodów, teren wydał jej się ogromny. Miała wrażenie, że sterty przysypanych śniegiem wraków tworzą wielki, zimowy labirynt. Zgubiłaby się tu, była o tym przekonana.

– On tam zawsze tak długo przesiaduje. – Machnęła ręką Balcerkowa, kolejny raz puszczając mężowi „wędkę”. Odłożyła telefon na stół. – Ale w końcu przyjdzie.

– Może przejdę się do niego?

Kobieta pokręciła głową.

– Strasznie tego nie lubi. – Wpatrywała się w okno. – O! Już idzie.

Wstała i otworzyła mężowi drzwi. Zanim wszedł, otrzepał buty ze śniegu na wycieracze.

– Chodź, mamy gościa. Romuś podesłał – uprzedziła męża.

Mężczyzna wszedł, zacierając duże dłonie.

– Dobry wieczór – powiedział.

Aldona przedstawiła się i wyjawiała cel wizyty.

– Chodzi o berlingo i jakąś naprawę z dwa tysiące dziesiątego roku? Po co komu te dane? – spytał Szczepan Balcerek.

Odpowiedziała, kiedy mężczyzna rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– I mój syn wspomniał, że mogę mieć te dokumenty u siebie? – Zmrużył oczy. Miał pociągłą, poznaczoną zmarszczkami twarz z dużym orlim nosem.

Aldona skinęła głową.

Balcerkowa wniosła z kuchni parującą herbatę i usiadła na sofie. Miała gładko przylizane siwe włosy spięte w krótką kitkę. Delikatny uśmiech nie zniknął z jej ust.

– Tak. Mówił, że może pan przechowywać te papiery. Bo pan wtedy zarządzał serwisem, prawda? – uzupełniła Aldona.

Przytaknął.

– Ale nie mam już żadnej dokumentacji z tamtego okresu. Spaliłem wszystko.

– Zawsze pan tak robi?

– Kopie faktur trzymam przez pięć lat, a potem niszczyć. A wraz z nimi wszystkie dokumenty – rzekł. – Ale po co pani informacja o starej naprawie citroëna? Stało się coś? Był jakiś wypadek?

– Nie, nic takiego nie miało miejsca.

– To o co chodzi? – Balcerek rozłożył dłonie.

– Właściciel tego auta zaginął, a jego żona sprzedaje samochód. Kupujący chciał być pewien, że ta naprawa została wykonana.

– To ona nie ma tych dokumentów u siebie?

– Nie wie, gdzie trzymał je mąż.

– I ona powiedziała pani, że ta naprawa się odbyła tutaj?

– Tak. – Aldona poszła na całość.

Balcerkowa popatrzyła na męża.



– Może chodzi o tylną belkę. Robiliście wtedy te naprawy, Szczepciu, pamiętasz? Pół województwa się do nas zjeżdżało – przypomniała sobie. Mąż natychmiast zgasił jej entuzjazm twardym spojrzeniem.

– O właśnie! O belkę chodziło. – Aldona dalej brnęła w kłamstwo.

Balcerek odwrócił się do dziennikarki.

– Tak, robiliśmy takie naprawy, ale czas gwarancji na tę usługę obejmował pięćdziesiąt tysięcy kilometrów albo dwa lata. Dziś te papiery na pewno są już bezużyteczne. A poza tym zmieniliśmy profil działania. Belek już nie naprawiamy.

– Rozumiem.

– Czy to wszystko? – dopytał mężczyzna.

Aldona zawahała się. W końcu sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zdjęcie Agaty Bener. Podała je najpierw Balcerkowej. Ta przyjrzała się fotografii pocierając płatek ucha.

– To żona tego dziennikarza z Torunia, tak? Mój Boże, to już tyle lat... No, a ten nasz Michał Walter też zaginął, i proszę. Ale tu chociaż znaleźli zwłoki i jego biedna matka przynajmniej pochowała syna w spokoju – stwierdziła i oddała zdjęcie mężowi. – Te zaginięcia to coś potwornego, proszę pani. Aż mnie ciarki przechodzą, jak sobie pomyślę.

Mężczyzna sięgnął po rogowe okulary. Długo przyglądał się fotografii, która wielokrotnie zdobyła łamy gazet, a w pewnym okresie emitowana była również w licznych programach telewizyjnych.

– Dlaczego nam to pani pokazuje? – Balcerek oddał zdjęcie i spojrzał na Aldonę.

Dziennikarka nie odpowiedziała, wołała zadać nowe pytanie.

– Michał Walter, o którym pani wspomniała, pracował u państwa w warsztacie?

– Tak, zaczynał okazjonalnie, ale potem dostał etat – odpowiedział mężczyzna i ściągnął okulary.

– Dobrze go znaliście?

– No pewnie, zupełnie mu nawet przynosiłam, jadł, aż mu się uszy trzęsły – zaśmiała się kobieta, ale mąż uciszył ją gestem.

– Na tyle, na ile w tak krótkim czasie można poznać człowieka. – Balcerek wzruszył ramionami.

– Pracowity był, trzeba przyznać, roboty się nie bał i nie zerkał stale na zegarek, jak to robili inni. Zaangażowany, sumienny i punktualny. Dlatego kiedy syn przejął warsztat, dał mu stałe zatrudnienie.

– A czy w tamtym okresie zdarzyło się coś nietypowego?

– Nietypowego? – Balcerkowa ogrzewała dłonie kubkiem pełnym gorącej herbaty. Spojrzała na męża.

– Co chce pani powiedzieć?

Aldona zauważyła, że gospodarz często mruży oczy.

– Nic.

– No przecież widzę. Łączy pani sprawy i myśli, że trafiła na głupców? Pokazała nam pani te zdjęcia.

– Nie o to chodzi...

– A o co? Najpierw samochód, teraz Michał Walter i jeszcze ta Benerowa.

– Szczepciu, no dajesz spokój, pani tak tylko pyta, prawda? – ratowała sytuację Balcerkowa, lekko się uśmiechając.

– Szukam wszystkiego, co pomoże mi ustalić przyczynę śmierci Michała Waltera.

– Przecież to było samobójstwo – zdziwiła się gospodyni.

– Niech pani uszanuje śmierć tego chłopca i nie wnosi błota do jego życia. Jemu już pani nie zaszkodzi, ale jego biednej matce na pewno – stwierdził Balcerek.

Aldona podziękowała za gościnę i wyszła na zewnątrz.

Uruchomiła minimorrisa i przejechała za warsztat. Zga-siła silnik.

Wyciągnęła telefon i połączyła się ze Stemperską.

– W czym mogę pomóc? – spytał Stemperska, uprzedzona wcześniej przez Benera, że Aldona może się z nią kontaktować.

– Czy mąż miał teczkę, w której gromadził dokumenty związane z naprawami samochodu?

– Tak, był bardzo skrupulatny.

– Może pani do niej zajrzeć? – Dziennikarka spojrzała w lusterko wsteczne. Wydawało jej się, że zauważyła w nim jakiś ruch. Przywidzenie, zapewne ze zmęczenia.

– Gdy tylko wrócę z zakupów do domu. Oddzwonię.

– Będę wdzięczna. – Aldona się rozłączyła.

Coś tu nie grało, czuła to. Musiał istnieć jakiś związek przyczynowo-skutkowy między Walterem, Stemperskim i tym miejscem. Nie umiała połączyć wszystkich punktów zgrabną linią, ponieważ wciąż dysponowała nielicznymi danymi. Być może samochód był jakimś tropem.

Spojrzała w bok na barak, w którym pracował ojciec szefa serwisu. Zastanawiała się, czy Szczepan Balcerek kłamał. Może – wbrew temu, co twierdził – wcale nie spalił dokumentacji. Przyjrzała się drzwiom prowadzącym do wnętrza tej starej budy. Pod klamką dostrzegła kiwający się na wietrze brelok.

Mogłaby zakraść się tam na chwilę i przejrzeć papiery. Schowała telefon do kieszeni kurtki, przyda się jako latarka.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki.

Sekundę później podskoczyła na fotelu, gdy ktoś zapukał w boczną szybę. Omal nie krzyknęła. Z bliska twarz starszego mężczyzny wyglądała upiornie. Przyglądał się jej badawczo, a następnie pociągnął za klamkę. Aldona spanikowała, chociaż wóz był zamknięty od środka.

– O co chodzi? – spytała wystraszona.

– Czapka! – zawołał. Szyba natychmiast pokryła się parą. – Zostawiła pani u nas czapkę.

A potem pomyślał, że popełnił błąd. Rak, tak jak i on, był na celowniku policji. Jeśli obserwowali jego mieszkanie, Bener zwyczajnie wdepnął w gówno.

Jednak na takie rozważania było już za późno. Dzień-nikarz obszedł dwa pokoje i kuchnię. Czyste i suche naczynia stały na suszarce, komora zlewozmywaka była pusta. Woda z kranu kapiała miarowo. Zajrzał do pokoju, w którym Rak urządził sobie sypialnię. Sofa była złożona, po pościeli nie było śladu. W salonie zamknięty, odłączony od prądu laptop spoczywał na stoliku obok telewizora.

Bener pomagał sobie, oświetlając wnętrze światłem emitowanym z ekranu komórki. Celowo nie włączył trybu latarki, zresztą nie wiedział, jak to zrobić w telefonie otrzymanym od Straussa.

– No chodź już. Morfina, chodź! – Właściciel nie odwrócił się, tylko pociągnął za smycz.

Bener zamarł. Kiedy suka się wycofała, dziennikarz dopchnął nogą drzwi i wsłuchiwał się w dudnienie własnego serca.

Wyszedł z mieszkania Raka i czym prędzej zbiegł na parter. Wypadł na Mostową wprost na parę staruszków, których przeprosił.

Teraz, kiedy siedział w Pluskowęsach, żałował, że w ogóle szpiegował w mieszkaniu Raka. Przeczytał raz jeszcze wydruki. Szukał czegoś, co łączyłoby te teksty, poza oczywiście tematyką. Dopiero kiedy się skupił i wynotował sobie pewne informacje, zrozumiał, że wspólnym mianownikiem była firma remontowo-budowlana, E-BUD. Bener wpisał jej nazwę do wyszukiwarki, ale nie znalazł żadnych interesujących odnośników. Klikał na wybrane linki, trafił nawet na te same artykuły, które wcześniej wydrukował Rak. Niestety Benerowi ich treść nic nie mówiła.

Zostawił to i skupił się na przeglądaniu nagrania z Mi-cha-łem Walterem. Analizował je jeszcze raz, sekunda po sekundzie. Walter szedł od kościoła Świętego Ducha, minął pocztę i wyszedł przed witrynę Manekina. Część elewacji poczty zasłaniały drzewa, których korony dopiero zaczynały gubić liście. Bener liczył głośno kroki Waltera, weryfikował jego tempo od chwili, gdy mężczyzna pojawił się przy kościele. Gdyby szedł, nie zwalniając, to zza zasłony drzew wyszedłby jakieś dziesięć sekund szybciej. Ale zwolnił. Może kogoś spotkał, wymienił uścisk dłoni? Może się zawahał?

Bener związał włosy frotką i ponownie przewinął nagranie. Coś mu tu nie grało. Rzadko dawał się wodzić za nos swojej intuicji, częściej ufał faktom, tego nauczył go jego zawód. Ale tym razem się skusił.

Kliknął na start. Bruk rynku błyszczał jak tafla wody, Bener widział w nim odbicie światła lamp, które dzieliły się i uciekały wąskimi, długimi strużkami w różne strony. Kamera musiała być

zainstalowana w północno-zachodnim narożniku ratusza.

Bener cofnął film do chwili, w której chłopak wyłonił się zza drzew.

Walter poprawił szelki od plecaka. Jedyne gest, na który Bener zwrócił uwagę.

Co mężczyzna robił za drzewami? Bener stawiał na to, że mechanik musiał kogoś spotkać. Przelotne „cześć i czołem” albo przybita „piątka”. Sprawdził więc, czy inna osoba nie wyłoniła się zza drzew po przeciwnej stronie. Odczekał chwilę, ale nikogo nie zauważył.

Bener zatrzymał film i napił się piwa.

Wstał, rozprostował kości. Przeszedł się wokół wyspy kuchennej, na której stał jego laptop. Nastawił drugie piwo na gazie i czekał, aż trunek się zagrzeje. Wpatrywał się w złocisty płyn i wirujące w nim bąbelki powietrza.

Kiedy nad garnkiem zaczęła unosić się para wraz z aromatem alkoholu, wzrok Benera padł na parapet i płaskie naczynie, na którym Aldona położyła listy adresowane do jej rodziców. Mały stosik. Potem przypomniała mu się pełna skrzynka na listy w kamienicy Raka.

Przelał piwo do kufła i wrócił przed monitor.

Cofnął nagranie i obejrzał całe bez zatrzymywania.

Rozumiał już, dlaczego Walter poprawiał plecak i co robił, kiedy zasłaniały go drzewa. Żałował, że nie dostrzegł tego wcześniej, chociaż to było oczywiste. Walter wysłał list. Za drzewami, przy drugim wejściu na pocztę stała wysoka, czerwona skrzynia na listy. Mężczyzna musiał przystanąć przy niej i sięgnąć do plecaka po przesyłkę. Dlatego dopiero po chwili pojawił się ponownie w oku kamery.

Bener zastanawiał się jedynie, co i do kogo mógł wysłać Walter, ale przecież były to czełe rozważania.

Popijał piwo i przyglądał się przez jakiś czas zatrzymanemu w kadrze mężczyźnie. Zabrał kufel i ruszył w stronę salonu. Na szklanym stole leżały wszystkie materiały zgromadzone przez niego w trakcie śledztwa. Kolejny raz spojrzął na zdjęcie Waltera i Agaty. Potem jego wzrok zatrzymał się na kopercie, w której przyszło zdjęcie.

I nagle zrozumiał. Popatrzył na datę nagrania i uzmysłowił sobie, że to był piątek. A po tamtym weekendzie, w poniedziałek, wyjął ze swojej skrzynki właśnie tę szarą kopertę. Kiedy ją rozerwał, zobaczył zdjęcie Agaty i mężczyzny, którego twarz tonęła w cieniu.

Twarz Michała Waltera, nadawcy przesyłki.

W mieszkaniu Walterowej świeciło się światło. Aldona wyłączyła silnik.

Kiedy odebrała czapkę od właściciela zbiorowiska wraków, ten stał przy samochodzie i czekał, aż dziennikarka odjedzie. Aldona nie mogła się cofnąć i próbować wejść do baraku, bo w lusterku wstecznym widziała, jak przygarbiony mężczyzna szedł w stronę niewielkiego budynku. Straciła szansę na pogrzebanie w papierach i teraz liczyło się tylko to, co Stemperska znajdzie w dokumentach męża. Aldona mogła więc spokojnie wrócić do Pluskowęs przez Toruń, żeby zrobić jeszcze zakupy. Bener co prawda pisał, że czeka z pizzą, ale ona miała ochotę na lekką kolację.

Wysiadła z samochodu i przeszła do klatki. Wyjęła telefon i zadzwoniła do Walterowej. Ta odebrała, ale powiedziała, że ma gościa i nie chce już rozmawiać z Aldoną. Prosiła, żeby dziennikarka uszanowała sytuację matki, która musi pochować syna, i przestała ją nękać. Aldona nigdy jej nie nękała, ale rozumiała, co kobieta miała na myśli. Wbiła więc przypadkowy numer na domofonie, a kiedy po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę, przedstawiła się i powiedziała, co ją sprowadza.

– Chodzi o naszego sąsiada? – spytał mężczyzna bezbarwnym głosem. – Mieszkam tu tak jak oni, od dawna. Z przyjemnością coś opowiem. Bo to wywiad do gazety, tak?

Gdy tylko Aldona potwierdziła, rozległ się brzęk zwalnianej blokady zamka. Ostatnia deska ratunku. Chciała zdobyć jakikolwiek nowy trop, cokolwiek, co rzuci nowe światło na Michała Waltera.

Weszła na parter i zauważyła otwarte drzwi, w których czekał na nią około pięćdziesięcioletni mężczyzna z głębokimi zakolami. Ubrany był we flanelową koszulę i w szerokie sztruksowe spodnie. Zaprosił ją do środka. Wyglądało na to, że w kawalerce mieszkał sam. Wskazał fotel i przyciszył telewizor, w którym trwała retransmisja meczu piłki nożnej. Aldona nie rozpoznała drużyn.

– Nie przeszkadzam?

– Nie – powiedział, usadowiwszy się na pufie, po czym zaczął swoją opowieść.

Aldona podziękowała i wyszła na zewnątrz. Usiadła w minimorrisie i włożyła kluczyk do stacyjki. Nie przekręciła go. Oparła się wygodnie i patrzyła na szybę obsypaną śniegiem, na której lądowały kolejne grube płatki. Poczula się zupełnie bezsilna. Zdobywała nowe informacje, ale żadna z nich nie popychała sprawy nawet o krok. Może zbyt naiwnie podeszła do tego, że Agatę uda się odnaleźć. Chciała tego, a jednocześnie się bała. Nie chodziło o to, że straci wówczas najlepszego przyjaciela. Bała się, że jeśli wkrótce nie odnajdą Agaty, straci go jeszcze szybciej. Aldona rozumiała, że ból, który Bener nosi w sobie od wielu lat, jest autodestrukcyjny.

Nie wiedziała nawet, kiedy z jej oczu popłynęły łzy.

Z takim nastawieniem uruchomiła wóz. Zerknęła na blok, z którego niedawno wyszła, i w ciemnym, wąskim oknie kuchni zauważyła jego sylwetkę. Siedział nieruchomo. Aldona zastanawiała się, od jak dawna ją obserwował.

Włączyła jedynkę, ale wtedy z klatki wyszedł siwy mężczyzna w okularach. Poznała go natychmiast. Nie było mowy o pomyłce.

Alfred Zdziarski, z pochyloną głową i rozpiętą kurtką, przeszedł przed maską jej samochodu i usiadł w hondzie cr-v. Aldona odczekała chwilę, a gdy Zdziarski wyjechał z parkingu, sama też włączyła się do ruchu i pojechała jego śladem.

Postanowiła sprawdzić, dokąd Zdziarski zmierza, ale struchlała, gdy po zaledwie kilkuset metrach mężczyzna włączył lewy kierunkowskaz i zatrzymał się przed wejściem do serwisu, z którego Aldona niedawno wyjechała. Nie chciała rzucić się w oczy, więc zjechała na prawo, przed zamkniętą bramę firmy budowlanej. W tym czasie Zdziarski wyskoczył z wozu i wszedł do poczekalni serwisu. Z tej perspektywy Aldona nie widziała nic więcej. Zamknęła wóz i podbiegła w stronę bramy. Minęła ją i była już blisko miejsca, z którego przez przeszkloną witrynę zobaczyłaby Zdziarskiego.

– A tym razem co panią sprowadza? – usłyszała za plecami znajomy głos.

– Zgubiłam gdzieś czapkę.

– U nas? – niedowierzał i zrównał się z nią. – Nie widziałem żadnej.

Mężczyzna położył opony przed wejściem. Szarpnął klamkę i otworzył drzwi. Aldona zrobiła kilka kroków do przodu, ale gdy zobaczyła Zdziarskiego z drugim facetem, zatrzymała się i wyjęła czapkę z kieszeni.

– Boże, jaka gapa! Tu ją schowałam. – Uśmiechnęła się. – Przepraszam za kłopot.

Odeszła w stronę bramy. Czula, że mężczyzna odprowadza ją wzrokiem. Bluzka lepiła się jej do pleców. Nie chciała przeholować, ale przez własną nieostrożność właśnie to zrobiła. Była jednak bogatsza o jedną wiadomość.

Zdziarski znał się z ojcem właściciela serwisu. Bo to właśnie ci dwaj mężczyźni siedzieli sami w poczekalni.

Miała tylko nadzieję, że żaden z nich jej nie zauważył.

– Nic z tego nie rozumiem – jęknął Bener, kiedy kolejną godzinę siedzieli z Aldoną nad materiałami. Kreślili na dużych kartkach nazwiska i układali je na podłodze, bliżej lub dalej innych kart z różnymi nazwiskami. W ten sposób chcieli zobaczyć, kto z kim gra w jednym zespole. Kłopot polegał jednak na tym, że niewiele jeszcze wiedzieli. Albo że im więcej wiedzieli, tym więcej pojawiało się pytań.

– Zdziarski mieszka w Lubiczu – zakończyła swoją relację z wieczoru Aldona. – Po tym, jak wyszedł z serwisu, a siedział tam dobrą godzinę, odjechał w stronę Lubicza Górnego i skręcił w prawo. Przytulne osiedle domków. Tu mam adres. Chałupa oświetlona jak choinka.

Aldona sięgnęła do torebki i podała Benerowi kartkę z adresem. Zapamiętał.

– No i co z tego? Co nam to mówi, co? – zapytał.

– Walter spotkał się z Agatą w restauracji „Staropolskiej” w Lubiczu. Nie muszę ci chyba mówić, że w tym czasie pracował na czarno w warsztacie Romana Balcerka.

– Motyw. Daj mi jeden motyw.

Rozłożyła ręce i chciała już coś powiedzieć, ale ostatecznie zamarła z otwartymi ustami.

Zaskoczył ją. Powinna mieć motyw, ale liczyła na to, że wspólnie go poszukają. Że to będzie, jak zawsze, robota drużynowa.

– Walter nie żyje. Ty masz jego zdjęcie z Agatą. Motyw gdzieś jest, wystarczy, że sięgniemy głębiej, a na pewno odkryjemy coś więcej. Ale i tak poszlaki każą nam zastanowić się nad...

Bener nie słuchał jej. Nie zdążył jej jeszcze opowiedzieć o swoich rewelacjach. O autorze zdjęć. Złapał aparat i wyjął z niego kartę pamięci. Rzucił w jej stronę, a ona – mimo jednej ręki w gipsie – wykazała się refleksem.

– Obejrzyj ją – zachęcił. – Z drugiej strony.

Aldona przekręciła kartę i dostrzegła naklejkę z czerwonym rakiem.

– Chyba nie myślisz, że... – zaczęła.

– Daj spokój. Na klapce od akumulatora są inicjały RR. Na karcie jest jego znaczek, którego używał również w pracy. I ty, i ja wiemy, że to jego aparat.

Aldona spojrzała na Benera i pokręciła głową.

– Rak nie ma z tym nic wspólnego. Znasz go przecież.

– A wiesz, gdzie on jest?

– Mówił, że w Egipcie – stwierdziła.

– Ta, w Egipcie-Sripcie! Gównno, a nie w Egipcie!

Zrelacjonował jej rozmowę z Zużą.

– To niemożliwe!

– Rak może być wszędzie, ale na pewno nie ma go w Egipcie. Uciekł, rozumiesz? Taki mamy z niego pożytek. Odnoszę wrażenie, że stoimy w miejscu tylko dlatego, że stało się coś, czego Rak nie umie nam wytłumaczyć.

– Niby co?

– Pomyśl. To jego aparat.

– No nie, nie myślisz chyba, że to on robił te zdjęcia?

– Ostatnio tylko o tym myślę!

Aldona usiadła.

– A co powiesz o tym? – Podał jej wydruki, które znalazł w mieszkaniu fotoreportera.

Przeczytała je pobieżnie.

– Jaki to ma związek? – spytała.

– Też chciałbym to wiedzieć. Jedyne wspólne mianownik to E-BUD. – Bener podrapał się po głowie. – Szukałem w sieci, ale oprócz tych artykułów nie znalazłem niczego.

– Pewnie jakaś stara sprawa. Teksty są z dwa tysiące ósmego roku – zauważyła Aldona.

Ich dyskusję przerwał telefon. Dziennikarka podniosła rękę i przeszła do kuchni. Bener widział, jak nalewa sobie wody z kranu i pije.

– To Brodzki – powiedział.

Przyłożył słuchawkę do ucha.

Aldona odwróciła się do Benera i wpatrywała w niego. Nic nie mówił, tylko słuchał. Długo to trwało. W pewnej chwili zobaczyła, jak krew odpływa z jego twarzy, a oczy się powiększają.

Napotkała jego wzrok i było w nim coś, co sprawiło, że zamarła.

Szklanka wypadła z jej ręki.

Tego dnia Bener wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Zjedli obiad, obejrzelili wspólnie film, który Agata kupiła w hipermarkecie. Bener niespecjalnie przepadał za współczesnymi komediami, ale Agata miała taką potrzebę, więc nie wybrzydzał. Potem wziął prysznic. Gdy wrócił do sypialni, światło było zgaszone, a żona leżała odwrócona do niego plecami. Wtulił się w nią i pogłaskał ją po brzuchu, ale zatrzymała jego rękę.

– Nie dziś – poprosiła zmęczonym głosem.

– Coś ci jest? – spytał zatroskany, bo zrozumiał, że czuła się źle. Zresztą nie pierwszy raz w tym stanie.

– Śpij już, proszę.

Odgarnął jej blond włosy i pocałował ją w szyję. Położył się na plecach i próbował zasnąć. Zerknął na nocny stolik i zastanawiał się, czy włączyć lampkę i poczytać. Był w połowie powieści Dennisa Lehane'a *Gdzie jesteś, Amando?* i z przyjemnością by poczytał, ale nie chciał przeszkadzać Agacie. Wierciła się obok, tłumiąc jęk. Trwało to kwadrans, chociaż Benerowi wydawało się, że minęły godziny. Podparł się na łokciach i zerknął na nią.

– Może pojedziemy do szpitala?

Agata milczała. Nie wiedział już, czy snią jej się koszmary, czy walczy z bólem na granicy jawy i snu. W końcu potrząsnął delikatnie jej ramieniem.

– Daj mi tylko wody, proszę.

Odchylił kołdrę i zszedł bosy na parter. Nalał wody z czajnika do szklanki i zaniósł na górę. Wypiła łąpczywie.

– Kochanie? – zagaił zaniepokojony.

– Wszystko będzie dobrze. To pierwsze tygodnie. Śpij już.

Po chwili lało już jak z cebra, a Bener znowu nie mógł się ruszyć. Stał tak przemoczony do suchy nitki, smagany porywami wiatru, który targał jego włosami. Przez chwilę nic nie widział. W końcu wytarł twarz i dopiero wtedy się przeraził. Jego dłonie były całe we krwi.

Zerwał się z łóżka.

Był cały spocony.

Po ciemku ruszył na dół do łazienki. Na schodach poślizgnął się na czymś mokrym, ale nie upadł. Zdążył się chwycić poręczy. Potem zdał sobie sprawę, że była to woda, którą przypadkowo rozlał, kiedy niósł ją Agacie.

Na dole też było mokro i wtedy się uśmiechnął, bo nie wiedział, że jest mistrzem niezdarności. Widocznie niósł jej tę wodę w dziurawym wiadrze. Ale sekundę później zaskoczyło go zapalone w łazience światło. Nie pamiętał, czy wyłączał je wcześniej. Z pomieszczenia dochodziły niewyraźne odgłosy. Ruszył w stronę drzwi. Był już blisko, kiedy te otworzyły się na całą szerokość.

Światło oślepiło Benera.

Krew dostrzegł dopiero po chwili.

Wszędzie było jej pełno.

Agata osunęła się na podłogę.

Po kilku godzinach spędzonych na patologii ciąży na Bielanach do Benera wyszedł gruby lekarz w zielonym kitlu. Ten wstał i błagalnym wzrokiem patrzył na ginekologa.

– Operacja się udała, ale żona będzie przez jakiś czas osłabiona. – Lekarz oparł rękę na ramieniu Benera. – Musi odzyskać siły.

– A dziecko?

Lekarz spojrzał na dziennikarza.

– W takich chwilach nie ma już wyboru – powiedział.

Bener usiadł i schował twarz w dłoniach.

Bener analizował wszystko, co powiedział mu Brodzki. Komisarz zaczął od tego, że jego koledzy musieli wypuścić Stemperskiego, bo gwałt okazał się sfingowany, podobno jakaś dupa chciała się na nim zemścić, ale Bener już po głosie policjanta wiedział, że to tylko preludium do najgorszego. Brodzki znowu zakazał używania nazwisk.

– Jeśli chodzi o samochód zaginionego, to mamy kłopot. Pewne jest, że siedział w nim ten, którego odnalazłeś. No i pełno w nim innych śladów. Ktoś musiał go tu przywieźć. Zaparkował wóz i, jak się wydaje, potem nie mógł stamtąd wyjechać. Porzucenie samochodu nie było częścią planu, pod świeżym śniegiem widać wyraźne zlodowaciałe zagłębienia. Wóz utkwiał, a wewnątrz nie było niczego, co pomogłoby kierowcy odkopać auto. Podkładanie gałęzi nic nie dało.

– Inne ślady? Co masz na myśli? – przerwał mu Bener.

Brodzki chrząknął.

– Technika idzie do przodu, kryminalistyka się rozwija, w zasadzie co roku można coś nowego...

– Nie pierdol, Leon. Nie teraz.

Bener słyszał, jak komisarz bierze głęboki oddech.

– W bagażniku znaleziono wiele śladów krwi.

Dziennikarz patrzył bezwiednie na Aldonę, która oparłszy się o kuchenny blat, próbowała wyjąć drobinę szkła z krwawiącej podeszwy stopy i od czasu do czasu spoglądała na Benera.

– Waltera? Chcesz mi powiedzieć, że Walter, zanim go powieszono w forcie, był martwy? – Bener nie wytrzymał i zapomniał o ustaleniach w sprawie nazwisk.

– Niezupełnie...

– W takim razie... – Bener nie chciał w to uwierzyć. – Czy to krew Raka?

Dziennikarz czuł, jak rośnie mu ciśnienie krwi.

– Czy on żyje? – dopytywał.

– To są stare ślady. Wyszły dopiero w badaniach w laboratorium. Technicy przyłożyli się do tej roboty. Chodzi o blachy i plastikowe tworzywo, którym wyłożono bagażnik. Są też drobne kropki na podsufitce.

– Stare? Jak stare? – Bener nic nie rozumiał. – Czyli nie chodzi o Raka?

– Nie, to nie są ślady Raka.

Odetchnął.

– W takim razie w jakim kierunku prowadzicie śledztwo? – Dziennikarz spojrzał w sufit.

– Trudno powiedzieć, na razie zbieramy informacje i zagęszczamy ruchy, więc nie wychylaj się zanadto, bo DNA z rygowin dopasowaliśmy do ciebie w mig.

– Jasne, będę ostrożny. Dzięki!

– Poczekaj, to jeszcze nie koniec.

– Tak?

– Z tej starej krwi technikom udało się wyodrębnić DNA. – Brodzki mówił wolno, jakby przeprowadzał wykład dla przyszłych policjantów.

Aldona ponownie spojrzała na Benera. Nie ruszała się, tkwiła tak z lekko uniesioną, zranioną przez odłamek szkła nogą. Krew z podeszwy stopy kapłała na podłogę i tworzyła niewielką plamkę. Nie patrzył na krew, tylko w jej oczy.

– Wiesz, dlaczego stary kazał cię zakuć i przywieźć na komendę? – spytał Brodzki.

Bener milczał.

– Bo dodał dwa do dwóch. Twoje DNA i te stare ślady krwi.

– Co masz na myśli, Leon?

Brodzki westchnął.

– Jesteśmy pewni, że... No wiesz, że chodzi o Agatę.

– To nic nie znaczy – stwierdziła.

Bener uniósł tylko brwi. Był nieobecny, widziała to.

– Połóż się, jutro zajmiemy się tym na nowo – poprosiła. – Gdzieś jest jakiś błąd, coś, czego nie widzimy, a...

– Czekalem na to – przerwał jej.

Siedział ze zwieszoną głową, jego twarz przysłaniały długie włosy.

– Na co? – spytała i przykleiła plaster do stopy.

– Na taką informację.

– Marek... – Czuli, że za chwilę sama nie będzie zdolna wypowiedzieć żadnego słowa.

Chciała go pocieszyć, a jednocześnie rozumiała, w jakiej sytuacji się teraz znaleźli i jak wiele wyjaśnienia informacja od Brodzkiego. Stare ślady krwi, DNA Agaty. Brzmiało jak wyrok. Dobrze zdawała sobie z tego sprawę. – Posłuchaj, przecież to jeszcze nic pewnego...

Uspokoił ją gestem, a potem oparł się o sofę.

Siedzieli na podłodze, na materiałach, które przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Ona nigdy by nie odeszła. Nie odeszłyby tak po prostu – zaczął. – Przecież byliśmy szczęśliwi.

– Wiem – szepnęła Aldona, bardziej do siebie niż do niego.

– Pamiętam, jak kiedyś Agata wyszła na taras w zwiewnej sukience... – Bener podniósł głowę i

wbił wzrok w ścianę. Mówił długo, a po jego twarzy błąkał się nieśmiały uśmiech.

Aldona ucieszyła się, że uciekł w opowieść. Słuchała go i dziękowała Bogu, że nie musiała się odzywać. Odwróciła głowę, chciała się schować, najlepiej zapaść pod ziemię, żeby Bener nie widział jej bólu, niemego potwierdzenia tego, że Agaty nie ma już wśród żywych, chociaż jeszcze niedawno dziennikarka wierzyła w to, że żona Benera żyje. Teraz gotowa była dalej kłamać, żeby tylko chronić byłego szefa przed nim samym. Bała się tej chwili, kiedy prawda o śmierci Agaty wyjdzie na jaw. Na pewno oboje się tego bali. Ale Aldona wiedziała, że to dobije Benera, pociągnie go ostatecznie w mrok, w okowy depresji, z których już nigdy się nie wyzwoli, a wręcz będzie dawał się jej pochłonać, będzie znikał po kawałku, zapadał się jak w bagnie, bez jakiegokolwiek chęci ratunku. Podda się temu, bo nie znajdzie już w sobie żadnej motywacji. Życie bez Agaty było dla niego pasmem udręki. W codziennym trwaniu utrzymywała go wyłącznie tłąca się nadzieja, która raz przygasiała, a raz ogrzewała większym płomieniem. Teraz zgasła zupełnie.

Bener zakończył opowieść i odwrócił się w jej stronę. Nie umiała spojrzeć mu w oczy.

– Długo żyłem nadzieją. Ale teraz mogę być tylko silniejszy.

Pokiwała głową.

Zapadła cisza.

– Pomożesz mi? – spytał.

Znowu nie odpowiedziała. Modliła się, żeby na nią nie patrzył.

– Chciałbym odnaleźć jej zwłoki. – Powiedział to tak spokojnie i cicho, jakby duch Agaty siedział między nimi.

Wstała i odnalazła aparat wśród papierów rozłożonych na blacie kuchennej wyspy. Nie rozpoznała numeru.

– Przepraszam za porę – odezwała się kobieta. Aldona poznała ją po głosie. – Wioletta Stemperska z tej strony. Obudziłam?

– Nie, ale to nie jest dobry moment. – Dziennikarka przyłożyła dłoń do czoła. Ukradkiem spojrzała na Benera. Dalej tkwił nieruchomo na podłodze i wpatrywał się w ścianę, chociaż Aldona była pewna, że jego mózg wyświetla na niej wspomnienia.

– Chodzi o samochód... – kontynuowała Stemperska.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – Aldona ściszyła głos.

– Przecież prosiła pani o kontakt w każdej chwili. To może być ważne. Sama pani tak mówiła.

– Ma pani rację. – Aldona dała za wygraną i skupiła myśli. – Co się stało?

– Znalazłam teczkę.

– Jaką teczkę?

– Dokumenty samochodowe. Ile ja się jej naszukałam po całym domu...

– No i?

– Mam potwierdzenie!

Aldonie coś zaczęło świtać w głowie.

– Naprawa? – zapytała.

– Tak. Faktycznie wóz stał wtedy w Lubiczu. W tym zakładzie na Dworcowej.

– Kiedy?

– No tak jak pani przypuszczała, w dwa tysiące dziesiątym roku! Faktura jest z trzeciego listopada!

– Tylina belka? – Aldona spytała o rodzaj usługi.

– Tak, dokładnie. Naprawa belki skrętnej. Na fakturze jest pieczętka i podpis Szczepana Balcerka.

Aldona musiała się skupić. Cofnęła nagranie tak, by raz jeszcze obejrzeć przejazd seata i samochodów za nim. Było ich sporo. Obejrzała tak jeszcze dwa inne ujęcia, ale na nic nie trafiła. Kolejna kamera uchwyciła ibizę przy Legionów, w pobliżu supermarketu Piotr i Paweł. Wóz sunął z prawej strony ekranu na lewą. Na rondzie Agata pojechała w kierunku cmentarza komunalnego. Tym razem postać za kierownicą, chociaż znacznie mniejsza niż w pierwszym ujęciu, była lepiej widoczna. Aldona była przekonana, że Agata także i w tym momencie nie miała żadnego pasażera. Samochód zniknął z



ekranu, ale nagranie trwało nadal. Aldona wciąż obserwowała nadjeżdżające ulicą Legionów samochody.

W pewnej chwili zatrzymała film i cofnęła go o kilka sekund. Nie miała pewności, więc zrobiła jeszcze raz to samo. Odczekała chwilę. W kadrze znowu pojawił się ten wóz. Teraz już była tego pewna.

Wśród kilku samochodów dostrzegła białe berlingo.

Nie odezwała się, ale poczuła lekkie ukłucie w klatce piersiowej.

Obserwowała, co zrobi kierowca. Samochód, tak jak poprzedzający go nowy volkswagen, dojechał do ronda i skręcił w prawo. Jechał śladem Agaty. Niestety Aldona nie była pewna, kto siedział w samochodzie. Widziała dwie osoby, ale z tej odległości nie mogła rozpoznać twarzy.

Dziennikarka obejrzała nagranie do końca.

Białe berlingo, wśród wielu innych samochodów, pojawiło się jeszcze dwukrotnie i za każdym razem jechało tą samą trasą co ibiza.

Było jednak coś jeszcze. Na ostatnim ujęciu Aldona dostrzegła tablicę rejestracyjną.

– Marek.

Bener nie zareagował,

– Marek, zerknij na to.

– Co jest?

– Zobacz – poprosiła.

Bener się podniósł.

Dopiero teraz Aldona dojrzała w jego oczach ból, jakiego nigdy wcześniej w nich nie widziała.

Obojgu im przyda się działanie. Muszą coś zrobić, żeby nie zwariować.

Bener stanął za nią. Aldona odtworzyła film, a długopisem pokazała miejsce na ekranie, w którym po chwili miał się pojawić biały samochód.

– Teraz – powiedziała i samochód pojawił się w kadrze.

Aldona najechała kursorem na pauzę i kliknęła w nią wtedy, gdy tylna tablica rejestracyjna berlingo była dobrze widoczna.

– To samochód Stemperskiego – dodała.

Bener założył włosy za uszy.

– Widziałaś, kto w nim jechał?

– Nie. Nie da się rozpoznać. Na pewno są tam dwie osoby.

– Walter?

– Nie wiem, ale skoro pojawił się z Agatą w Lubiczu, to pewnie on.

– A ten drugi to Jan Stemperski?

– Wątpliwe.

– Dlaczego?

– Przed chwilą rozmawiałam z jego żoną. W tamtych dniach jego berlingo stało w warsztacie.

– Tym w Lubiczu?

– Tak. Zepsuła mu się tylna belka. Sprawdziłam wcześniej w Internecie, co to za usterka. Nie wiem, na czym dokładnie polega, ale jest związana z zawieszeniem. Tył samochodu niemal kładzie się na opony, wygląda wtedy tak, jakby auto przewoziło znaczny ładunek. Tymczasem na filmie widać, że berlingo jest już po naprawie.

– Więc skorzystali z tego i zabrali wóz Stemperskiego.

Aldona skinęła głową.

– Ale jest coś jeszcze. Stemperskiemu nie oddano samochodu drugiego listopada, tylko dwa dni później. – Podniosła wzrok.

Bener spojrział na nią.

– Krew – powiedział.

Aldona zamknęła oczy.

– Musieli go wyszorować – dodał.

## Poniedziałek

20 lutego 2017 roku

Naczelnny wzdrygnął się, a następnie popatrzył na różę.

Aldona podchwyciła jego spojrzenie. Rozłożyła kolejne wydruki przedstawiające inne ujęcia tej samej sceny.

– Zobacz, ta róża jest tylko na trzech zdjęciach – powiedziała spokojnie. – Do tego nie stoi w wazonie, a gdyby Agata otrzymała ją od Waltera, obsługa pewnie by go przyniosła.

– Przypuszczam – ciągnęła wątek Aldona, przypomniawszy sobie niedawną sytuację w restauracji „Polskiej” w Lubiczu – że ktoś, może jakiś dzieciak, po prostu rozkładał róże na stole i liczył, że któryś mężczyzna kupi jedną. A kiedy kwiat nie spotkał się z zainteresowaniem, po prostu znikał ze stołu.

Bener nie zareagował.

– Oni nie byli razem. Przecież nigdy by ciebie nie zdradziła. – dodała dziennikarka.

Siedzieli tak dłuższą chwilę.

W końcu Bener odłożył wydruki.

– To on ją zdradził – stwierdził.

Aldona początkowo nie zrozumiała. Poruszyła się i spojrzała raz jeszcze na wszystkie rozłożone zdjęcia.

– Myślisz, że... – zaczęła.

– On ją oszukał. Agata wsiadła do berlingo z własnej woli. Znała Michała Waltera. Musiał jej coś obiecać.

– Co?

– Coś, co wiązało się z ojcem Agaty i jego hazardowymi długami. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi, ale wiem, że to on ją zdradził. – Uciął dyskusję. – Tak samo, jak jestem przekonany, że to Rak siedział z nim w samochodzie, a potem robił zdjęcia.

Wcześniej zjedli gotowe spaghetti, które Aldona kupiła w sobotę w markecie. Przywiozła też nową paczkę kawy i napoje.

– W tym wszystkim, o czym wczoraj mówiłeś – odezwała się dziennikarka. – Zapomnieliśmy o jednym.

– O czym?

– O kim. O Zdziarskim.

Bener dopił kawę i wstał od stołu.

– On musi być w to umoczony – uznała Aldona. Przez pół nocy myślała nad rolą, jaką odgrywał w tej sprawie stary mobber, i doszła do wniosków, z którymi chciała się wreszcie podzielić z Benerem.

– Chodzi o to spotkanie ze starym Balcerkiem? – zapytał.

– A czy to nie dziwne, że po mojej wizycie, w trakcie której wypytywałam o Waltera i samochód Stemperskiego, Balcerk i Zdziarski się spotykają?

– Kiedy zaginęła Agata, Alfred Zdziarski był już właściwie wyłączony z życia publicznego.

– A dlaczego? Bo pisałeś teksty o mobbingu, którego dopuszczał się wobec swoich podwładnych.

Bener zdobył się na cień uśmiechu.

– Zemsta po latach?

– Zaledwie po roku. Mówiłeś, że sprawę Stemperskiego opisywałeś w dwa tysiące dziewiętnym – odpowiedziała Aldona.

Bener zastanowił się nad tym.

– No i? – zapytał.

– Zdziarski ci wtedy groził?  
– Co to znaczy? – spytał.  
– A co ma znaczyć? Groźby to groźby.  
– Nie wiem, nie pamiętam. W takich sytuacjach na pewno puszczają nerwy. Nikt na takie teksty i oskarżenia nie pozostaje obojętny. Pamiętam, że jego prawnicy zwarli się z prawnikami redakcji, aż w końcu Majka-Dymajka i prezes wydawnictwa kazali mi odpuścić.

– Ale nie odpuściłeś. A oni nie mieli już na ciebie żadnego wpływu.  
– Nie mieli. Teksty ukazały się w ogólnopolskim tygodniku, przedrukowały je później inne gazety, była też jakaś ekipa telewizyjna z programu interwencyjnego, z TVN-u czy Polsatu.

– Sporo smrodu.  
– No sporo.  
– Dla Zdziarskiego był to koniec kariery.  
– Jaki tam koniec! Ukryli gnoja w ciepłej pościeli na posadce u zaprzyjaźnionego biznesmena, a teraz wraca w glorii i chwale!

– Ale wtedy myślał inaczej. Miał motyw, by się odegrać.  
– Jeśli nawet, to pewnie skończyłoby się na tym, że nieznani sprawcy obiliby mi mordę w ciemnej bramie.

Aldona przeszła do przedpokoju i włożyła kozaki.

– Przecież to byłoby zbyt oczywiste – powiedziała, stanąwszy z powrotem na miękkim dywanie w salonie.

Bener schował ręce w kieszenie.

– Tymczasem tajemnicze zaginięcie żony dziennikarza nie rzuca na Zdziarskiego żadnych podejrzeń. Odwraca też twoją uwagę. – Aldona zabrała z blatu kluczyki do samochodu.

– Przecież w listopadzie dwa tysiące dziesiątego roku już od dawna nie zajmowałem się Zdziarskim. Agata zginęła niemal rok po tych tekstach.

– Może to strasznie pamiętliwa bestia.

– Dokąd jedziesz? – spytał.

– Złożę mu wizytę. Pogadam z panem Zdziarskim, zobaczę, jak zareaguje na kilka pytań. A ty co zamierzasz?

Bener opowiedział jej o tym, że kiedy ostatnio był w redakcji, Zdziarski zadzwonił na numer Hermiona. Bener odebrał telefon. Zdziarski pytał o coś, co wydawało się Benerowi dziwne, ale teraz już tego nie pamiętał.

– Lepiej sobie przypomnij.

– Przypominam sobie natomiast, co mówiła wczoraj Dorota Borowiak.

– Ta rzecznika z Bramy Inicjatyw Kulturalnych?

– Ta sama, którą Zdziarski odstawił na boczny tor. Wcześniej zaproponowałem jej robotę w „Echu”. Dorota powiedziała mi, że Hermion szykuje się na jej miejsce.

Bener nie podzielił się z Aldoną tym, co jeszcze mówiła Borowiak: że Leszek Hermion rozpowiadał o tym, jak źle się dzieje w „Echu Torunia”, że Bener gnoi ludzi. Nie miał odwagi przyznać, że takie plotki krążą po Toruniu. A raczej, że to niestety wcale nie są plotki.

– Zostanie rzecznikiem u Zdziarskiego?

– Podobno.

– Wpadnie w łajno.

Bener nie skomentował. Aldona przeszła w stronę kuchni i drzwi prowadzących do garażu.

– Zadzwonię do ciebie, gdy tylko dowiem się czegoś o Zdziarskim.

– Okej, a ja pojedę do redakcji. Muszę spotkać się z Hermionem.

– A co jeśli złapie cię policja?

– Spokojnie. Brodzki nad tym czuwa.

Bener ubrał się i wyjechał kilka minut po Aldonie.

Przeszedł pod ciemnymi oknami redakcji. Zmartwił się, że Hermiona już nie zastanie, ale nie

zamierzał tak tej sprawy zostawiać. Wszedł na górę, i rozkodował alarm. Potem wpadł na pewien pomysł. Zamknął drzwi na klucz, aktywował alarm i po ciemku wbiegł do swojego gabinetu, w którym nie zainstalowano żadnej czujki ruchu, chociaż monter namawiał go na takie idiotyczne rozwiązanie. Facet chciał mu po prostu wcisnąć dodatkowe urządzenie i skasować więcej za usługę.

Bener w swoim gabinecie czuł się bezpiecznie.

Usiadł w fotelu i zadzwonił do Hermiona. Kazał mu stawić się natychmiast w redakcji, a sam skłamał, że już jedzie w stronę Rubinkowa. Dzięki temu Hermion, kiedy tu przyjdzie, będzie myślał, że jest w redakcji sam. Bener chciał go poobserwować.

Kulturysta mieszkał blisko, więc po kilkunastu minutach drzwi do redakcji się otworzyły. Młody mężczyzna rozbroił alarm i wszedł do środka. Zapalił światło i rozejrzał się niespokojnie po wnętrzu. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła, potem usiadł zrezygnowany. Nie włączył komputera, tylko wyjął telefon z kieszeni.

– No dzwoń, kurwa – jęknął niespokojnie.

Bener chciał dać mu czas.

Przez uchylone drzwi naczelny słyszał każdy szmer.

Hermion zaczął coś pisać na telefonie, przynajmniej tak się Benerowi wydawało. Po chwili jednak telefon kulturyisty ożył hardrockowym riffem.

– No, już myślałem, że nie zadzwonisz. Rozumiem, że jesteś zajęty... Ale wiesz... – odezwał się

– No dobra, rozumiem. Co mam mu powiedzieć... No dobra, ale jeśli on będzie mnie chciał wyjechać z roboty, bo tak to zabrzmiało, to co? Mówić mu o tobie...? Ale jesteśmy ugadani, tak?

Bener podsłuchiwał i wysłał SMS do Hermiona.

– Poczekaj, bo chyba coś napisał. – Hermion odsunął telefon od ucha i sprawdził wiadomość. – Mówi, że stoi w korku, bo był wypadek. Jak będę miał z nim kłopoty to zadzwonię, dobra? A kiedy podpiszemy umowę?... Dobra, przepraszam, zadzwonię jutro...

Po chwili Hermion pożegnał się zrezygnowany, porwał kurtkę i wyszedł z redakcji. Zamknąwszy drzwi na klucz, zniknął.

Redaktor wyszedł ze swojego gabinetu i spojrzał w stronę przeszklonych drzwi wejściowych. Miał przewagę nad Hermionem, bo z zewnątrz szyby zostały oklejone specjalną folią reklamową z logo gazety. Łatwiej było dostrzec to, kto przed nimi stoi, niż to, kto jest wewnątrz.

Naczelny sięgnął po aparat. Spróbował odblokować go, ale na ekranie dostrzegł tylko dziewięć kropek, po trzy w każdej linii. Najgłupszy z możliwych kodów, bo najłatwiejszy do „złamania”. Skierował aparat pod światło. Na lśniącej powierzchni pozostała wyraźna łamana linia, tłusty ślad po przeciągnięciu palcem. Ponownie uruchomił ekran i połączył kropki tak jak wcześniej zrobił to Hermion. Potem zerknął w ostatnie połączenia.

Alfred Zdziarski.

Zdążył odłożyć komórkę, gdy usłyszał zgrzyt zamka.

Nieco wcześniej wstąpiła do restauracji „Polskiej” i zapytała wysokiego kelnera o Arasa. Mężczyzna wskazał na zaplecze, więc weszła do wyłożonego białymi płytkami korytarza. Jedne drzwi prowadziły do kuchni, kolejne dwie pary znajdowały się na końcu, po lewej i prawej stronie korytarza. Aldona słyszała głośno nastawioną muzykę. Zapukała w te po lewej, ale nie usłyszała żadnego zaproszenia. Mimo to nacisnęła klamkę. Były zamknięte. Szarpnęła drugie drzwi i wtedy zobaczyła to, czego zobaczyć raczej nie chciała. Gołą, owłosioną dupę Arasa, która rytmicznie pracowała między rozwiedzionymi udami i uniesionymi wysoko czarnymi balerinami.

Aldona po cichu zamknęła drzwi. Odczekała chwilę i zastukała głośniejszym od wydobywającej się zza drzwi muzyki.

– Zaraz! – usłyszała głos Arasa.

Po chwili muzyka ucichła, a drzwi się uchyliły. Kelnerka, którą ostatnio Aldona tu poznała, wyszła z opuszczoną głową. Nie przywitała się, tylko szybkim krokiem oddaliła się w stronę wejścia na salę.

Dziennikarka weszła do pomieszczenia, w którym stały sofa, regał i biurko z komputerem. Aras

stał przy nim.

– No cześć, moja piękna Blondi! – Uśmiechnął się, ale wciąż był jeszcze czerwony na twarzy.

Aldona nie wiedziała, czy z wysiłku, czy zażenowania. – Wpadłaś z zaliczką?

– Wpadnę w przyszłym tygodniu.

– Okej. To co cię tu sprowadza? – Poprawił papiery leżące obok klawiatury.

– Przejeżdżałam obok i pomyślałam, że cię o coś spytam – Aldona uśmiechnęła się tak, by zrobić na nim wrażenie. Ale on wciąż wstydził się na nią spojrzeć.

– Fajnie, ekstra, tylko wiesz, bo ja tu robotę mam, co nie? – Wskazał na faktury.

– Ja tylko na chwilkę.

Aras wstał.

– To siadaj, proszę.

Aldona wolała postać.

– Gdzieś tu mieszka Alfred Zdziarski. A ja mam do niego sprawę.

– Do Alfreda? – Aras spojrział na portret Piłsudskiego, który wisiał przekrzywiony za biurkiem.

Podszedł i wyprostował obraz.

– Tak.

– Do wuja Alfreda?

– To twój wujek? – Aras ją zaskoczył. – Chciałam mu dać CV mojej kuzynki. Szuka roboty.

– Jaki tam wujek. Ludzie tak na niego mówią – odrzekł. – A nie łatwiej byłoby pojechać do urzędu?

– Próbowałam, ale jego sekretarka mnie zbywa.

– A masz?

– Co?

– No to CV.

– Mam – skłamała i położyła dłoń na torebce.

– No to pokaż, jak ładna jest, to może ja bym ją tu przygarnął, co? – Uśmiechnął się obleśnie.

– Nie sądzę, żeby była ci potrzebna dziewczyna z doktoratem. Poza tym masz już tu ładną i młodą

kadre.

– No nie narzekam, nie? Tylko tak mówię, bo te młode to wiesz, popierdolone jak stado gołębi.

– To gdzie znajdę Zdziarskiego, co? – Aldona dostrzegła na jednej ze ścian kalendarz z mapą

Lubicza. Zrobiła krok w jego stronę.

Aras też ruszył się z miejsca. A o to jej chodziło, chciała mu coś sprezentować na odchodne.

– Patrz. – Wskazał grubym paluchem na zaznaczony iksem punkt na mapie. – Tu jest „Polska”,

nie?

Zarechotał.

– Fajnie mi to wyszło, co nie? Tu jest Polska, kurwa, ale jaja! – rżał dalej.

Fakt, w tym miejscu znajdowała się jego restauracja. Ze „Staropolskiej” przerobiona na „Polską”.

Jeśli jednak tak miała wyglądać nowoczesna Polska tylko dla Polaków, to Aldona wolała starą Polskę.

– A gdzie mieszka Zdziarski? – Aldona już to wiedziała, była wcześniej pod domem urzędnika.

Chciała jednak wziąć Arasa na spytki.

Palec znowu powędrował na mapę.

– Tu. Musisz przejechać główną drogę i dalej prosto, a potem w lewo.

– Czy Zdziarski pracował wcześniej w Lubiczu?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– A kilka lat temu, na przykład w dwa tysiące dziesiątym roku? Kiedy zniknął z Torunia.

– A to miał wtedy ten szrot cały.

– Jaki szrot? – spytała zainteresowana.

– No ten, co teraz jest za serwisem Romka Balcerka. Teraz prowadzi to jego ojciec.

– To było Zdziarskiego?

– Chyba mieli spółkę, ale potem się rozstali.

I to chyba w miłej komitywie. Aldona przypomniała sobie spotkanie mężczyzn w warsztacie.

– Jesteś pewien?

– Tak, tylko Zdziarski wtedy tu nie pracował. Dał kasę i ten stary Szczepan się w tym gównie babrał.

– Skąd wiesz?

– Ja tu, kurwa, wszystko wiem. Wiem, komu nie staje, a która lubi z połykiem, które pary bzykają się grupowo, a kto woli stać za kamerką, czaisz? Ja tu, kurwa, jestem królem, dziewczyno.

Aldona rozumiała. Był królem i rządził, a poddani robili, co chciał. Zdobyła wystarczająco dużo informacji i nie zamierzała już więcej patrzeć na władcę Lubicza, który stał przed nią i niemal ślinił się na jej widok.

– A czy mąż tej kelnerki – wskazała palcem na drzwi – wie, że posuwasz mu żonę w robocie?

Aras nie zdążył zebrać myśli, bo Aldona z całej siły kopnęła go w krocze. Zawył i padł na kolana.

– Tknij ją jeszcze raz, a uwierz mi, rozwalę tę twoją Polskę – rzuciła, po czym złapała za klamkę.

– Uważaj, kurwo! – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Dorwę cię... i zerżnę! Jak burą sukę!

Pluł śliną, wciąż trzymając się za jaja.

– Najpierw sprawdź, czy nie przetrąciłam ci małego, a potem się zobaczy.

Wiedziała, że Zdziarski był w Toruniu, uzyskała tę informację od jego sekretarki. Od tego czasu upłynęły już dwie godziny i Aldona liczyła, że szef BIK-u wkrótce przyjedzie do domu. Wysłała Benerowi adres Zdziarskiego, ale potem pomyślała, że źle zrobiła. Przecież Zdziarski nie będzie chciał z nim rozmawiać. Sama załatwi to lepiej, a potem spotka się z Benerem i zrelacjonuje rozmowę ze Zdziarskim.

Wpatrywała się w widoczny fragment prostopadłej ulicy. Niecierpliwiła się już, gdy wreszcie czarna honda przejechała wolno po ośnieżonej drodze. Aldona wyszła z samochodu i powoli dotarła do narożnika działki. Dostrzegła, jak Zdziarski wjeżdża do garażu. Reflektory zgasły, a brama zaczęła się zasuwac. Aldona postanowiła odczekać jeszcze chwilę, dać Zdziarskiemu czas, by odpoczął i coś zjadł. Wróciła więc do samochodu. Spoglądała niecierpliwie na zegarek. Przednia szyba z wolna pokrywa się warstwą świeżego śniegu, a od wewnątrz parą. Mróz sprawił, że dziennikarka przestała czuć palce stóp. Po kwadransie zdecydowała, że już czas. Poszła do domu Zdziarskiego i nacisnęła przycisk domofonu. Furtka była zamknięta.

– Słucham – odezwał się spokojny kobiecy głos.

– Dzień dobry. Aldona Terlecka, chciałam porozmawiać z panem Alfredem Zdziarskim.

– Męża nie ma.

Aldona nie odezwała się.

– Halo? Słyszysz pani? Męża nie ma – powtórzyła kobieta.

– Widziałam, jak wjeżdżał do garażu.

Domofon został wyłączony.

Kobieta nie ruszyła się. Aldona usłyszała tylko mechaniczny zgrzyt, a chwilę później zobaczyła, jak zewnętrzne rolety zsuwają się po szynach. Gdy zasłoniły okna, nastąpiła cisza.

Chciała już odejść, ale oślepiły ją światła samochodu, który nadjeżdżał od strony głównej drogi. Nie rozpoznała marki, ale była przekonana, że to Bener. Dała mu znak, by skręcił w boczną drogę.

Nie posłuchał jej.

Zrozumiała, że zaraz wywiąże się awantura, że naczelny będzie za wszelką cenę chciał wywlec Zdziarskiego z domu i zmusić go do mówienia. Ale to w niczym nie pomoże.

Tymczasem wóz zatrzymał się przy niej.

Aldona osłoniła oczy przed rażącym światłem reflektorów.

Tyle że to nie był samochód Benera. Dopiero teraz się zorientowała. Trzasnęły drzwiczki po obu stronach.

– A więc tu jesteś, kurwiszynie jeden!

– No nareszcie – powiedział Bener ze swojego gabinetu.

Widział, jak młody kulturysta się rozgląda, jakby nie mógł uwierzyć, że szef znalazł się tu przed

nim.

– Chodź, chodź! – krzyknął naczelny.

Hermion minął swoje biurko i zerknął na leżącą tam komórkę. Nie zabrał jej.

– Siadaj – rzekł Bener. Nie wstał, nie przywitał się z nim. Udawał, że jest skupiony na tekście, i zawzięcie klepał w klawiaturę. W końcu przerwał i odwrócił się do dziennikarza.

– Jak tu wszedłeś? – zapytał Hermion. – Stałem na dole i nie widziałem cię.

Bener mógł go wysłać z tym pytaniem na drzewo, ale postanowił rozegrać to inaczej.

– Wpadłem obok do serwisu RTV, bo mój odtwarzacz DVD nie oddaje płyty. Musieliśmy się minąć. A co?

– Nie, w sumie to nic. Dlaczego chciałeś się spotkać? – Hermion wyglądał na przestraszonego.

Punkt dla Benera, może będzie mu łatwiej.

Redaktor oparł się wygodnie.

– Leszek, powiedz, co ty kombinujesz?

– Ale o co chodzi?

Bener wyczuł w głosie dziennikarza agresję. „Boi się, wybrał obronę przez atak”, pomyślał naczelny i uznał, że musi być ostrożny.

– Doszły mnie dziwne słuchy.

– Słuchy?

– Tak, słuchy.

– Jakie?

– Podobno brzydko mówisz o mnie na mieście – odparł naczelny.

– Brzydko?

– Że nie szanuję ludzi, że gnębię młodzież, że mi odpiędała. Kontynuować?

– Nic takiego nie mówiłem. – Hermion skrzyżował ramiona, tak by napiąć biceps.

Gdyby Bener był psem, po takiej prezentacji podkuliłby ogon. Ale psy nie wiedzą, że to nie siła mięśni gra główną rolę. Bener zbyt często kładł na deski napakowanych chłopców, by się tym przejąć. Chciał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, żeby Hermion tak się nie napinał, bo mu zwieracze puszcza, ale zrezygnował. Nie na długo.

– Mówiłeś. I teraz jeszcze nie masz odwagi się przyznać. Wstyd. – Pogroził mu palcem, jakby karciał dzieciaka. – Przynajmniej nie bądź tchórzem. Nie licuje to z twardymi mięśniami.

Hermion zerwał się z krzesła i ruszył do wyjścia.

– Siadaj, kurwa, jeszcze z tobą nie skończyłem! – krzyknął Bener. – Co kombinujesz ze Zdziarskim?

Hermion zatrzymał się w progu.

– Skąd o nim wiesz? – odwrócił się do redaktora. – Podsluchujesz mnie?

– Wiem, że przechodzisz do Bramy Inicjatyw Kul-tu-ral-nych. Ale może jest coś jeszcze?

– Niby co?

– Znasz Jana Stemperskiego albo jego brata? – Bener przypomniał sobie nagranie monitoringu pod redakcją. Chodziło o ten moment, w którym Stemperski podjechał we wtorek do redakcji i chciał się z kimś tu spotkać. Z Rakiem albo z Hermionem. Albo z obydwoma. Dopiero teraz to do niego dotarło.

Hermion wyszedł z gabinetu i podszedł do swojego biurka. Sięgnął do szuflady po papiery i wrócił z nimi.

– Podpisane – powiedział, po czym rzucił je na biurko naczelnego.

Bener zignorował to i wstał.

– Pytałem o coś.

– Tak, znam.

Bener poczuł, że zaczyna mu drgać powieka.

– To ten zaginiony, tak? – spytał Hermion.

– Widziałeś się z nim we wtorek dwa tygodnie temu?

– Nie.

– Jeśli kłamiesz, dowiem się o tym.

– I co mi zrobisz? Kto będzie słuchał mobbera? Kto będzie słuchał takiego chuja jak ty, co? Bolało mocniej niż lewy prosty wbity między źle uniesioną gardę.

– Czy kiedykolwiek źle cię potraktowałem? – spytał Bener, ale wiedział, że to pytanie było tak naprawdę żalosaną obroną.

Hermion popatrzył na Benera. Obaj znali odpowiedź, ale nie było sensu jej wypowiadać.

– Nie widziałem się ze Stemperskim. Nie było go tu.

– Skąd wiesz?

– Cały wtorek spędziłem w redakcji. Bo o ile pamiętasz, we wtorki nie mam treningów, więc nadrabiam zaległości. Tak się przecież umawialiśmy, prawda?

Bener uśmiechnął się, chociaż nie pamiętał.

– Uważaj na Zdziarskiego.

– Bo co?

– Teraz udaje przyjaciela, ale za chwilę będzie twoim wrogiem.

– Pieprzysz. Dobrze się znamy.

– Tylko podpiszesz z nim umowę i będzie ci kręcił wrota jak innym. Wielu się o tym przekonało.

Wystarczy, że z nimi pogadasz. Będzie cię jebał, jak dziś jebie innych.

– Bzdury!

Bener dostrzegł w oczach Hermiona cień strachu.

– Jeśli myślisz, że w twoim przypadku będzie inaczej, to po prostu jesteś głupi. I jeszcze jedno.

Co zrobiłeś dla Zdziarskiego?

– Nie rozumiem.

– Zadzwoił do redakcji, ale zanim się zorientował, że nie gada z tobą, powiedział, że się nie spisałeś. Co miał na myśli?

– Odpierdol się.

Benerowi coś zaświtało w głowie. Przypomniał sobie, że Zdziarski dzwonił w piątek, w dzień ukazania się „Echa Torunia”.

– Miałeś wstrzymać tekst o nim? Chciałeś wypuścić w to miejsce coś innego, tak?

Hermion nawet nie musiał odpowiadać.

– Zejdź mi z oczu, gnoju – odezwał się naczelny.

Dziennikarz zgarnął kurtkę z fotela i zmierzał do wyjścia.

– Klucze! – ryknął Bener.

Kulturysta wyjął z kieszeni brelok i odrzucił na biurko. Pęk przejechał po blacie i spadł głucho na wykładzinę.

Hermion wyszedł z redakcji.

Naczelny zastanawiał się, czy to czasem nie jest koniec jego biznesowo-dziennikarskiej przygody. Kochał tę robotę, ale zajmowanie się wszystkim i organizowanie pracy innym nie było jego powołaniem. Wypalał się.

Wyłączył komputer i zamknął redakcję.

Wsiadł do samochodu, zapiał pas i przeczytał SMS od Aldony. Musieli docisnąć Zdziarskiego.

Zadzwoił do niej.

– Do bagażnika! – rozkazał właściciel restauracji i przeszedł na tył leciwej terenówki.

– Widzę, że szybko ci przeszło – powiedziała Aldona. – Jajka całe czy w proszku?

Spoliczkował ją. Zapiekło cholernie.

Dziennikarka poczuła w ustach smak krwi. Pięknie to rozegrała, z negocjacji mogłaby zrobić doktorat.

– Wskakuj – rozkazał tuż po tym, gdy podniósł tylną klapy.

Wnętrze bagażnika rozświetliły światła. Aldona usłyszała za plecami warkot silnika. Odwróciła się. Aras i jego kompan także.

Miała nadzieję, że to Bener. Samochód zatrzymał się kilka metrów od nich. Po chwili dostrzegła



napis na masce toyoty. Firma ochroniarska. Też nieźle.

– No, panowie, pożegnajcie się ładnie i jedźcie na kolację. – Uśmiechnęła się najpierw do jednego, a potem do drugiego.

Nie odpowiedzieli. Ich twarze nie drgnęły.

Aras ruszył w stronę wozu, z którego wyskoczył kierowca, dryblas ubrany na czarno. Mężczyźni przybili piątki i zderzyli się ramionami, jakby długo ćwiczyli ten gest w podstawówce.

Łysol, który trzymał Aldonę, wyszeptał jej do ucha:

– Wygląda na to, że na kolację zjemy ciebie. Być może dołączą nasi kumple. Robiłaś to kiedyś z czterema naraz?

Drugi z ochroniarzy pozostał w samochodzie, rozmawiał przez telefon.

Aldona milczała, rozejrzała się dyskretnie.

– Nie wyglupiaj się – ostrzegł ją Łysol. – Mam ci ryja obić, żebyś nie kombinowała?

Splunęła mu w twarz.

– Wytrzyj, bo zamarnie – zachęciła.

– Kurwo jedna! – krzyknął Łysol i szarpnął Aldonę. Bała się, że ją uderzy, więc zasłoniła się ręką z gipsem.

– Spokój! – odezwał się ochroniarz. Rozmawiał z Ara-sem. Ten drugi nie wyglądał na zadowolonego.

– No, Rychu, daj, kurwa, spokój – prosił kumpla.

– Aras, nie mogę, kurwa. Nie teraz. Interwencja to interwencja, chłopie, przecież jeśli nie zareaguję, to mnie zaraz wyjebią. Rozumiesz, nie?

– No żesz, kurwa, no! – warknął Aras i odwrócił się do Łysola. – Zibi, puść ją, niech spierdala.

– A dymanko?

Aras machnął ręką.

– Poślizgnęła się głupia pizda, widzieliście, nie? Bo ślisko jest, kurwa, panienko! Musi panienka uważać. – Zibi rżał ze swojego dowcipu.

Podszedł do Aldony, której pociemniało przed oczami. Nie miała siły wstać. Ból rozchodził się wszystkimi połączeniami nerwowymi od kręgosłupa.

– Wstawaj, bo cię w dupę kopnę – rżał Zibi.

– Spokój już. Zostaw ją! – ryknął Aras.

– Jedźcie, my jej pomożemy. – Aldona usłyszała ściszony głos kierowcy.

Po chwili gdzieś obok jej głowy zaskrzypiał śnieg, trzasnęły drzwiczki. Silnik terenówki zaskoczył, a ona poczuła smród spalin, który otoczył ją gęstym, siwym kłębem. Wóz ruszył.

– Pomóc pani? – spytał z daleka ochroniarz.

Aldona się dźwignęła.

– Teraz? – zakpiła.

– Wszystko okej? – Mężczyzna wciąż stał kilka metrów od niej, przy swoim samochodzie.

– Kto was wezwał? – spytała, po czym wyprostowała plecy i skrzywiła się z bólu.

– Nikt. Mamy patrol. Niech pani już lepiej idzie, dobra?

Dała znać ręką, że nic jej nie jest.

Samochód odjechał. Na ulicy zrobiło się ciemno.

Aldona pokuśtykała pod ogrodzenie domu Zdziarskich i odszukała telefon. Działał.

Zobaczyła nieodebrane połączenie od Benera i chciała oddzwonić, gdy jej wzrok zatrzymał się na drzwiach wejściowych domu Zdziarskich. Były uchylone. W szczelinie Aldona zauważyła kobietę.

– To pani ich wezwała? – spytała dziennikarka.

Zdziarska nie odpowiedziała.

– Muszę porozmawiać z pani mężem.

– Jest zajęty, siedzi w pracowni.

– Nie zajmę mu dużo czasu – obiecała Aldona i obliznęła pękniętą wargę, z której sączyła się krew.

– Prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

Nie spieprz tego, upomniła się dziennikarka i ponownie się odezwała:

– Dziękuję, uratowała mi pani życie.

Zdziarska zamknęła drzwi.

„I już po wszystkim”, pomyślała Aldona. Nie miała dziś szczęścia. Z bezsilności spojrzała w niebo. Chciało jej się wyć. Z bólu i dlatego, że wszystko szło nie tak.

Po chwili jednak usłyszała brzęczyk.

Zaskoczona pchnęła furtkę i ruszyła wolno po odśnieżonym chodniku w stronę domu Alfreda Zdziarskiego.

Każdy krok sprawiał jej ból.

Cofnął się do najbliższego skrzyżowania i się rozejrzył.

– Aaaa... tu się schowałam.

Skręcił i zaparkował przed maską morrisa.

Trzasnął drzwiczkami new beetle'a i podszedł do samochodu przyjaciółki. Padający na maskę śnieg nie roztopiał się, co oznaczało, że silnik zdążył już wystygnąć. Bener oczyścił rękawem boczną szybę i zajrzał do wnętrza.

Wyjął telefon i chciał jeszcze raz zadzwonić do Aldony, ale wtedy odezwał się jego drugi aparat.

– Co jest? – spytał Bener, gdy odebrał połączenie.

– Jest źle. – Szaman zakasłał. – Bardzo źle.

– O co chodzi? – spytała kobieta o kasztanowych, krótkich, kręconych włosach.

Stały w przedpokoju wyłożonym boazerią i odgrodzonym od reszty domu litymi drzwiami. Kobieta była średniego wzrostu, miała na sobie prostą spódnicę i zieloną bluzkę, na którą włożyła polar tego samego koloru. Szyję przewiązała chustką. Poprawiła delikatnie okulary.

– Chciałabym porozmawiać z pani mężem.

– Rozumiem. Ale o czym?

– O sprawie z przeszłości.

– O tych dawnych oskarżeniach wydumanych przez tego, jak mu tam, Benera?

– Nie. O Michale Walterze.

Kobieta złączyła dłonie.

– Tym chłopaku z Lubicza?

Aldona potwierdziła.

– A co mój mąż może mieć wspólnego z tą sprawą?

– Szukam wszelkich informacji. Nie interesują mnie oskarżenia z przeszłości.

– A kim pani jest?

– Dziennikarką.

Zdziarska podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je.

– Jestem już stara, głupia, a do tego naiwna. Proszę wyjść.

Aldona się nie ruszyła.

– Niedawno rozmawiałam z matką Michała Waltera. Dobrze o państwu mówiła. Chwaliła pani męża, podkreślała, że Michał zawsze mógł na niego liczyć.

Kobieta spuściła wzrok.

– Na pewno nie chodzi o dawne sprawy? – Spojrzała podejrzliwie.

– Nie.

Zdziarska się zamyśliła.

– Robię to tylko dla niej. Niech pani tu zaczeka. Nie liczyłabym jednak na wiele. Mąż nie lubi, gdy mu się przeszkadza. – Zdziarska wślizgnęła się za drzwi prowadzące do salonu.

Aldona uśmiechnęła się lekko.

– Zaczekam – powiedziała, gdy została sama.

Wróciła na wycieraczkę i ponownie otrzepała buty ze śniegu. Na wielkich szarych kaflach zostawiała mokre ślady podeszew.

Potworny wrzask.

Skonsternowana ruszyła do drzwi i szarpnęła klamkę. Ból w kręgosłupie odezwał się ze zdwojoną mocą. Jęknęła cicho. Salon tonął w półcieniach, światła były przygaszone. Rozejrzała się. Uchylone drzwi do piwnicy. Dokuśtykała tam i ponownie usłyszała krzyk.

– O mój Boże jedyny, Boże!

Aldona zeszła do piwnicy.

Kiedy wreszcie przecięła więzy, upadła razem z żoną Zdziarskiego i trupem na podłogę.

Mężczyzna nie dawał żadnych oznak życia.

Aldona była pewna, że nic go już nie uratuje. Spóźniły się kilka minut.

Mimo to sprawdziła puls mężczyzny. Nie wyczuła żadnych, nawet najmniejszych uderzeń. Klatka piersiowa nie unosiła się, powieki pozostały nieruchome.

Za to jej serce biło jak oszalałe.

– Proszę wezwać karetkę – poleciła Zdziarskiej.

– O mój Boże... – Kobieta wpadła w stupor.

– Natychmiast!

Podąła Zdziarskiej rękę i dźwignęła ją z podłogi.

– Niech pani już idzie.

Zdziarska wyszła z pokoju jakby po omacku, opierając się o ścianę.

Aldona patrzyła za nią.

– Musi pani zadzwonić. To ważne!

Dziennikarka odwróciła się do biurka i znajdującego się na nim laptopa. Zerknęła na ekran. Zdziarski przed śmiercią zalogował się do banku, na koncie widniała pokaźna suma pieniędzy. Przyjrzała się widocznej na ekranie historii przelewów. Bała się czegokolwiek dotknąć, bo była pewna, że wkrótce zjawi się tu policja. Jednak jej uwagę zwrócił podłączony do ładowarki, rozświetlony tablet.

Stała bliżej. Zorientowała się, że Zdziarski był zalogowany do skrzynki pocztowej. Spojrzała na wiadomości w skrzynce odbiorczej. Zastanowiła ją ta najświeższa.

„Musisz wiedzieć”.

Tak brzmiał jej temat.

Aldonę przebiegł dreszcz, gdy zobaczyła, kto ją wysłał.

Tym razem nie umiała się powstrzymać. Kliknęła na wiadomość. Zawierała jedynie plik filmowy. Uruchomiła go.

Kiedy patrzyła skupiona, usłyszała jęki kobiety, która schodziła do piwnicy.

– Jezusie Przenajświętszy, Matko Boska!

Aldona nie odrywała wzroku od nagrania. Kamera skakała, obraz nie był zbyt wyraźny.

– A teraz niech pani wyjdzie przed dom i macha im, żeby wiedzieli, gdzie mają przyjechać – odezwała się dziennikarka.

– Panie Boże, mój Al!

– Jesteśmy na wsi, niech pani robi, co mówię. To ważne. Zostanę tu z pani mężem – zapewniła.

Aldona była zszokowana. Minęła chwila, zanim dziennikarka doszła do siebie.

Schowała tablet do torebki i wyszła na parter.

– Jak źle? Co masz na myśli? – Bener ruszył w stronę ulicy, przy której znajdował się dom Zdziarskiego.

Wiatr w końcu uspokoił się. Było zimno, ale mróz nie smagał go po twarzy.

W słuchawce usłyszał, jak Szaman zapala papierosa i się zaciąga. Zanosilo się na dłuższą rozmowę.

– Chodzi o kilka sznurków, za które mogę teraz pociągnąć. Zajmijmy się pierwszym z nich. To Zdziarski.

– Płotka – stwierdził Bener. – Nie wiem, co może mieć z tym wszystkim wspólnego, ale nawet nie próbuj wmawiać mi, że chodzi o zemstę po latach. To nedorzeczne.

– Po latach faktycznie byłoby nedorzeczne. Ale wtedy nie minął nawet rok. A to wyjątkowo mściwa bestia – zaznaczył Szaman i wypuścił powietrze. – Zniszczył Stemperskiego. Nie muszę ci nawet

o tym mówić.

– Ale mówisz. – Bener przypatrywał się domowi Zdziarskiego. – Jestem właśnie pod jego domem.

Dziennikarz zaniepokoił się tym, że w oknach nie widział żadnego światła.

– Stemperskiego?

– Nie. Alfreda.

– A co tam robisz?

– Na razie marznę. – Bener przestępował z nogi na nogę. – A nie ukrywam, że wołałbym uciąć sobie z nim pogawędkę w ciepłym wnętrzu. Może to spokojny i rodzinny człowiek jest, nie? Może ogrzewają sobie z żoną stopy przy kominku? – zaśmiał się.

– Obaj wiemy, że w sprawie zaginięcia Agaty Zdziarski ma coś za uszami.

– Co na przykład? – Bener starał się wysondować, ile Szaman wie.

– Kiedy Zdziarski wyleciał na bruk, wszedł w spółkę ze Szczepanem Balcerkiem i zajął się rozbiórką samochodów, skupem złomu. W sumie intratny biznes, który daje spore możliwości. Na złomie jeszcze nikt nie stracił.

– Skąd wiesz o ich biznesie?

– Po prostu wiem. A Zdziarski od początku wiedział, że powrót do samorządowego gniazda i być może nawet lepszej posady jest kwestią czasu. Dlatego, żeby nie robić sobie problemów, dał tylko kasę na ten interes...

– Nie ryzykowałby aż tak bardzo – przerwał mu Bener.

– ...i podstawił słupa.

– Kogo?

– Siostrzeńca.

– Znam go?

– Nie sądzę. To restaurator z Lubicza.

– Brzmi wykwintnie, prawie jak MasterChef.

– I tylko tyle. Wieczny student na wydziale gryfu i sztangi. Prostak, narodowiec, bez cienia wiedzy o historii Polski, za to z tatuażem orła w koronie na plecach i wytatuowaną zieloną przepaską na ramieniu.

– ONR?

– Na to wygląda. Właściciel restauracji „Polska” w Lubiczu. Arek Kowalski.

– Serwuje rosołek?

– Myślę, że repertuar może mieć nawet większy. Ale jest coś jeszcze.

– Dajesz.

– Michał Walter.

– Wiesz już o nim? – spytał Bener i wrócił do samochodu Aldony. Musiał się ruszać, żeby nie zamarznąć.

– Tak. Ale nie chodzi o samego Waltera. Tu mam wciąż mało danych.

– To o co chodzi?

– O miejsce, w którym zadyndał.

– Fort Jedenasty na Podgórzu, a co?

– Sprawdziłeś, do kogo należał?

Bener zmrużył oczy. Nie zrobił tego. Pamiętał z konferencji w urzędzie miasta, poświęconej budowie muzeum Twierdzy Toruń, że wchodzące w jej skład obiekty są w różnych rękach, czasami inwestorów prywatnych, czasami spółek różnej maści. Nie grzebał w tym, nie było powodu.

– Do tego siostrzeńca? – postanowił strzelać.

– Nie. – Szaman odchrząknął flegmę i splunął nią. – Nie odrobiłeś pracy domowej.

– Ale ty tak, więc nie bądź kutas i daj ściągnąć.

– Do Szczepana Balcerka.

Bener wrócił do skrzyżowania osiedlowych dróg.

– Czekaj, czekaj... – powiedział. – Kupił to pewnie wtedy, kiedy Zdziarski grzał dupę u marszałka, tak?

Kolejne chrząknięcie. Bener wziął je za potwierdzenie.

– Po co? – zapytał.

– A wiesz, co było tam niedawno?

– Nie pamiętam. Ale chyba nieruchomości należała do Polmozbytu.

– Właśnie. Polmozbyt miał tam swoje magazyny. Więc już wtedy przygotowywali się do samochodowego biznesu.

– No dobra, ale raczej coś im nie wyszło. Fort stoi pusty. – Bener przełożył słuchawkę do drugiego ucha. W domu Zdziarskich otworzyły się drzwi. Światło z wnętrza wylało się na ścieżkę.

– To nie kawalerka przy UMK, gdzie pod blokiem pięciu kupców wydeptuje chodnik z wypchanymi gotówką kieszeniami.

– I myślisz, że to oni powiesili tam Waltera.

– A czy ty wieszalbyś obcego gnoja u siebie w domu?

Punkt dla Szamana.

– Ktoś im robi koło pióra, tak?

– Dlatego dzwonię.

Bener czekał, aż Szaman dokończy, i obserwował dom. Wyszła z niego niska kobieta. Ruszyła do furtki. Jej kurtka była rozpięta, jakby kobieta nie do końca wiedziała, co robi.

Bener się cofnął i schował za narożnikiem działki obrośniętym wysokimi tujami.

– No to mów – zachęcił, nie spuszczać oczu z kobiety, która szła ośnieżoną ulicą prosto w jego stronę.

Usłyszał jej płacz i struchlał. Przeszła obok niego, ale nie dostrzegła go. Szła jakby w swoim świecie, mamrotała niezrozumiale pod nosem.

– Chodzi o to, że dobrze znasz tę osobę.

Z domu wyszła Aldona. Szybkim krokiem zmierzała w jego stronę. Bener spoglądał to na nią, to na starszą kobietę.

– Mów! – Benerowi zaczęła drgać powieka. Obawiał się tej odpowiedzi, chociaż znał ją doskonale.

Szaman milczał. Aldona zbliżyła się do Benera.

– Jesteś pewien, że chcesz znać prawdę? – zapytał były profesor.

Bener usłyszał, jak Szaman pociera zapałkę o draskę. Wtedy dziennikarzowi rozjaśniło się w głowie. Rozłączył się.

– To Rak. – Bener powiedział sam do siebie.

Tuż po tym, jak oboje zostawili samochody w garażu, Aldona poprosiła Benera, żeby obejrzał materiał. Pytanie redaktora o pękniętą wargę zbyła. Teraz ważniejsze były inne sprawy.

– Rak nie ma takiego adresu mailowego. – Aldona próbowała bronić fotoreportera.

– Nie znasz wszystkich jego adresów mailowych. Zresztą co za problem założyć sobie nowy?

– Gdybyś miał założyć sobie nowy do takich niecnym celów, umieściłbyś w nim swoje inicjały albo cokolwiek, po czym można by cię łatwo rozpoznać?

Bener przyjrzał się skrzynce odbiorczej wyświetlanej na ekranie tabletu Zdziarskiego. *Cancer*. Tłumaczenie z angielskiego było oczywiste. Może aż nadto oczywiste, zastanawiał się Bener, ale zbyt często ignorował różne sygnały, by teraz nie pozwolić dojść im do głosu.

Postanowił zmienić wyświetlenia wiadomości nie ze względu na czas ich nadejścia, tylko alfabetycznie, według nadawców. Dojechał do „r” i zwolnił. Przesuwał kolejne nazwiska, aż trafił na to, którego szukał. Przejrzał treść dwóch maili.

– A co powiesz na to? – Oddał tablet Aldonie.

Przytrzymała go w dłoniach, marszcząc czoło. Potem spojrzała na Benera.

– Niemożliwe – szepnęła.

– Dlaczego tak bardzo go bronisz?

Aldona zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek.

– Wiem, co myślisz – dodał – ale problem w tym, że wcale nie chcę wierzyć w to, co widzę, tyle że tym razem trzeba być ślepy, żeby nie dostrzegać oczywistości.

Aldona nic nie powiedziała. Zgarnęła telefon z ławy i wsunęła go do kieszeni zapinanej na suwak bluzy.

– Okej – powiedziała zrezygnowana. – Co mamy na Raka? Podsumujmy to.

Bener domyślał się, że Rak wyjechał z Torunia albo nawet z kraju tuż po tym, jak prawdopodobnie sam odnalazł samochód Stemperskiego. Wrócił wtedy zziębnięty do domu dziennikarza i od razu udało mu się zlokalizować wóz, niby za pomocą GPS. Zdaniem Benera Rak mógł również sam wymontować nadajnik satelitarny z berlingo. Być może zrobił to tuż po tym, jak wypuścił z niego ostatni sygnał do komputera. To dlatego historia przejazdów berlingo zawierała tylko ten jeden rekord.

– Po co to zrobił, co? – zapytała Aldona.

– Poczekaj, jeszcze jedno. – Bener podniósł rękę. – Widziałem wtedy ślady butów na śniegu prowadzące do fortu. Poszedłem tam inną drogą, a teraz jestem przekonany, że to także była zagrywka Raka.

– Niby co?

– Zmusić mnie, żebym tam poszedł. Sam bym na to nie wpadł. Nie odszedłbym od samochodu na krok. Wróciłbym do mojego i skontaktował się z policją. Ot, co. Tymczasem Rak chciał, żebym odkrył zwłoki.

– Pomyśl – poprosiła Aldona. – Chciał, żebyś odkrył zwłoki faceta, którego sam zabił? Czy to ma jakiś sens?

– No to inaczej. – Bener nie dał się zbić z tropu. – Śladów w śniegu nie dało się zamaskować. Nie musiał dawać mi sygnałów, tylko zwyczajnie nie mógł ich zatrzeć.

– I? – Aldona rozłożyła ręce.

– I dlatego zniknął.

Dziennikarka nie zgadzała się z nim.

– Dlaczego miałby zabić Waltera? – spytała.

– Nie wiem, nie wszystkie karty na stole są odkryte.

– Coś ich łączyło?

Bener zastanowił się nad tym. Przypomniał sobie nagranie z monitoringu z października 2016 roku, żółty kościół Świętego Ducha i czerwoną cegłę neogotyckiego budynku Poczty Polskiej. Widział, jak na ich tle przechodzi Michał Walter. Znikał za drzewami i wrzucał do skrzynki na listy kopertę ze zdjęciem. Potem przystawał na rogu rynku, gdzie łączyły się pierzeja zachodnia z północną i gdzie wyrastał gotycki kościół Najświętszej Marii Panny.

– Rak zrobił zdjęcia Walterowi i Agacie, to pewne.

– W tej sprawie, Marek, nic nie jest pewne.

Zignorował jej uwagę.

– Być może Walter rozesłał tę fotografię wszystkim, którzy mogli coś wiedzieć o zaginięciu Agaty – zauważył.

– A pamiętasz, co cię tak denerwowało?

Nie pamiętał.

– To, że Rak za każdym razem, gdy wywalasz to zdjęcie do kosza, krzychał ci w twarz, że musisz wiedzieć, co się z nią stało. Nie robiłby tego, gdyby był w to zamieszany.

Bener wstał, podszedł do okna, a następnie oparł się o parapet. Noc poddała się mgłę, która zgęstniała i otaczała dom. Wciąż coś mu umykało, ale wiedział, że nie ma więcej czasu do stracenia. Zbyt długo czekał na kolejne wskazówki, zbyt mało wkładał siły w to, żeby samemu je odkryć.

– A jeśli robił to celowo? – Para z jego ust ułożyła się w nieregularną plamę na szybie. „Mgła we mgle”, pomyślał. Dokładnie jak w jego śledztwie.

– W jakim sensie celowo?

– By skierować śledztwo na inne tory. – Odwrócił się do Aldony.

– Oszalałeś?

„Nie”, pomyślał, chociaż rzeczywiście powinien być bliski obłądu. Bener wrócił myślami do tego, co jeszcze niedawno błąkało się po jego umyśle. Coś o Walterze, co mogło mieć związek z Rakiem i ostatecznie przekonałoby Aldonę, że to Bener ma rację. Zamyślił się.

– Marek, to niedorzeczne. Walter zaginął w październiku gdzieś na Bydgoskim. Gdyby Rak miał z tym coś wspólnego, to jestem przekonana, że...

Bener spojrział na Aldonę.

– Co powiedziałaś? – przerwał jej.

– Chodzi mi o to, że gdyby...

– Nie, wcześniej. Coś o Walterze.

– No, że zaginął w październiku.

– Coś jeszcze. – Odkleił się od parapetu i stanął przy ławie, na której wciąż leżały dokumenty zebrane w śledztwach dotyczących zaginięć.

– O Bydgoskim Przedmieściu, że zaginął na Mickiewicza.

Bener dał znak, że już wie. Sięgnął po telefon, w którym zapisał numer Zuzy, dziewczyny Raka. Wybrał go i czekał na połączenie.

– O co ci znowu chodzi? – Aldona wstała.

Uciszył ją. Przełączył na głośnomówiący i trzymał aparat w dłoni przed sobą.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że spotkałem Zuzę, dziewczynę Raka? – spytał Aldonę.

Ta potwierdziła.

– Wysadziłem ją przy Książnicy Kopernikańskiej. – Bener patrzył Aldonie w oczy i wiedział, że zrozumiała.

– Halo? – usłyszeli oboje zaspany głos.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. Czy Radek odzywał się do ciebie? – spytał.

– Nie.

– Nie miałaś od niego żadnego sygnału?

– Nie. Boże, czy coś mu się stało?

– Nie sądzę – uspokoił ją Bener.

– To czemu do mnie dzwonisz?

– Chodzi o nasze ostatnie spotkanie – zaczął. – Wsiad-łaś przy Książnicy Kopernikańskiej.

– No tak. I co z tego?

– Mówiłaś, że masz tam mieszkanie, prawda?

– Tak.

– To teraz uważaj, bo to ważne. W październiku, kiedy zaginął ten mechanik z Lubicza, Michał Walter, pamiętasz, prawda?

– Tak.

– Czy wtedy mieszkaliście z Rakiem w twoim mieszkaniu?

– Nie. Mówiłam ci, że wyjechałam na weekend. Pamiętam to dokładnie, bo gdy wróciłam, w mediach zaczęły pojawiać się informacje o tym chłopaku.

– A czy Rak mógł wtedy mieszkać u ciebie na Słowackiego? Pod twoją nieobecność?

– Nie...

– Nie miał swoich kluczy? Nie musiał karmić kota albo podlewać kwiatków?

– Nie, na pewno. Był wtedy u siebie na Mostowej.

– Czyli nie miał dodatkowego kompletu kluczy do twojego mieszkania?

– Nie, wtedy jeszcze nie.

– Rozumiem. I dziękuję.

Bener rozłączył się zawiedziony. Sądził, że Rak mógł spotkać się wtedy z Walterem.

Aldona odetchnęła i poszła do łazienki.

Bener usłyszał szum wody w chwili, gdy zadzwonił jego telefon. Dzwoniła Zuza.

– Dlaczego o to wszystko pytałeś? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią tego faceta z Lubicza?

- Nie – skłamał.
- Jesteś przekonany?
- Tak.
- To dobrze, bo już myślałam, że Radek znowu coś nawywijał.
- Znowu?
- Mieliśmy ostatnio trudne dni, to wszystko.
- Chcesz mi coś powiedzieć?
- Nie, to wyłącznie nasza sprawa. Martwię się tylko, że w żaden sposób nie mogę go namierzyć.
- Okej, nie martw się, dam ci znać, gdy go znajdę – obiecał.
- Dobrze, ale jest jeszcze coś.
- Mów.
- Nie mam mieszkania na Słowackiego.
- Przecież tam cię wysadziłem.
- Tak, bo szłam odwiedzić moją koleżankę.
- A gdzie mieszkasz?
- Kawalek dalej, na Mickiewicza.
- W sumie to i tak nie ma już znaczenia – odparł zawiedziony.
- Ale mam jeszcze do ciebie sprawę – zaczęła Zuza nieśmiało.
- Mów.
- Pisałeś w „Echu” o tej zgwałconej kobiecie, prawda?
- Nie ja, tylko kolega.
- Rozumiem. Ale martwi mnie jedna rzecz. Dlaczego podaliście jej inicjały?

Bener nie wiedział, o czym Zuza mówi, i nie chciał teraz zaprzętać sobie głowy pierdołami.

- Inicjały?
- No tak, w tekście są jej inicjały, a do tego również osiedle, na którym mieszka.
- Nie wiem, trudno mi powiedzieć. Ale sprawdzę to. Dzięki! – Zamierzał się rozłączyć.
- Chodzi o to, że to właśnie ta moja koleżanka, teraz ludzie wytykają ją na Bydgoskim palcami.

Nie dość, że przeżyła piekło, to jeszcze to. Wiem, że policja nie przekazywała tych danych, więc nie rozumiem, skąd je mieliście. Możesz to dla mnie sprawdzić?

Bener usiadł i odwrócił się w stronę Aldony, która właśnie wyszła z łazienki. Zdziwiła się, że dziennikarz znowu rozmawia przez telefon. Spytała cicho, o co chodzi, ale Marek dał jej znak, że zaraz wszystko wyjaśni.

- Obiecuję, że to sprawdzę. Powiedz mi tylko, czy Radek ją znał?
- Tak, byliśmy razem w kilku miejscach.
- A czy ona знаła Michała Waltera?

W słuchawce zapadła cisza.

- Zuza, jesteś? – upewnił się Bener.
- Jestem – odparła. – Ale to niemożliwe. Wiedziałabym o tym.
- Wiesz co, nie odkładajmy tego. Przepraszę ją jutro, tylko daj mi jej numer telefonu i adres.

Podrzucę jej kwiaty.

Zuza przedyktowała dane, a on podziękował jej i jeszcze raz obiecał, że zadzwoni, gdy tylko spotka Raka.

- Coś tu nie gra – powiedział i zrelacjonował Aldonie rozmowę.
- To ta dziewczyna, którą zgwałcił brat zaginionego Jana Stemperskiego?

Bener kiwnął głową.

– Ale kłopot w tym, że Piotr Stemperski jej nie zgwałcił. Leon Brodzki mówił, że dziewczyna to zmyśliła. Ostatecznie wycofała zarzuty. – Benerowi puchła głowa od tych wszystkich informacji. – Trzeba się z nią spotkać.

- Po co?
- Mieszka na Słowackiego. Może to do niej szedł Walter, nim zaginał?



– Dobra, pojedziemy tam jutro – zgodziła się Aldona, bo mieli przed sobą jeszcze dużo roboty.

Aldona zrobiła kawę. Dwie godziny poświęcili na układanie różnych wersji wydarzeń. Przeglądali zdjęcia, zapisy z monitoringu i film z tabletu Zdziarskiego jeszcze wielokrotnie. Bener widział, że Aldonie zaczynały kleić się powieki. Ziewała coraz częściej, a gdy na dworze pojaśniało, była na skraj wyczerpania. W końcu poszła spać.

Sprzątając papiery, Bener znalazł telefon Aldony. To był dokładnie taki sam aparat, jaki redaktor otrzymał od Brodzkiego. Prosty, bez udziwnień i zabezpieczeń.

Zerknął w stronę korytarza prowadzącego do sypialni. Drzwi były zamknięte, a ze szpary pod nimi nie sączyło się światło.

Było ich kilka.

Pod numer, który zapisał sobie na kartce, wysłał z telefonu Aldony wiadomość.

Po krótkiej chwili przyszła odpowiedź. Przeczytał ją, a następnie skasował obie i odłożył aparat.

Chociaż nie mógł w to uwierzyć, wreszcie dotarło do niego, że w tej walce jest zupełnie sam. Jeśli marzył o odnalezieniu Agaty, jeśli film w tablecie Zdziarskiego jest prawdą, to Bener powinien liczyć wyłącznie na siebie. A nie na Raka i Aldonę.

I mimo zmęczenia po nieprzespanej nocy tego ranka już nie zasnął.

Aldona zerknęła na swój telefon. Nie otrzymała żadnych nowych wiadomości, ale bateria była bliska wyczerpania. Podłączyła aparat do ładowarki samochodowej i ułożyła go pod dźwignią hamulca ręcznego.

Kiedy wjechali do miasta, Aldona próbowała zagadać Benera, ale odpowiadał jej półsłówkami. Odpuściła sobie i zastanawiała się, jak to wszystko dalej się potoczy.

– To tu. – Bener zjechał na parking i pochylił się, żeby spojrzeć przez przednią szybę na stary blok ustawiony prostopadle do ulicy. Jego okna wychodziły na Książnicę Kopernikańską i ogrodzony parking dla pracowników biblioteki.

Aldona odpięła pas i otworzyła drzwi, Bener zrobił to samo.

– Już idę – powiedział, ale nie podniósł się. Sprawdził adres w telefonie.

Aldona stanęła przy masce, tyłem do Benera i schowała dłonie w kieszeniach. Usłyszała, jak mężczyzna zatrzasnął drzwi.

– To gdzie ona właściwie mieszka? – Aldona lustrowała rzędy rozświetlonych okien, czekając na odpowiedź.

Odpowiedział jej warkot silnika. Garbus przemknął obok jak pies zerwany z łańcucha.

Dziennikarka wyszła na jezdnię i spojrzała w stronę oddalającego się samochodu. Po chwili światła stopu się rozświetliły i Bener skręcił na skrzyżowaniu w prawo, w Moniuszki.

Sięgnęła do kieszeni po telefon, ale zorientowała się, że aparat został w samochodzie.

Wtedy dotarło do niej, że Bener wszystkiego się domyślił.

Ale o prawdzie nie miał zielonego pojęcia.

Być może od samego początku była w kontakcie z Ra-kiem, a mimo to niczego mu nie powiedziała. Bener rozpoznał numer fotoreportera i wysłał do niego wiadomość, podając się za Aldonę. „Raku, Bener Cię szuka. Daj znać, gdzie jesteś”. Poszedł na całość, ale się opłacało. Po chwili przyszła odpowiedź. „Węszę w Lubiczu. Nic mu nie mów. Jeszcze nie teraz”.

Co z tego wynikało? Sam już nie wiedział. Po raz pierwszy jednak Aldona nie była z nim szczerą. A co jeśli chroniła Raka albo go kryła? Bener zamierzał to sprawdzić.

Na razie zatrzymał się w pobliżu niewielkiej stacji paliw. Na zapleczu dawnego Polmozbytu, gdzie obecnie mieścił się salon fiata, było ciemno. Nikłe światło świeciło się w budynku nieczynnej o tej porze stacji paliw.

Bener ruszył w stronę wielkiej bramy wjazdowej do fortu. Była wysoka, tak jak potężny mur, ze szczytu którego zwieszały się nabrzmięte czapy śniegu. Mężczyzna szedł wzdłuż niego tak długo, aż dotarł do znanego sobie wyłomu porośniętego przez gęste krzaki. Rozsunął cienkie witki i przeszedł na drugą stronę. Ponownie znalazł się na dziedzińcu między frontową ścianą fortu a wielką bramą, którą miał teraz za plecami. Nie chciał tracić ani chwili. Tym razem wybrał drogę na wprost, po oblodzonym

moście nad suchą fosą, głównym wejściem do pruskiej warowni.

Wyglądała złowieszczo.

Wiatr zaświstał, ocierając się o cegły.

Albo tak mu się tylko wydawało, albo rzeczywiście usłyszał swoje imię.

To był jej głos, którego nie słyszał od lat. Czasami odzywał się w jego głowie, ale był wówczas wspomnieniem, pamięcią dźwięku, a nie nim samym. Teraz jednak Bener był pewien, że usłyszał Agatę.

Zrobił kolejny krok i włączył przygotowaną latarkę.

Przed sobą miał idącą w górę poternę. O ile dobrze pamiętał, prowadziła do skrzyżowania, skąd można było opadającym w dół, długim korytarzem dojść do karceru. Przetrzymano w nim jeńców alianckich pojmanych w trakcie II wojny światowej. Na Benerze zrobiły ogromne wrażenie rysunki i napisy, które tam ujrzał podczas spaceru z miłośnikiem fortyfikacji. Wryte w białych ścianach nie tylko karceru, ale także świetlicy, która znajdowała się obok. Angielskie wyzwiska skierowane do nazistów, wezwania Boga, ołtarzyki z ukrzyżowanym Chrystusem. W końcu dojrzał też adres. Imię i nazwisko, ulicę oraz miasto z irlandzkim kodem pocztowym. Jak wtedy, tak i teraz przeszedł go dreszcz. Ale to właśnie biel tych ścian spowodowała, że tu przyjechał...

Biel ścian.

Bener wrócił myślami do filmu z tabletu Zdziarskiego. Obrazu, który nim wstrząsnął, a jednocześnie wlał w niego wiadro nadziei.

Szedł przed siebie, nie patrzył na krwistoczerwone cegły poterny, jednej z nielicznych w tym obiekcie niebiałych przestrzeni. Teraz widział tylko to nagranie, ten trzęsący się obraz, kręcony zapewne komórką, pozbawiony dźwięku.

Najpierw widział jej poranione, napuchnięte usta.

– Marek! – krzyczała kilkakrotnie.

Potem obraz zadrgał, ukazując na ułamek sekundy jej zamazaną twarz i nieco krótsze, inaczej uczesane blond włosy. Kamera zjechała w dół, po osłoniętym brzuchu i nogach. Dłonie były przypięte skórzanymi pasami do obciążającej z farby ramy stalowego szpitalnego łóżka, tak samo jak nogi. Bener widział rany na kostkach i nadgarstkach, zdartą, zaczerwienioną skórę, ze strupami w niektórych miejscach. Agata szarpała się, bezskutecznie próbowała się wyzwolić z więzów. Kamera podjechała do góry, ale nie pokazała już całej twarzy Agaty. Ponownie najechała na napuchnięte usta tylko po to, by żona Benera mogła powiedzieć jeszcze jedno słowo.

– Wróciłam.

Tyle zdążył rozszyfrować z ruchu jej zdeformowanych warg.

Nie myślał o krzywdzie, którą jej wyrządzili, nie mógł myśleć o tym, że wróciła. Mógł myśleć jedynie o zadaniach, które go czekają. Dlatego przejrzał ten film wielokrotnie, obserwując głównie to, co nie było pokazane. Szukał jakichkolwiek informacji o miejscu, w którym przetrzymywali Agatę. Nie wiedział, dlaczego używa liczby mnogiej. Wybrał więc to, czego był pewien.

Białe ściany.

I dlatego działał dalej jak w amoku.

Skoro Michał Walter, ostatni człowiek, którego widziano z Agatą, zginął w forcie, to Bener nie zdziwiłby się, gdyby śmierć czekała w tym miejscu również na Agatę.

Musiał tu przyjechać i sprawdzić to, przekonać siebie samego, że ma rację. Nie mógł teraz zawieść Agaty.

A czasu, jak mu się wydawało, miał coraz mniej.

Był w połowie poterny, kiedy ponownie usłyszał jej głos. Swoje imię.

Ten dźwięk płynął do niego ze źródła znajdującego się kilkanaście metrów przed nim.

A może tylko brzmiał w jego głowie.

– Nie zostałam zgwałcona. – Głos kobiety drżał.

Aldona siedziała na taborecie w ciasnej kuchni. Na kuchence bulgotała zupa, kwaśny zapach pomidorów unosił się z otwartych puszek koncentratu, który Marcelina Bączkowska niedawno przełożyła łyżeczką do garnka. Kobieta zamieszała zupę i spróbowała. Trzęsły jej się ręce, kiedy

dosypała do niej dwie płaskie łyżeczki soli.

Aldona nie prosiła, by kobieta usiadła naprzeciwko niej, rozumiała, że ten typ tak ma, że nie usiedzi w miejscu. Ważne było jedynie to, by kobieta zaczęła mówić.

– Ale oskarżyła pani Piotra Stemperskiego o gwałt.

– Wie pani, dlaczego Michał nie żyje? – zapytała Bączkowska, nie odrywając wzroku od bulgoczącej zupy.

– Wydaje mi się, że miał on związek z wydarzeniami sprzed lat.

Kobieta machnęła ręką, jakby chciała Aldonę uciszyć.

– Od początku wiedziałam, że nic dobrego z tego nie będzie. Rozkochał mnie w sobie, a ja byłam głupia.

Aldona przyjrzała się dziewczynie, która mogła być w jej wieku. Warkocz sięgał jej do łopatek. Krzątała się po kuchni w znoszonych jasnych dżinsach i spranej koszulce z myszką Minnie.

– Cały ten nasz związek od początku był dziwny. – Pociągnęła nosem.

– Ukrywaliście się, prawda? – Aldona zrozumiała, dlaczego o dziewczynie Waltera nikt nie wiedział, ani jego znajomi, ani jego matka.

– Zawsze powtarzał, że to tylko na chwilę, że wkrótce stąd odleciemy, że czeka nas lepsza przyszłość. W kółko opowiadał o Islandii. Podobno kolega nagrał mu robotę na farmie, tak na początek, a potem Michał miał mnie ściągnąć i razem mieliśmy zahaczyć się w przetwórni ryb. – Bączkowska nabrała zupy na łyżkę, podmuchała w nią i ponownie posmakowała. – Ale nic z tego nie wyszło. Chyba ze względu na jego matkę.

– Dlaczego?

– Michał mówił, że ma wobec niej zobowiązania. Ona miała niską rentę, nie nadawała się do pracy, a po śmierci ojca utrzymanie domu spadło na Michała.

To potwierdzało słowa sąsiada Walterów, z którym niedawno rozmawiała Aldona.

– Dlaczego się ukrywaliście?

– Poznaliśmy się we wrześnieu na dyskotecę. Michał przyszedł ze swoimi kolegami, ja byłam z koleżanką i jej chłopakiem. Bawiliśmy się długo. Potem, kiedy mieliśmy już iść, Michał mnie zagadnął. Poprosił o telefon, był zabawny i miły. Nie oczekiwałam, że zadzwoni, ale zrobił to tydzień później. I tak zaczęły się nasze potajemne schadzki.

– A potem?

– W dniu, w którym oficjalnie zaginął, zadzwonił do mnie z samego rana i uprzedził, że zniknie. Powiedział, że musi się ukrywać, że są sprawy, które ktoś kiedyś zawalił, i Michał po prostu musi to przeczekać. Przyznał, że był szantażowany. Dlatego mnie chronił i tak bardzo mu zależało, żeby nikt o mnie nie wiedział.

– Co ma z tym wspólnego sprawa rzekomego gwałtu?

Dziewczyna podniosła obie ręce.

– To nie tak.

– A jak?

Gospodyni ponownie odwróciła się do garnka.

– Michał powiedział mi, że ktoś ma jakieś jego zdjęcia.

– Zdjęcia z zaginioną Agatą Bener, tak?

– To pani o nich wie? – Marcelina wyglądała na zdziwioną.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerywała tylko bulgocząca na gazie zupa. Kobieta skrzyła ogień. Para z garnka unosiła się i znikła gdzieś w połowie drogi do emaliowanego okapu.

– On jej nic nie zrobił.

Aldona widziała nagranie, wiedziała, że Agata żyje, że po latach jest gdzieś blisko, choć jej życie jest ponownie zagrożone, ale do diabła, dziennikarka była pewna, że Agata Bener jest cała. Mimo to, kiedy Bączkowska opowiadała o dramatycznej historii sprzed lat, Aldona zaczęła trząść się i zgrzytać zębami.

– Jaki był udział Michała w tym wszystkim?

– Jechał za nią.

– W białym Citroënie Berlingo, tak?

Ciche potwierdzenie.

– Kto jechał razem z nim?

– Nie wiem. Nigdy mi tego nie powiedział. Po prostu jechał za nią, bo ktoś go o to poprosił.

Kiedy się zatrzymał na poboczu, ona wsiadła.

– Tak po prostu?

– Tak. Michał miał robić tylko za kierowcę. Przewieźć ją z punktu A do punktu B. Tylko tyle, nic więcej, rozumie pani? – Gospodyni podniosła głos.

Aldona dała znak, żeby kobieta kontynuowała opowieść.

– I on to zrobił.

– Ale przecież te zdjęcia... – przypomniała Aldona.

– Wiem, co jest na tych zdjęciach. Powiedział mi!

– Oni nie byli parą. – Aldona poprawiła się na taborecie i założyła nogę na nogę. Było jej zimno, chociaż niewielka zaparowana kuchnia mogła teraz służyć za saunę.

– Nie! Udawał kogoś.

– Kogo?

Aldona wpatrywała się w kobietę.

– Kogo udawał? – powtórzyła pytanie.

Kobieta spojrzała przez okno.

– Nikomu pani nie powie?

Dała znać, że będzie siedziała cicho.

– On udawał przed nią tajniaka.

– Kogo?

– Policjanta.

Tyle lat czekał na ten moment, na poznanie prawdy o losie Agaty. Wierzył, że ona czeka na niego za tamtymi drzwiami. Przyspieszył. Chciał już to mieć za sobą, chciał objąć Agatę i nigdy więcej jej nie puścić, być zawsze blisko przy niej. Chciał jej wszystko wybaczyć i jednocześnie błagać o przebaczenie. Zżerała go ciekawość, stres spinał mu mięśnie karku. Szedł jakby na prostych nogach, zamroczony, zbolaty, a jednocześnie podniecony tłącą się nadzieją.

Czekał na ten moment prawie siedem lat.

Siedem długich lat, w trakcie których jego życie pozbawione było sensu. Stracił siedem lat, niemal jedną czwartą swojego życia, które przeciekało mu przez palce, bo bez niej po prostu nie umiał żyć. Teraz przyznawał się do tego z wielką ochotą. Bez niej nic nie miało sensu. Miłość była zbyt niepojęnym słowem dla wszystkich uczuć, którymi Bener darzył Agatę przez cały ten czas. Czasami też błędził, gubił cel, by powrócić z większym bagażem winy i pluć na swoje odbicie w lustrze. Ale między Bogiem a prawdą, kochał tylko Agatę i tylko jej pragnął. Tylko za nią tęsknił.

I tylko dla niej żył.

Ponownie usłyszał jej głos.

– Marek...

Rozejrzał się.

Był już pod drzwiami, ale nie wiedział skąd dochodzi głos, miał wrażenie, że tym razem dobiegł go zza pleców.

Zamarł.

Spojrzał na swoją trupio bladą dłoń i położył ją na klamkę stalowych, porzewiałych drzwi.

– Marek – odezwał się głos, a raczej głosy, których nie był w stanie zliczyć – Marek!

Słyszał je zewsząd, jak łopot skrzydeł gołębi zerwanych do lotu nad Rynkiem Staromiejskim.

Zakręciło mu się w głowie. Gdzieś daleko widział Agatę. Płynęła w jego stronę. Widział ją w dniu ich ślubu, jej niewielki biały kapelusz wpięty we włosy i czystą, bezbrzeżną radość w jej oczach. Patrzył na jej pełne usta, które uśmiechały się tylko do niego, gdy tańczyli pierwszy taniec. Znajdowali

się w tłumie gości, którzy bili im brawo, a jednocześnie mieli siebie na własność.

Potem widział ją, kiedy pierwszy raz pokazała mu test ciążowy. Kiedy porwał ją i wirował z nią w rękach po całym salonie. Pamiętał, jak śmiała się i prosiła, żeby przestał, jak pęd unosił jej blond włosy.

– Kocham cię! Obie!

Ale kiedy drzwi się za nią zamknęły, światło w jego życiu zgasło. Już nie mógł się do niej przytulić, pocałować jej ciepłych ust. Być w niej tak, jak mężczyzna może być w kobiecie. Wychować z nią dziecko, którego oboje tak pragnęli.

Jej uśmiech z tego ostatniego dnia tlił się w pamięci Benera. Widział lwi kiel przewieszony na smukłej szyi żony, prezent na jej ostatnie wspólnie spędzone urodziny. Dokładnie ten sam kiel pojawił się w filmie na tablicie Zdziarskiego.

– Marek. – Jej usta składały się do wypowiedzenia jednego słowa.

Oczyrna wyobraźni widział ją. W jej oczach dostrzegł i strach, i ból.

Widział w nich prośbę, żeby się pospieszył, żeby uratował ją skoro po tylu latach wciąż żyje i potrzebuje jego pomocy. Błagała, żeby nie zaprzepaścił tej jedynej szansy.

I ponownie w jego wspomnieniach kamera zjechała na więzy na nadgarstkach i kostkach nóg, by za chwilę wrócić na jej usta, które zdążyły wypowiedzieć kolejne słowo.

– Wróciłam.

Bener ocknął się.

Oddychał płytko. Para z jego ust co chwila pojawiała się w postaci niewielkich obłoków.

Syczał. Czuł, że paraliżuje go strach, że nie udźwignie tego ciężaru, który czeka na niego za drzwiami.

I wtedy ponownie drgnęła mu powieka.

Spiął mięśnie i zacisnął dłoń na klamce.

Uchylił drzwi, ale nie spojrzał w ciemność za nimi.

Właśnie zrozumiał.

Obrazy migały mu pod powiekami.

Nagle z jego ust wyrwał się zdławiony krzyk. Upadł na kolana. Poternę wypełnił wstrząsający wrzask. Odbijał się od cegieł i zniknął w przestrzeniach opuszczonej starej twierdzy.

Bener krzyczał z szeroko otwartymi oczami, grymas bólu i bezsilności wykrzywił mu twarz. Wkrótce stracił oddech.

Długo potem rozluźnił mięśnie, otworzył zaciśnięte dotąd dłonie. Wrócił mu spokojny oddech, płuca pracowały miarowo.

Wstał i zawrócił do wyjścia, zostawiając tu cząstkę siebie.

I coś więcej, bo nadzieja zgasła w nim bezpowrotnie.

– To moja – stwierdziła Marcelina.

– Wiem – odparła Aldona. – Jak to się stało, że znalazła się w garażu Stemperskiego?

Ale kiedy Bączkowska wzruszyła ramionami, dziennikarka sama domyśliła się odpowiedzi. Marcelina celowo zostawiła ją w samochodzie, żeby uwiarygodnić swoje doniesienie o gwałcie. Nie przewidziała jednak, że Piotr Stemperski, zauważył biżuterię, oddając samochód bratu, przestraszył się i chciał ją gdzieś ukryć. W panice rzucił ją na podłogę i podeszwą buta próbował przesunąć między stare deski, tak żeby wpadła do nieużywanego kanału. Piotr wiedział przecież, że Jan od lat tam nie zaglądał.

– Rak strasznie wkręcił się w tę sprawę, kiedy pokazałam mu te zdjęcia – dodała Bączkowska. – To on odkrył, że Michał nie żyje. Wtedy zrozumiałam, że muszę załatwić Stemperskiego.

– Rak ci pomógł?

– Tak. Znowu wbrew Zuzie. Pokłóciłyśmy się o to.

Firanka w oknie się poruszyła. Dziennikarka obawiała się kłopotów, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Zdziarska wpuściła ją bez słowa.

Kobieta była ubrana na czarno, a zaczerwienione powieki oraz zaciśnięte mocno dłonie zdradzały jej stan.

- Czekałam na panią. – Kobieta nie traciła czasu na powitania.
- Chciałam... – Aldona nie zdążyła dokończyć, bo Zdziarska uniosła dłoń.
- Miała pani rację.
- W jakiej sprawie?

Zdziarska sięgnęła po papiery i kopertę, które leżały na komodzie, i przytrzymała je w rękach.

– Nie zauważyłam symptomów. Myślałam, że Al po prostu ma problemy w pracy, jak każdy z nas. Że trzeba to przeczekać, w końcu znajdzie się rozwiązanie.

Aldona pomyślała, że kobieta rzeczywiście musiała być w szoku, żeby gadać takie bzdury. A może rzeczywiście nie brała pod uwagę tego, że jej mąż był w pracy tyranem.

– Al, proszę pani, był szantażowany! – Zdziarska wyciągnęła w stronę Aldony kilka kartek. Jej słowa, miały podkreślić, kto naprawdę był ofiarą.

Dziennikarka spojrzała na fotografie, takie same jak te, które otrzymał Bener i które znajdowały się w aparacie znalezionym w garażu Jana Stemperskiego. O to właśnie chciała zapytać Zdziarską. Czy jej mąż otrzymał te zdjęcia.

Aldona przejrzała je i oddała kobiecie.

– Jak to? Nie chce ich pani? – Zdziarska była zaskoczona i zbulwersowana zarazem.

– Nie.

– Nie rozumiem. – Pokręciła głową. – Nie opisz pani tego?

– Czego?

– Tego, że mój mąż był szantażowany!

– To sprawa dla policji – zaprzeczyła Aldona. – Poza tym musiałabym lepiej poznać tę historię, ale wtedy mogłoby się okazać, że...

– Myli się pani!

– Obawiam się, że...

– Nie ma pani o tej sprawie zielonego pojęcia!

Aldona westchnęła i nacisnęła klamkę.

– Dziękuję, do widzenia – powiedziała i wyszła na zewnątrz.

Zdziarska stanęła w drzwiach.

– Niech pani zaczeka.

Aldona odwróciła.

– Niech pani to przeczyta. – Wdowa wyciągnęła w stronę dziennikarki kopertę. – Niech pani chociaż uszanuje wolę zmarłego.

Jeszcze w taksówce przeczytała materiały znajdujące się w kopercie.

– Czy możemy już jechać? – spytał kierowca w rogowych okularach i z solidnym wąsem. Szyby w samochodzie zdążyły zaparować.

Nie odzywała się, potrzebowała czasu, żeby ochłonąć. Co rusz przerywała lekturę. W oknie domu Zdziarskich widziała wdowę. Czują na sobie jej wzrok, kiedy wracała do czytania.

*Byłem jednak przekonany, że jeśli ktoś powiąże zaginięcie Agaty Bener ze mną, to wyjdzie na to, że mściłem się na jej mężu za te wszystkie teksty, w których ten mnie zniesławiał, wyzywał od mobberów bez żadnych dowodów, mając za oręż pomówienia i insynuacje sfrustrowanego i nieudolnego byłego pracownika.*

*W każdym razie kazałem Balcerkowi natychmiast wypuścić Agatę. Miałem go w garści, dysponowałem moimi pieniędzmi na założenie interesu. Musiał mnie słuchać. Odjechałem stamtąd, nie chciałem, żeby mnie w to przetrzymywanie wmanewrowali, zbyt wiele miałem do stracenia.*

*Następnego dnia kazałem Balcerkowi otworzyć piwnicę. Nie ufalem mu. Niepotrzebnie się jednak martwiłem, bo on ją wypuścił. Nie było po niej śladu.*

*Dopiero po roku Balcerk powiedział mi, że było inaczej. Że Agata uciekła. Trząsł się, kiedy o tym mówił. Bo od chwili ucieczki nikt jej nie widział. Nie wróciła do męża. Szukali jej ponoć przez kilka dni. Wszyscy myśleli, że wpadła do Drwęcy. Bali się, że jej ciało wypłynie na wiosnę przyszłego roku.*

*Ale nie wypłynęło.*

*Może Agata miała inne plany. Może skorzystała z okazji i zaczęła zupełnie nowe życie.  
Może ten Bener jest potworem. Może to wszystko jego wina?  
Może Agata Bener, jeśli gdzieś żyje, dziękuje mi za to, co dla niej zrobiłem?  
Liczę na to i cieszę się, że ją uratowałem.*

*Alfred Zdziarski*

Rozpierała ją radość.

Zatrzymali się przy „rydzykówce”, drodze na Warszawę.

– Ciężko się wbić, taki ruch. – Taksówkarz zerknął we wsteczne lusterko. Migacz tykał, radio grało stary przebój Sinatry. Aldona chciała wrócić do Torunia, spotkać się z Benerem i ustalić dalsze działania. Byli tak blisko prawdy, jak jeszcze nigdy.

– A w rękę to co się stało? – zagadywał taksówkarz, zaciekawiony gipsem na ręce pasażerki.

Aldona odpowiedziała półsłówkami, gdy jej wzrok padł na reklamę restauracji „Polska”. Baner był duży, dobrze oświetlony. Zdjęcia przedstawiały salę główną, przystrojoną w biel i czerwień, jakby odbywały się w niej obchody Święta Niepodległości, oraz bar.

– No i żaden, kurka, nie wpuści, żaden! – mamrotał taksówkarz. – No jedźże, do cholery! Żwawo!

Aldona wysłała Benerowi kolejny SMS i powiedziała taksówkarzowi, żeby pojechał prosto. Mężczyzna stęknął, ale odczekał na czerwone światło na krajowej dziesiątce, które uruchomił spacerowicz z wózkiem, i kiedy auta się zatrzymały, wreszcie przeciął jezdnię.

Zanim ekran telefonu zgasł, Aldona wpatrywała się w ostatnią wiadomość wysłaną do Benera.

„Ona jest w Polsce. Przyjedź”.

– Stało się coś? – Wioletta Stemperska otworzyła drzwi szeroko, żeby wpuścić Benera do środka. Obwisłe ramiona dziennikarza i zagubiony wzrok nie zwiastowały niczego dobrego. Kobieta zapięła pikowaną kamizelkę pod samą szyję. Bener wszedł do dużego pokoju, w którym grał telewizor. Naprzeciwko ekranu siedziała owinięta kocem staruszka. Miała otwarte oczy, jej usta poruszały się rytmicznie.

– Panie Marku... – zagadnęła Stemperska.

Bener uciszył ją gestem.

– Zrobię kawę – zaproponowała gospodyni i zniknęła w kuchni.

Bener stanął naprzeciwko matki Jana Stemperskiego, oparł dłonie na podłokietnikach fotela, a potem kucnął, tak by napotkać jej wzrok.

Kobieta mrugała szybko.

Bener był dla niej szybą. Patrzyła na niego, ale miał wrażenie, że staruszka widzi przez niego ekran telewizora, który zasłaniał.

– Jan Stemperski, pani syn... – zaczął, chociaż nie do końca wiedział, co i jak chce powiedzieć, jak dotrzeć do gasnącego mózgu i pamięci pokrzywdzonej przez chorobę kobiety. – Czy on wiedział coś o Agacie? Czy opowiadał pani o mojej żonie, Agacie Bener?

Staruszka nie ruszyła się. Zatrzepotała powiekami po czym zamknęła oczy.

Bener odsunął koc z jej kolan, żeby odsłonić schowane pod nim kościste, niewielekie dłonie. Ujął je w swoje ręce.

– Proszę, niech mi pani pomoże – rzekł zdesperowany.

– Czy pan coś mówił? – spytała z kuchni Stemperska.

Bener zignorował pytanie. Wpatrywał się w starą kobietę, wdychając w nozdrza kwaśną woń uryny pomieszaną z zapachem starości. Nie przeszkadzało mu to.

– Moja żona zaginęła bez wieści niemal siedem lat temu mam wrażenie, że jestem blisko zrozumienia, co się wtedy stało. Ale ktoś musi mi pomóc – poprosił. – Kiedy byłem tu pierwszy raz, powiedziała pani, że Jan wie, co się stało z Agatą. Czy syn mówił coś pani o mojej żonie? Czy on coś wiedział? Cokolwiek?

Od pewnej chwili Wioletta Stemperska stała w progu pokoju i przyglądała się teściowej i Benerowi, który kucnął przed nią i głaskał stare dłonie. Na końcu języka miała to, żeby dziennikarz sobie darował. Ona też próbowała kiedyś docierać do niej w ten sposób, ale bez skutku. Stan starej

Stemperskiej w ostatnim roku bardzo się pogorszył, a przyjmowane przez nią leki nie zatrzymały demencji.

Stemperska wycofała się cicho do kuchni.

– Chodzi o to, że już nie wiem, w którą stronę iść. Nie mam żadnych tropów, poza tym, co być może wiedział Jan – powtarzał się Bener, ale nie był w stanie przestać. Chciał mówić jak najwięcej, mając nadzieję, że za którymś razem jego słowa dotrą do staruszki. Chciał pobudzić jej umysł do myślenia, do odtworzenia tego, co zapisało się gdzieś głęboko w pamięci.

– Moja żona, Agata, była w ciąży, wyszła z domu pierwszego listopada dwa tysiące dziesiątego roku i już nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Wydawało mi się, że czasami rozpoznaję ją w tłumie ludzi, w sklepie, na koncercie. Niekiedy biegłem za kobietami, zaczepiałem je na ulicy, bo byłem przekonany, że widzę moją Agatę. Ale nigdy jej nie odnalazłem. Rozumie pani? Nie odnalazłem. Dlatego muszę panią prosić o pomoc, o jedno słowo. Może być mrugnięcie. Może pani do mnie mrugnie, dobrze?

Kobieta sapnęła.

– Czy Jan powiedział coś pani o Agacie?

Żadnej reakcji.

Zszedł po schodach w transie, nie pamiętał drogi do samochodu ani tego, że otrzymał SMS. Usiadłszy za kierownicą, złożył na niej ręce, a na nich oparł głowę.

Musiał pozwolić spłynąć bólowi po policzkach.

Dotarło do niego, że po tych siedmiu latach wreszcie jest w żałobie.

Wreszcie ją rozpoczął.

Wąskie, poziome okna, które wychodziły na plac dostaw, były zakratowane i zamknięte. Tak samo jak małe lufciki w piwnicy. Aldona ponownie obeszła budynek i dostrzegła w nim jedną prawidłowość. Każde małe okno w podpiwniczeniu zasłonięto od wewnątrz dyktą. Dziennikarka cofnęła się na zaplecze i przeszperała walające się pod rampą śmiecie. Zerknęła między stare, połamane palety i deski. Gdzieś za nimi, w blasku latarki, coś błysnęło. Na kuckach weszła pod rampę i zajrzała za stertę palet. Poczula smród rozkładającego się mięsa. Pod kartonami coś drgnęło. Chwyciła za tekturę i odrzuciła ją.

Wielki szczur, ogryzający odpadki, rzucił się do ucieczki. Aldona zdążyła tylko dostrzec jego czarne ślepia i długi, jasny ogon, na czarnej w tym miejscu nawierzchni.

Dziennikarka z trudem utrzymała równowagę. Sięgnęła po solidną rurę prawie metrowej długości i wyszła stamtąd z dygoczącym sercem.

Zważyła przedmiot w dłoni. Był ciężki, ale Aldona nie bardzo wiedziała, co może z nim zrobić. Nie był to łom, którym mogłaby podważyć drzwi. W hurtowni ojca widziała, że podobnych rur pracownicy magazynu używali do delikatnego przesunięcia palet, by ułatwić wózkom widłowym ich podniesienie.

Aldona nachyliła się i zapukała rurą ponownie, tylko głośniej.

– Agata?

Usłyszała trzy ciche stuknięcia i mamrotanie, którego nie zrozumiała. Zastukała jeszcze raz. Znowu odpowiedziało jej głuche pukanie.

– Boże... – Po ciebie przeszedł jej dreszcz.

Wstała i rozejrzała się na boki. Wolała pozostać niezauważona. Niestety te okna wychodziły na osiedle, bloki wyrastały jeden obok drugiego. Po drugiej stronie restauracji będzie łatwiej.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Benera, ale jego numer był zajęty.

Rozpięła kurtkę, żeby ochłonać. Oddychała płytko.

Przeszła na drugą stronę budynku. Nie miała czasu do stracenia. Agata potrzebowała pomocy.

Aldona wybrała brudny drewniany właz pozbawiony szyby, znajdujący się naprzeciwko pomieszczenia, w którym więziono Agatę. Być może właz służył kiedyś do wrzucenia węgla i dlatego nie było w nim żadnej kraty.

Kiedy Aldona się zamachnęła, zimne narzędzie wypadło jej z rąk. Huknęło o betonową opaskę budynku i sturlało się pod parapet. Aldona z trudem dosięgła rurę.



Wykonała zamach ponownie i tym razem usłyszała krótki trzask. Jedna deska oderwała się od ramy. Aldona usiadła i uderzała w nie nogami tak długo, aż wreszcie wszystkie deski wpadły do wnętrza piwnicy.

Znowu usłyszała mamrotanie Agaty.

– Już idę! – krzyknęła, otrzepując ręce.

Włączyła latarkę.

Był to magazyn pełen towarów, plastikowych butelek w zgrzewkach i regałów zastawionych wielkimi workami mąki i cukru, wiaderkami przypraw i sosów. Spora przestrzeń. Aldona wślizgnęła się tam zwinnie.

– Agata? – spytała ponownie, tym razem jednak głośno.

Usłyszała szmer i kolejne mamrotanie. Żona Benera musiała mieć zatkane usta.

Aldona poczuła uderzenie adrenaliny.

– Odsuń się od drzwi! – krzyknęła, a potem cofnęła się i kopnęła w drzwi z całej siły.

Nie drgnęły. Miały podwójny zamek. Umieścili Agatę w specjalnie przygotowanym i dobrze zabezpieczonym pokoju.

– Zaraz wrócę! – zawołała i pobiegła na górę.

Podeszła i zdjęła obraz. Pod antyramą znalazła niewielkie drzwiczki. Wsunęła kluczyk do zamka i otworzyła skrytkę.

Oprócz kasetki na pieniądze znalazła tam klucze z brelokiem, na którym widniała ósemka.

Oświetliła wnętrze latarką.

Jej spojrzenie trafiło na wystraszone kobiece oczy.

Uruchomił garbusa. Wiedział już, dokąd powinien jechać. Podpowiedziała mu to Wioletta Stemperska. Bener odjeżdżał spod jej domu, kiedy odebrał od niej telefon.

– Przemówiła. – głos Stemperskiej brzmiał tak, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi.

– Matka Jana? – wołał się upewnić. – Co powiedziała?

– Że on wie, kto skrzywdził Agatę.

– To samo mówiła, kiedy byłem u was pierwszy raz. To niczego nie wyjaśnia.

– Ma pan rację.

Bener zwolnił i wjechał w zatokę dla autobusów.

– To Piotr, prawda? – odezwał się, obserwując mijające go samochody.

– Tak. Powiedziała, że Piotr płakał. Że to jego wina, ale ona mu wybaczyła.

Bener podziękował.

– Jest jeszcze coś – zaczęła nieśmiało Stemperska.

Dziennikarz milczał.

– Chodzi o to, że nie byłem z panem całkiem szczerą.

Spiął się i czekał na to, czego dowie się tym razem.

– Janek ostatnio często zniknął z domu. Wiem, że to nie jest żadne wytłumaczenie, ale bałam się, że mnie zdradza.

– Dlaczego mówi mi pani o tym teraz?

– Nie wiem, przepraszam, powinnam była powiedzieć to wcześniej.

– Miała pani jakąś konkretną kobietę na myśli?

– Nie, nic na ten temat nie wiedziałam, to był po prostu mój wewnętrzny strach, może jakiś rodzaj przecucia. Ja mam już swoje lata, bałam się, że...

– Pani mąż podobno miał problemy z hormonami. Wiedziała pani o tym?

– Tak, wiedziałam, a mimo wszystko... Wiem, to głupie...

– Co takiego?

– To ja poprosiłam Piotra o to, żeby założył ten przeklęty GPS.

Bener oniemiał.

– I to pani wykasowała całą historię w programie komputerowym, tak? – musiał to wiedzieć.

– Wykasowałam wszystko we wtorek. Wystraszyłam się, że nie ufam mężowi. Kazałam Piotrowi

wymontować urządzenie.

– Ale nie zrobił tego.

– Mówił, że wyłączył nadajnik.

Bener się rozłączył.

Długo trwało, zanim przetrwał tę historię.

Zadzwoił do żony Piotra Stemperskiego, która początkowo wcale nie chciała z nim rozmawiać. Uciekł się więc do kłamstwa, że musiał uratować życie Stemperskiemu. Dopiero wówczas, z przestachem w głosie, kobieta zdradziła mu, że mąż pojechał do znajomego do Lubicza. Bener obiecał, że się odezwie. Po chwili Stemperska zadzwoniła ponownie, spanikowana, że mąż nie odbiera telefonów. Dziennikarz jednak nie chciał z nią dłużej rozmawiać. Po prostu się rozłączył.

Włączył migacz i wyjechał na drogę. Zastanawiał się, czy jechać po Aldonę w stronę Lubicza Górnego, ale ostatecznie uznał, że lepiej nie. Tam, dokąd zmierzał, mogło być niebezpiecznie.

Skręcił na Jedwabno i po przejechaniu kilometra zgasił światła, ale nie zatrzymał samochodu. Podjechał w górę, w stronę wrakowiska, jednak zamiast pod dom pojechał boczną, wyjeżdżoną gruntową drogą, którą dostarczano wraki na plac rozbiórkowy, do oświetlonej teraz lampami zgniatarki. Konstrukcja wyglądała złowrogo. W tle Bener widział sterty wozów, poukładanych jeden na drugim jak zepsute resoraki.

Bener zatrzymał się przy tylnej ścianie nowo budowanego warsztatu. Wysiadł z wozu i się rozejrzał.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że odciął sobie właśnie jedną z dróg ucieczki. Nie był w stanie doskoczyć do legaru i pożałował, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Rozejrzał się po parterze, po lewej miał wydzieloną przestrzeń biurową, a po prawej halę do rozbiórki aut z jednym samochodem przykrytym zakurzoną plandeką. Płyta służąca za drzwi do przestrzeni biurowej była zamknięta na kłódkę.

Bener usłyszał jakiś szmer. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Dziwne. Od początku czuł tu czyjąś obecność.

Przeszedł się po tym swoistym placu budowy, w którym znajdowały się trzy duże, stalowe bramy.

Ujadanie psów ucichło. Dziennikarz starał się nasłuchiwać, czy właściciel nie zorientował się, że ma niespodziewanego gościa.

Bener zwolnił skobel jednej z bram i poprzez niewielką szparkę obserwował przestrzeń wokół domu Balcerków. Dostrzegł dwa psy siedzące w pobliżu bocznych drzwi, które po chwili się uchyliły. Zwierzęta zniknęły w środku. Bener już miał przebiec w stronę labiryntu zbudowanego ze sterty wraków, gdy we wnętrzu warsztatu dostrzegł coś, co sprawiło, że zdrętwiał.

Plandeka okrywająca samochód była wywinięta w taki sposób, że odsłaniała część tablicy rejestracyjnej pojazdu.

Bener zamknął bramę i ruszył w stronę samochodu.

Zastanowił się. Jego wzrok ponownie spoczął na płycie z kłódką. Bener wyjął z bagażnika fajkę do odkręcania kół i poszedł w jej stronę.

Przełożył klucz przez ramię kłódki i pociągnął. Nie musiał wkładać w to dużo siły. Zabezpieczenie pękło i z metalicznym brzdękiem spadło na beton.

Bener pociągnął drzwi.

Wpatrywała się w błyszczące oczy i twarz owiżaną szmatą.

Z uczuciem niepokoju, rodzącym się gdzieś w trzewiach, podeszła szybkim krokiem do kobiety. Zdjęła szmatę z jej ust.

Dziewczyna odkaszlęła i o mały włos nie zwymiotowała. Kiedy splunęła śliną, podniosła głowę, a Aldona ponownie spojrzała w jej wystraszone oczy.

– Co tu robisz?

– Uwięził mnie – dyszała młoda kelnerka. – Wściekł się, wpadł w szał. Nie chciałam już z nim... no wiesz... – wyrzucała z siebie słowa pomieszane z płaczem. – Błagam, pomóż mi.

Odwróciła się do Aldony plecami. Była przywiązana do regału za jedną rękę, drugą zdołała sobie

wcześniej oswobodzić. Aldona widziała zaczerwieniony, otarty przegub. Szybko rozsuptała więzy.

Kelnerka wybiegła z ciemnej nory.

– Zaczekaj! – krzyknęła Aldona.

Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku.

– Trzyma tu kogoś jeszcze?

Aldona powtórzyła, ale dziewczyna była zbyt przerażona, by myśleć rozsądnie.

– A co jest za tymi drzwiami? – dopytywała dziennikarka, stanąwszy w korytarzu. Brodą wskazała pozostałe zamknięte pomieszczenia.

– Magazyny. Do jednego pokoju nikogo nie dopuszcza. On zawsze stoi zamknięty. Arek mówi, że to rupieciarnia.

– Rupieciarnia?

– Muszę już iść.

– Poczekaj. – Powstrzymała ją Aldona. – Którędy wyjdiesz?

– Normalnie. Głównym wyjściem.

– Masz klucze?

– Tak, chowamy zapasowy komplet pod barem. No chyba, że Arek go zabrał.

– To uciekaj – powiedziała Aldona. – I nigdy tu nie wracaj, znajdź sobie lepszą pracę.

Aldona znowu była sama.

Podeszła do rupieciarni i nasłuchiwała.

Cisza.

– Agata! – krzyknęła Aldona. – Jesteś tam?

Dwa solidne zamki broniły dostępu do wnętrza tajemniczego pomieszczenia. Aldona najpierw naparła na drzwi, żeby sprawdzić, czy odegną się trochę u góry lub u dołu, na tyle, by w wąską szparę mogła coś wsadzić, a później wyłamać chociażby ich fragment. Zdawała sobie sprawę ze swojego położenia i tego, że brakowało tu Benera, męskiej siły zdolnej sforsować blokadę.

Drzwi jednak nawet nie drgnęły. Kopnęła je, zostawiając na nich wyraźny ślad podeszwy. Zabolalo ją biodro, w plecach odezwał się tępy ból po kopniaku, którego dostała od kompana Arasa.

Po chwili usłyszała ponowne trzaśnięcie drzwi.

„Kelnerka wróciła”, pomyślała Aldona. Miała nadzieję, że z odpowiednim sprzętem, który pomoże im dostać się do pomieszczenia. Aldona zostawiła drzwi i ruszyła w stronę schodów, chciała wyjść dziewczynie naprzeciw.

– Przyniosłaś coś? – powiedziała Aldona, zbliżając się do narożnika ściany.

Nagle zgasło światło, kroki jednak nie ucichły.

Obawiała się najgorszego, gdy wreszcie jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i Aldona dojrzała przed sobą wielką, ciemną sylwetkę.

– Mam cię, kurwiszonie!

Rozpoznała głos Arasa i poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy.

– Tu ją trzymasz? – spytała.

Zaśmiał się, ale nie przestawał się do niej zbliżać.

– Ta głupia pizda musi się wreszcie nauczyć, że ze mną nie ma żartów, jasne? Ale po co my o niej rozmawiamy? Zajmijmy się wreszcie sobą. – Zaśmiał się.

Wtedy światło rozblęskło, Aras zbliżył się do niej. Nie miała siły na żaden ruch. Poczuła tylko, jak mężczyzna nadeptuje na gips na jej ręce i miażdży go. Z bólu pociemniało jej przed oczami. Widziała jak przez mgłę.

– Tu trzymasz Agatę? – wydukała, tracąc świadomość.

– Jaką Agatę?

– Agatę Bener – szepnęła.

Nie odpowiedział, a ona odleciała w ciemność.

Ten zamachnął się i zdzielił Benera dechą w twarz.

Pociemniało mu przed oczami, gdy padł na plecy i ryknął z bólu.

Telefon huknął o posadzkę i rozpadł się na kawałki.

– Czego tu szukasz, mendo? – Twarz Balcerka wykrzywiła złość.

Bener był zamroczony. Z łuku brwiowego ciekła mu krew, która spływała mu między palcami. Tamował ją niezdarnie i cofał się do rogu pomieszczenia, a Balcerk zaczął mówić. Musiał się wreszcie wygadać, bo zbyt dużo zważyło się na jego starą, siwą głowę.

– Nie spodziewałem się tu ciebie – warknął. – Ale skoro jesteś, to załatwimy tę sprawę do końca.

Bener sądził, że jego głowa zaraz eksploduje, pohukiwało w niej każde wypowiedziane przez Balcerka słowo.

Co rusz spoglądał na starego mężczyznę, stojącego na szeroko rozstawionych, łukowatych nogach. Dziennikarz nie widział, co Balcerk trzyma w ręce, ale do jego uszu co chwilę dobiegał elektryczny zgrzyt.

– On żyje? – spytał Bener, wskazując dłonią w stronę pomieszczenia, z którego wcześniej wyszedł. – Czy Rak żyje?

Balcerk pokręcił głową.

– Śledził mnie, śledził każdy krok. Kręcił się po Lubiczu, rozpytywał o Waltera, o mnie i o stare sprawy. Być może się czegoś domyślał. Ale teraz nie ma to już znaczenia. Póki żyję, z tego miejsca nic nie ma prawa wyjść na zewnątrz. Żadna informacja. Nic, co stało się tu w dwa tysiące dziesiątym roku, nie może wypłynąć! – Jego krzyk odbijał się od ścian warsztatu.

– Wezwij karetkę! – poprosił Bener. – On nie jest niczemu winien. Musisz mu pomóc.

– Od początku pomagam tylko jednej osobie. Mojemu synowi. Nikomu innemu nie zamierzam pomagać, a każdego, kto spróbuje grzebać w przeszłości, wyślę na tamten świat, rozumiesz? – Balcerk zacisnął zęby. – I Stem-per-skiego też. Zbyt długo pracowałem uczciwie na to, co mam i co odziedziczy po mnie mój syn. Zbyt długo, by teraz cokolwiek miało to zmienić. Robiłem to dla niego, żeby wrócił z Norwegii, żeby w Polsce, na ojcowiznie, budował swoją przyszłość. Nie chciałem go stracić. Nie mogłem go stracić! To wszystko dla niego! – Zatoczył rękoma krąg.

– Wezwij karetkę. – Bener wstrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się tłukącego się po niej bólu. Próbował wstać, ale nogi wciąż odmawiały mu posłuszeństwa.

– Nie wezwę nawet grabarza – sarknął starzec i zrobił krok w stronę Benera.

– Widziałeś film z Agatą? – zaryzykował Bener.

Mężczyzna potwierdził.

– Kto go nagrał?

– Mogę się tylko domyślać.

– Stemperski?

– Jezu, ty naprawdę nie wiesz, co się wtedy stało – zaśmiał się.

Kolejny dźwięk tym razem zwrócił uwagę Balcerka, który odwrócił głowę, żeby spojrzeć w górę.

Wtedy wszystko wydarzyło się niemal w jednej chwili. Bener kopnął mężczyznę w rękę, w której dostrzegł wcześniej paralizator. Urządzenie odbiło się od podłogi, a sterta desek z hukiem spadła na głowę Balcerka i go powaliła.

Bener przywarł do ściany, kilka dech uderzyło w jego wyprostowane nogi, ale mężczyzna nawet nie poczuł bólu.

Zanim opadł kurz i usłyszał jęki wydobywające się spod zwałonych desek, dostrzegł na stalowych legarach Piotra Stemperskiego.

– Zaczekaj! – ryknął dziennikarz.

Stemperski miał przed sobą jeszcze jedną niewielką stertę desek. Podważył ją, a drewno runęło na Benera.

I dopiero wtedy wszystko ucichło.

Po chwili światło z korytarza ją oślepiło.

– Rozwiąż dziewczynę.

Słyszała już gdzieś ten głos.

– Szybko!

Nie spoglądała w tamtą stronę, mrużyła powieki i czekała, aż wzrok przyzwyczai się do oślepiającej jasności. Po chwili usłyszała kroki. Ktoś podszedł do niej i szarpnął ją za więzy na rękach.

Aldona siedziała przywiązana do krzesła, a kiedy uwolniono jej ręce, opadła bezwładnie, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Tysiące igieł wbijało się w jej odrętwiałe przedramiona, ból w zoperowanej dłoni pulsował nieznośnie. Resztki gipsu ostrymi krawędziami raniły jej skórę. Ktoś złapał ją za brodę i unióś ją.

Aras wyglądał na wściekłego, ale jego oczy zdradzały, że się bał. Odwiązał szmatę, która zakrywała Aldonie usta.

Dziennikarka powstrzymała torsje.

– No już! – usłyszała ponownie ten sam głos. – Niechże pani tu podejdzie.

Wstała i zrobiła kilka kroków w jego stronę. Nogi miała jak z waty.

Mężczyzna odsunął się i wskazał Aldonie drogę do wyjścia. Szła jak tresowane zwierzę, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, gdzie jest ani co robi. Świadomość wracała do niej powoli.

Po chwili Aldona zatrzymała się i spojrzała na drzwi z numerem trzynastym. Odwróciła się do obu mężczyzn.

– Tutaj – wydukała.

– Co tutaj? – spytał ten, któremu zawdzięczała wolność.

– Tu ją trzyma.

– Kogo? – dopytał Leon Brodzki.

– Agatę – odpowiedziała.

– Ona jest jebnięta – bronił się właściciel restauracji.

Policjant spojrzał na niego.

– Otwieraj – rozkazał.

Aras zrobił krok do tyłu.

– Chyba was pojebało. Na to trzeba mieć nakaz.

Brodzki uśmiechnął się, ale trwało to krótko. Wyszar-pnął broń z kabury i przystawił ją do skroni mężczyzny.

– W takim razie nakazuję ci, chuju, zrobić to, co powiedziałem – wyszeptał. – A być może zapomnimy o paragrafach za uprowadzenie, przetrzymywanie wbrew woli i groźby karalne wobec tej oto kobiety. I może udobruchamy, z twoją pomocą rzecz jasna, kelnerkę. Dotarło?

Aras sięgnął do kieszeni po klucze.

Przekręcił zamki i pchnął drzwi. Wycofał się i spuścił wzrok.

Aldona podeszła i zajrzała do pomieszczenia.

Brodzki zrobił to samo.

A potem zdziwieni popatrzyli na siebie.

Jechali w milczeniu, nie licząc komend wydawanych przez Aldonę, aż po ich lewej wyłoniło się oświetlone lampami cmentarzysko samochodów.

Zostawili więc właściciela restauracji i ruszyli do Bene-ra. Nie wiedzieli, czy potrzebował pomocy, ale jego wyłączony telefon sprawił, że Aldonie serce podeszło do gardła.

Pokonali ostatni zakręt i zbliżyli się do szlabanu.

Brodzki wyskoczył z samochodu, Aldona zrobiła to samo.

Brodzki znowu sięgnął po broń.

Dziennikarz jęknął cicho i poruszył głową.

I tylko to. Poza tym zdziwiła go cisza. Nie słyszał żadnego dźwięku.

Zrozumiał, że leży pod specjalnym kocem termicznym na twardych noszach, z szyją usztywnioną kołnierzem ortopedycznym. Nadal znajdował się w otynkowanym budynku, ale przez uchyloną bramę dostrzegł dwie karetki, kręcących się ratowników i policjantów.

„Żle”, pomyślał.

Rozpiął kołnierz i unióś głowę.

Kilka metrów dalej o rozsuwane boczne drzwi jednej z karetek opierała się Aldona. Zakryła ręką

usta. Nie rozumiał, o co chodzi, aż zobaczył ratownika w czerwonym uniformie, z defibrylatorem w ręku. Ciało, do którego mężczyzna przyłożył elektrody, podskoczyło gwałtownie, jakby szarpane nadludzkimi mocami.

Ratownik pokręcił głową i otarł spocone czoło. Odłożył urządzenie.

Dziennikarz chciał wrzasnąć z bezsilności i być może na-wet próbował to zrobić, ale z jego gardła nie wydobył się za-den dźwięk, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Rak odszedł.

Bener zamknął powieki i poczuł rodzący się w nim pierwotny lęk. To śmierć, a nie nadzieja, była jego najlepszą przyjaciółką.

Bener rozejrzał się i zrozumiał, że jest sam.

Miał niewiele czasu, zanim zajmą się nim ratownicy.

Zrzucił koc i przeturlał się z noszy na zapyloną betonową podłogę. Leżał na brzuchu. Trochę trwało, nim oparł się na łokciach, a potem podciągnął kolana pod brzuch. W głowie szalały młoty, które uderzały równomiernie w skronie.

Świat zawirował, ale Bener przetrwał karuzelę, zdołał się podnieść do siadu, a następnie wstał. Przytrzymał się pobliskiej ściany, świat ponownie się zakręcił, ale i tym razem dziennikarz zrobił, co mógł, by zatrzymać te szaleńcze obroty.

Wreszcie wyłowił jakieś dźwięki. Głosy, skrzypienie śniegu pod nogami znajdujących się na zewnątrz osób. Przytłumione rozmowy.

– Czekamy na prokuratora – usłyszał czyjś głos.

Chciał odnaleźć swój telefon, ale nie miał na to najmniejszych szans. Części rozprysły się po warsztacie, dodatkowo przysypały je dechy.

W tej samej chwili dostrzegł przez boczną szybę, jak do warsztatu weszło dwóch ratowników.

– A ten gdzie jest, co? Hej! Widział go ktoś? – Mężczyźni rozejrzeli się, ale nie dostrzegli Benera. W tej części budynku mrok otaczał wszystko. – Andrzej, ruszaliście go?

Kiedy wyszli, Bener wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Wrzucił jedynekę i wdepnął pedał gazu, zwalniając sprzęgło. Wystrzelił przed siebie i huknął w skrzydła bramy, które rozwarły się i rozpędzone uderzyły o mur.

Skręcił gwałtownie w stronę wyjazdu.

Bener przyhamował i skręcił w drogę, którą dojechał do trasy na Jedwabno.

Spojrzał we wsteczne lusterko i zrozumiał, że ma niewielką przewagę, której nie może stracić.

Wiedział, dokąd jechać.

Zdradził to jeden szczegół, który Bener dostrzegł na filmie.

To nie była Agata. To nie mogła być jego żona. Dziennikarz był przekonany, że ktoś z niego okrutnie zadrwił. Poznał to po biżuterii zawieszanej na jej szyi. Kobieta z filmu mogła być tą samą osobą, którą kiedyś spotkał w Berlinie na stacji metra. Była podobna do jego żony, ale zdradził ją mały wisiołek. Lwi kiel. Ten sam, który kiedyś Bener kupił Agacie na urodziny. Dziś tamten lwi kiel wisiał na szyi Benera. Był jego talizmanem, który miał doprowadzić go do poznania prawdy o losie żony.

A prawda była w zasięgu ręki.

Kawałek dalej nieco zwolnił, ale i tak łamał przepisy.

Bener przypomniał sobie, że kiedy otworzył drzwi do karceru, znalazł tam turystyczną kuchenkę na gaz z małą butlą, konserwy i spleśniały chleb w worku. To musiała być kryjówka, być może najpierw Waltera, a potem również Stemperskiego.

Zjechał z ulicy Poznańskiej w stronę zabudowań salonu fiata, ale zostawił samochód na zapleczu sklepu meblowego po lewej stronie, tak by nie był on widoczny z drogi. Potem Bener przeszedł w stronę fortu. W krzakach dostrzegł garbusa. Wóz był otwarty, wewnątrz nie było nikogo.

Benera napędzała adrenalina, która powstrzymywała zawroty głowy, duży strup zatamował krwawienie z łuku brwiowego. Redaktor dotarł do wyłomu w murze i stanął na placu przed wejściem do fortu.

– Wychodź! – ryknął.

Bener zatrzymał się na moście prowadzącym do pruskiej twierdzy. Pod sobą miał suchą fosę.

– Stemperski, wylaż! Wiem, że tu jesteś. Zaraz będzie tu pełno policji! – ostrzegł, a jego głos uciekł do mrocznych wnętrzy fortyfikacji.

Przywalił go swoim ciężarem. Stemperski jęknął, ale nie zamierzał się poddać. Uderzył Benera łokciem w twarz i zrzucił go z pleców. Chciał wstać i ruszyć sprintem przed siebie, ale poślizgnął się na oblodzonej pochylni.

Bener przyłożył do nogi Stemperskiego paralizator i nacisnął spust.

Wrzask uniósł się w stronę czarnego nieba.

Stał na brzegu, wycieńczony i zziębnięty. Mróz kąsał jego ciało. A może to nie był mróz, tylko strach lub szok. Jego organizm był przecież wycieńczony, niezdolny do żadnego wysiłku.

Bener usiadł na śniegu i dyszał.

Czarna woda pochłonęła samochód, kolejne kry napływały, po chwili nurt stał się spokojny jak wcześniej. Jakby nic złego tu się nie wydarzyło.

Dziennikarz ze zmęczenia położył się i patrzył w wielką połąć nieba usianą gwiazdami.

Patrzył, a jego serce gwałtownie się kurczyło i rozkurczało, dudniło mu od tego w uszach.

Leżał tak długo, aż w końcu poczuł, że lodowacieje.

Początkowo drżał z zimna i bronił się, ale kiedy przetrwał drgawki, nadeszła błoga senność.

Całkowicie się jej poddał. W jego głowie rozbrzmiały na nowo i na przemian słowa Balcerka oraz Stemperskiego. Widział też z bliska twarz Raka, którego nigdy więcej nie zobaczy żywego.

A może właśnie zobaczy go za chwilę, tak jak nieżyjącą żonę, o ile świadectwa tych, którzy przeżyli śmierć kliniczną, okażą się prawdziwe. Nigdy nie chciał się o tym przekonać bardziej niż teraz.

Twarz Raka zastąpiła inna twarz. Agaty. W tym czarnym niebie widział ją uśmiechniętą, spokojną. Piękną jak nigdy dotąd.

Przeprosił ją.

Błagał, żeby mu wybaczyła, a ona tylko kiwała głową ze zrozumieniem.

Odezwała się nawet do niego, a on chłonał jej głos. Czysty i wyraźny jak nigdy przedtem.

– To moja wina, Marek – odezwała się – To wyłącznie moja wina, kochanie...

Bener szlochał, a ona mówiła i mówiła.

– Wybacz mi – poprosiła i spuściła głowę.

Nie wiedział, co chciała mu pokazać, dopiero po chwili spojrzał przez łzy na jej brzuch.

Brzuch, w którym zionęła krwawa dziura.

## DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Śnieg pokrywał kołdrą pola i bezwstydnie odsłaniał przydrożne śmieci. Od rana mżyło, termometr wskazywał dobre dziesięć kresek powyżej zera. Wiatr niósł powiew wiosny i od czasu do czasu przeganiał chmury, przez które przebijały się leniwie promienie słońca.

Roman Balcerek, właściciel warsztatu, trzymał się za głowę i co rusz wychodził ze swojego biura na dziedziniec, po którym kręcili się policjanci. Obok stały dwa radiowozy i żółta koparka. Po prawej, w małej grupce przy srebrnej astrze, stało trzech techników kryminalistycznych w czarnych uniformach z odpowiednimi emblematami na kurtkach. Czekali na swoją kolej.

– Miałeś rację – odezwała się Aldona, patrząc na plac przez przednią szybę. – W dwa tysiące dziesiątym roku Piotr Stemperski prowadził E-Bud, słabo prosperującą firmę budowlaną. Był zadłużony po uszy i trafił mu się kontrakt na budowę tego serwisu.

Bener nie odzywał się wcale. Oddychali cicho, szyby zdążyły całkowicie zaparować. Aldona przetarła prawą i przednią szybę szalikiem, Bener swoją rękawem.

– Czy wtedy, kiedy uciekłeś z wrakowiska, udało ci się spotkać Stemperskiego? – Aldona nie patrzyła na Benera. – Złapałeś go?

– Uciekł mi – powiedział wolno. – Niemal zabił mnie tym garbusem.

– Gdzie może być teraz?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Aldona nabrała powietrza.

– Mówiłeś, że to był wypadek – stwierdziła.

Bener przytaknął.

Piotr Stemperski opowiedział mu o swoim bracie. Jan przyjechał na zakole Wisły, tam gdzie często wspólnie łowili ryby. Piotr wyciął przerębel i wpatrywał się w nieruchomy jak dotąd spławik. Zachęcał brata, by przysiadł przy nim. Już kilka dni walcowali ten sam temat. Wiedział, że Jan odnalazł aparat, który Piotr wetknął za łóżko matki, kiedy się nią opiekował. Wioletta wróciła wtedy do domu wcześniej niż zwykle, więc Piotr zdecydował się ukryć sprzęt na jakiś czas. Potem nie miał go jak stamtąd odebrać. Pech chciał, że aparat odnalazł Jan. Natychmiast zadzwonił do brata i wywiązała się awantura. W końcu, po kilku dniach, Jan dał się ubłagać i miał oddać Piotrowi canona. Umówili się na zakolu Wisły. Jan był jednak nieugięty. Kolejny raz pokłócili się o aparat. Jan wściekł się na brata i zawrócił do samochodu. Poślizgnął się na lodzie. Podobno. Bener prędzej uwierzyłby w to, że Piotr go przewrócił, a potem naskoczył mu na plecy i bił go do nieprzytomności. Kiedy się ocknął, lód miał bordową barwę. Zabrał bratu kluczyki do samochodu, powiększył przerębel i ciało Jana wpuścił do wody. Nurt porwał je szybko. Potem Piotr spłukał lód i ukrył samochód. A aparatu jak nie miał, tak nie miał. Wiedział tylko, że Jan musiał go dobrze ukryć.

Brodzki palił kolejnego papierosa.

Kopali w tym miejscu, bo policyjny georadar podobno się nie myli.

– To nie była moja wina – zaczął płaczącym tonem. – Balcerek był w zмовie z facetem, który chciał ściągnąć dług hazardowy od twojego teścia. Umówili się, że zagrają vabank, porwą ją dla okupu, żeby odzyskać od ojca cały dług, którym mieli się podzielić. Balcerek miał wtedy rozgrzebany i niedoinwestowany serwis samochodowy, a wdepnął jeszcze w nieprzynoszącą dochodów rozbiórkę aut. Brakowało mu kasy. Łyknął pomysł tego zbira. Potrzebował tylko dwójki ochotników.

Potem Bener wysłuchał, jak Michał Walter odegrał przed Agatą policjanta. Błachę i lewą legitymację załatwił mu Walczyński. Walter umówił się z Agatą wcześniej, przekonawszy ją, że sam poluje na Walczyńskiego i ona musi pomóc policji. Dał jej znaczne pieniądze, które musiała dostarczyć ojcu na miejsce spotkania z Walczyńskim, a potem zamierzał po nią podjechać, zabrać ją w bezpieczne miejsce. Wtedy do akcji miał wkroczyć prokurator i gliny od przestępczości zorganizowanej. Agata nie mogła wtajemniczyć w to ojca, Walter przekonał ją, że to patologiczny hazardzista, dla którego nie liczy się nic poza graniem i który gotów jest spieprzyć całą misterną policyjną robotę. Uspokoila się dopiero,



gdy Walter obiecał, że Agata będzie mogła się spotkać z ojcem tuż po akcji. Wtedy będą prawdziwie wolni, bez żadnego długu na koncie.

– Zabrał ją do Lubicza, tam wszystko poszło jak z płatka. Weszli do restauracji, a ktoś zrobił im zdjęcia.

Dziennikarz nie mógł na razie o tym myśleć. Wrócił więc pamięcią do spotkania z Piotrem Stemperskim. Us-ta-wił wóz na ośnieżonym i stromym zboczu, przodem do Wisły, po której mozolnie płynęły kry. Część z nich widział w światłach reflektorów przecinających noc. Reszta, tak jak drugi brzeg, tonęły w ciemnościach.

Gdy kierowca zaciągnął ręczny, samochód jęknął głucho. Szarpnęło. Chwilę później zgasił silnik i nastąpiła cisza.

Zdał sobie sprawę, że o tej porze świat jest tylko czarno-biały. Tego właśnie oczekiwał od życia. Nie chciał żadnych szarości.

– Co było potem? – Bener ponownie przyłożył paralizator do tułowia Stemperskiego.

Mężczyzna jęknął.

– Balcerek zapłacił nam od ręki. Po dwóch dniach zawołał mnie do siebie i kazał pilnować Agaty. Nic nie musiałem robić. Ona siedziała w piwnicy ich domu. Miałem tylko podawać jej jedzenie.

Bener był bliski obłędu.

– Ale kiedy następnym razem wsunąłem jej talerz z żarciem, poczułem metaliczny zapach. W panice otworzyłem drzwi. Krew była wszędzie. Zagapiłem się, straciłem instynkt, a ona uderzyła mnie czymś ciężkim w głowę. Kiedy się ocknąłem, już jej nie było.

– Kłamiesz.

– Nie!

Bener użył paralizatora. Stemperskim wstrząsnęło. A kiedy mężczyzna się ocknął, dalej szedł w zaparte. Dlatego dziennikarz położył dłoń na dźwigni hamulca ręcznego. Zwolnił blokadę i wóz zaczął toczyć się w stronę rzeki. Nabierał prędkości. Stemperski zrozumiał, że to koniec.

– Przepraszam – zdążył szepnąć tuż przed tym, gdy Bener wyskoczył z samochodu. Sekundę później auto spadło w pluskiem do rzeki.

Bener usłyszał krzyk Stemperskiego, widział czarną sylwetkę, która miotła się we wnętrzu wozu, ale wkrótce garbus zniknął pod powierzchnią bulgocącej, czarnej jak noc wody.

W skupieniu obserwowali powolną pracę koparki. Kiedy urobek urósł, operator wyszedł z kabiny i zerknął do dołu. Ktoś coś krzyknął, zlecieli się wszyscy policjanci. Brodzki przydeptał niedopałek i podszedł do zgromadzonego tłumu. Kiwnął ręką na techników. Ci wyciągnęli z bagażnika astry srebrne walizki i zniknęli za koparką. Prokurator i medyk sądowy też nachylili się nad wykopem.

Benerem wstrząsnął dreszcz.

Pozostały jeszcze tylko dwie kwestie. Film, którym ktoś szantażował Zdziarskiego, oraz miejsce ukrycia zwłok Agaty.

Teraz oboje z Aldoną od kilku godzin siedzieli w minimorrisie i w skupieniu przypatrywali się działaniom policji.

Koparka z warkotem odjechała i odsłoniła wykop. Bener dostrzegał uwijających się techników kryminalistyki. Jeden z nich zawołał Brodzkiego. Ten nachylił się nad wykopem. Medyk sądowy, którego Bener znał z widzenia, też ruszył w tamtą stronę.

Bener stęzał.

Nawet nie poczuł, kiedy rozdrapał do krwi skórę przy paznokciu kciuka. Wyssał krew i poczuł charakterystyczny metaliczny posmak.

Nie mógł się uspokoić także wtedy, gdy Aldona przykryła jego ręce swoją dłonią.

Policjant odwrócił się do minimorrisa i chwycił za telefon. Po chwili oboje usłyszeli melodię, która wypełniła wnętrze wozu.

Bener podniósł aparat do ucha.

– Mamy kości – usłyszał głos Brodzkiego, zagłuszony płaczem Aldony, który przerodził się w zdławiony szloch. Patrzył wciąż na Brodzkiego, na jego opuszczone ramiona i mimo tego, co ten przed

chwilą powiedział, nadal modlił się o cud.

– Bez wątpienia to ludzkie kości – dodał Brodzki.

## TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Jego życie właściwie skończyło się kilka dni temu. Wciąż jeszcze czekał na oficjalne wyniki badań DNA, ale nie miał złudzeń, że odnalazł wreszcie ciało swojej żony.

Nie umiał już płakać.

Nie miał siły na słabość.

Odnalezienie zwłok jest błogosławieństwem, przypomniał sobie słowa matki Michała Waltera.

Po tym, jak policja odnalazła kości, zadzwonił do niej któregoś wieczora tylko po to, by poinformować ją o roli swojego syna w porwaniu jego żony. Nie mógł pozwolić, by kobieta w spokoju opłakiwała chłopaka jako ofiarę. Żeby nie oszaleć, musiał rozdzielić swój ból na innych. Kierowały nim niskie pobudki, ale nie dbał o to.

Rozłączył się z poczuciem krótkotrwałej ulgi. Jedyne, co ich teraz łączyło, to możliwość opłakiwania śmierci ukochanej osoby. Bener opłakiwał jednak niewinną kobietę, która zmarła, wykrwawiając się, i której ciało dobrze ukryto. Walterowa opłakiwała jednego z oprawców Agaty.

Bener otrząsnął się, kiedy Aldona otworzyła drzwi pasażera. Usiadła i uśmiechnęła się blado do dziennikarza.

Widziała jego załzawione oczy, ostatnio tylko w takie oczy Benera patrzyła i zdawała sobie sprawę, że ból długo nie minie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek.

Bener usłyszał dźwięk otwieranego bagażnika.

Po chwili otworzyły się także tylne drzwi. Ktoś usiadł na kanapie.

Bener zerknął w lusterko wsteczne.

– Słucham – powiedział Bener matowym głosem.

– Marek?

Dzwonił Leon Brodzki.

– Mów. – Bener nie umiał opanować drżenia rąk. Lęk spinał jego ciało i rozchodził się falą po wnętrzu.

Chciał wierzyć, że to wszystko jest tylko złym snem, że obudzi się wreszcie u boku Agaty, a ona uśmiechnie się do niego i zaczną zwyczajny, kolejny dzień. – Mamy potwierdzenie badań DNA. – powiedział Brodzki. – Przykro mi. To jej zwłoki. To Agata.

Stali na brzegu w tym samym miejscu, skąd niedawno czarny garbus zabrał na dno Piotra Stemperskiego. Bener opowiedział o tym Szamanowi, który opierał się o stare audi. Za kierownicą siedział Alien.

– Myliłeś się co do Raka. – Bener spojrzał Szamanowi w oczy. – A ja uległem twojej sugestii i dlatego trudno mi dziś spojrzeć w swoje odbicie w lustrze.

– Nie myślą się ludzie, którzy nic nie robią – odrzekł Szaman, zaciągając się papierosem. – Wiele na niego wskazywało, przynasz przecież.

– Nie. To nie tak. Stworzyłeś zasłonę dymną.

– Co proszę? – Szaman odchrząknął. – Jaką zasłonę? O czym ty mówisz?

– Balcerek powiedział, że Rak węszył po Lubiczu z jednym łysolem. Rak wiedział więcej, niż się spodziewałeś. Był blisko rozwiązania zagadki. To on sprzedał kiedyś aparat Walterowi. Ale to nie Walter robił zdjęcia Agacie.

Szaman przytrzymał papierosa w ustach. Żar spopielał tytoń.

Kilka minut temu Bener opowiedział profesorowi, czego dowiedział się o ostatnich chwilach życia Agaty. Szaman kiwał wtedy głową.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która nie zgadza się w tej opowieści – dodał dziennikarz.

Szaman wypuścił dym i spojrzał w błękitne niebo oraz poszarpane gdzieniegdzie chmury.

– Wiesz o co chodzi, prawda? – kontynuował Bener.

Profesor rzucił niedopałek w błoto i potężnie zakasłał. Splunął krwią w krzaki.

– Koło wodne jest na nic – zaczął – jeśli młyn zbudujesz na pustyni, a ty właśnie siedziałeś nad

suchym piaskiem. Moją rolą było skierować do ciebie rwący strumień.

Bener pokiwał głową.

– Film to twoja robota. To ty znalazłeś tę kobietę z Ber-lina. Dlatego nie pokazałeś jej twarzy, obraz był niewyraźny i nie było dźwięku. Przecież zdradziłby ją głos. Wiedziałbym, że to nie jest Agata.

– Nie martw się o nią. Otrzymała pieniądze, była zadowolona z umowy. – Machnął ręką Szaman.

– A filmu nie nagrałem dla ciebie. Nie miałeś go zobaczyć.

– Nagrałeś go dla nich, chciałeś, żeby zaczęli sypać, chciałeś ich ze sobą skłócić.

Szaman pokiwał głową i zapalił kolejnego papierosa.

– Chyba nie żałujesz, co? – spytał.

– Skąd wiedziałeś, od kogo zacząć? – zignorował pytanie Bener.

– Są sprawy, o których nie warto czasem myśleć – odezwał się Szaman, a potem spojrzał w niebo i długo nic nie mówił. – To nasze ostatnie spotkanie, Marek.

Wyciągnął w stronę Benera rękę, ale ten jej nie uściśnął.

Szaman odwrócił się i usiadł na tylnym siedzeniu. Alien uruchomił silnik.

Bener zatrzasnął drzwi i spojrzał na profesora pogrążonego w chorobie i znajdującego się na skraju życia.

Szaman opuścił szybę.

– Spłaciłem dług wobec twojego teścia – powiedział i ponownie zakaszłał. – Jeśli jest coś na tym świecie większego niż męska przyjaźń, to ja tego nigdy nie zaznałem.

Bener najpierw pomyślał o Raku, potem o Aldonie i zrozumiał, jak różnie można pojmować przyjaźń.

– Może kiedyś mi za to podziękujesz. – Profesor dał znak Alienowi, żeby ruszał.

– Jeszcze chwila – rzucił Bener, bo właśnie odnalazł brakujący element układanki. – Zdradziłeś go. Zdradziłeś mojego teścia.

– To ty siedziałeś wtedy z Walterem w berlingo! Za-bra-łeś moją żonę spod Łubianki. Sprzedałeś ją tym skur-wysynom!

Wóz ruszył wolno, szyba podjechała do góry.

– Sprzedałeś ją! – ryknął Bener.

Szedł tuż obok toczącego się wolno samochodu.

– Zatrzymaj się! Powiedz dlaczego?! – Spróbował szarpnąć za klamkę, drzwi były jednak zamknięte od środka.

Szaman nie drgnął.

– To ty robiłeś te zdjęcia! – Bener przyspieszył i znowu zrównał się z samochodem. – I ty kazałeś Walterowi wysłać jedno z nich do mnie. Gdyby zrobił to sam, wysłałby list do redakcji, a nie na adres domowy. Przecież nie wiedział, gdzie mieszkam. – Dopiero teraz to zrozumiał. – Byłeś tam. Byłeś na Rynku Staromiejskim i obserwowałeś Waltera. To dlatego tak się rozglądał, kiedy wykonał zadanie. Szukał tam ciebie.

Bener musiał biec, żeby być blisko starego audi. Odpuścił po długim sprincie. Oparł ręce na kolanach i oddychał głęboko, zaciągając się spalinami. Wtedy samochód się zatrzymał. Szaman otworzył drzwi i wychylił głowę.

– Lepiej zastanów się, dlaczego pomogłem ci dotrzeć do prawdy! – krzyknął.

Bener patrzył na niego jak na wariata, któremu w przededniu śmierci zupełnie odbiło.

– Bo masz jeszcze jedną szansę – dodał Szaman. – Ja już wszystkie wykorzystałem. Ale ty jeszcze nie.

Koła zabuksowały w błocie, sypnęło mokrymi grudkami. Część z nich spadła tuż pod nogi Benera.

Szaman zatrzasnął drzwi.

Chwilę później po samochodzie nie było śladu.

– Tu jest to, o co prosiłeś – powiedziała. – Zostawiam i jadę do redakcji.

Przekazał jej klucze do siedziby „Echa” i uśmiechnął się do niej. Rak niedawno pojechał zrobić

zdjęcia do nowego numeru tygodnika, ale umówili się z Aldoną, że spotkają się w redakcji. Bener miał do nich dołączyć później.

Kiedy został sam, otworzył pudełko i wyjął z niego materiały, wydruki i odręczne zapiski. Było tam wszystko to, co Aldona zdążyła zgromadzić w tej sprawie.

Kilka minut wcześniej Bener zadzwonił do Brodzkiego i uzyskał nowe informacje w sprawie identyfikacji zwłok Agaty.

Cały ranek myślał o tym wszystkim, o słowach Szamana, przez jego głowę przelatywały wypowiedzi Stemperskiego i Balcerka. Aż wreszcie trafił na lukę. Potem przypomniał sobie słowa Aldony, które wypowiedziała na temat rodziny Balcerków, i wtedy ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce. Bener potwierdził to jeszcze w kilku miejscach i wiedział już, że jest na dobrej drodze, a mimo to piekielnie się bał.

Spakował torbę i ruszył do wyjścia. Taksówka już czekała. Wsiadł do niej i bez słowa dojechał do Lubicza.

Zapłacił za kurs i wysiadł przy domu w pobliżu cmentarzyska aut. Taksówkarz zawrócił i odjechał. Bener poczekał, aż samochód zniknie za zakrętem.

Wtedy podszedł do drzwi wejściowych i zastukał.

Lucyna Balcerek wyjrzała przez okno w kuchni.

Po chwili Bener usłyszał szmer dochodzący z domu i kobieta uchyliła drzwi.

Bener minął serwis samochodowy syna Balcerkowej i popatrzył na zamknięty, zapieczętowany przez policję zakład. Przeskoczył przez płot i na drżących nogach zbliżył się do wykopanej w ziemi dziury, w której znaleziono szczątki Agaty.

I tylko jej.

Zapytał Balcerkową o to, co się stało, gdy więzili Agatę. Kobieta broniła się, ale pękła szybciej, niżby Bener mógł przypuszczać. Wystarczyło tylko, że przypomniał jej o tym, jaki zawód wykonywała. Aldona przytomnie zapisała ten fakt w swoich notatkach. Balcerkowa była położną, która całe życie pracowała na porodówce.

– Pańska żona przeżyła wstrząs, stres przyspieszył wszystko. – Kobieta nerwowo pocierała palce. Mówiła, tłumiąc szloch. – Odebrałam poród... Było trochę krwi, łóżysko nie chciało odejść... – Rozłożyła ręce. – Zabraliśmy dziecko i wyjechaliśmy, ale zostawiliśmy ją żywą. Bałam się o nią, jednak gdy wróciliśmy, już jej nie było. Uciekła.

Bener milczał, zagryzał jedynie wargi.

– Co stało się z dzieckiem? – spytał, żeby opanować nerwy i nie zatłuc gołymi rękoma kobiety, która stała przed nim.

Balcerkowa odpowiedziała, chociaż coś w tej wersji się nie zgadzało. Powiedział jej o tym. Wybrała kłamstwo, ale nie dał jej brnąć w nie dalej. W końcu przyznała się do wszystkiego.

Teraz Bener patrzył w czarną rozkopaną dziurę w ziemi i zastanawiał się, jak ciało Agaty ułożył w tej dziurze Stemperski. Pewnie wrzucił tu jej zwłoki jak zwykle truchło, zasypał czym prędzej gruzem i ziemią, a następnego dnia kazał wyłożyć plac kostką. Tym samym wykiwał swoich kompanów, Balcerka i Waltera, sprawił, że żyli oni w napięciu, bo podobnie jak Bener, oczekiwali na każdą informację o odnalezieniu zwłok Agaty. I strach, a być może także wyrzuty sumienia, trawiły ich przez lata.

Patrzył wciąż w ziemię, która zabrała mu żonę, i myślał o tym, dlaczego nikt jej nie pomógł i dlaczego musiała odchodzić w takich męczarniach, wiedząc, że umrze z wykrwawienia i wycieńczenia. I to tylko dlatego, że stary Balcerek chciał na stałe sprowadzić syna z Norwegii do Polski. To dla niego budował serwis, to dla niego połasił się na pieniądze Walczyńskiego. Chciał razem z Walczyńskim zaszantażować rodziców Agaty i pewnie zrobiłby to, gdyby nie fakt, że Agata urodziła. A zaraz potem zmarła.

Jak kobieta, położna, mogła odebrać poród i ocalić dziecko, a nie zrobić nic, by ocalić matkę? Nie zadbać o jej zdrowie i życie? Trzymali ją tam znacznie dłużej niż kilka dni. Po porodzie, pod osłoną nocy Balcerkowa wywiozła razem z mężem noworodka do łódzkiego „okna życia”. Dziecko podobno

przeżyło. Ale jeśli miało przeżyć, nie mogło urodzić się w szóstym miesiącu w warunkach domowych. Płuca nie byłyby wówczas wykształcone. Bez inkubatora dziecko nie przeżyłoby ani chwili. Dlatego Bener wiedział, że jego córka mogła się urodzić dopiero pod koniec ósmego miesiąca. Zdrowa.

Teraz Bener myślał intensywnie o tym, że jego córka żyje.

Gdzieś bije serce dziewczynki, która ma prawo znać swoją matkę i mieć ojca.

Dlatego Bener przeskoczył przez płot i znalazł się w tym miejscu. Długo stał nad prymitywnym grobem żony, a kiedy podniósł głowę i wpatrywał się w niebo, z którego siąpił delikatny deszcz, zaczął do niej mówić. Zaczął z nią rozmawiać. Słuchać jej i zgadzać się z każdym jej słowem.

I wtedy poczuł, że rodzi się w nim nowa nadzieja.

Nie wiedział tylko, czy dotrzyma złożonej przed chwilą obietnicy. Wiedział natomiast, że musi spróbować. Że Agata będzie go wspierała, dodawała mu sił. Że zrobi to dla niej, że jest jej to winny.

Obiecał jej wszystko, a gdy się z nią żegnał, drżały mu wargi.

Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale poczuł tylko zimne krople deszczu.

Ponownie przeskoczył płot i tym razem ruszył w stronę Torunia. Poprawił plecak i szedł wolno przed siebie.

Oddalał się od tego miejsca, od tej przeklętej dziury w ziemi, aż w końcu trudno było go dostrzec w nadchodzącym zmierzchu.

## ***Podziękowania***

Po pierwsze, dziękuję mojej żonie Kasi, która jak zawsze skrupulatnie prześledziła losy Benera i Aldony, podsuwała nowe pomysły i krytykowała słabsze momenty w tekście. Brawo, Kochanie! Dziękuję też mojemu synkowi Maksowi, który dzielnie trzyma za mnie kciuki i używa swojego biurka! Jesteś wspaniały!

Chcę podziękować także Ani Rozenberg za ekspresową lekturę, entuzjizm, ale i słuszną krytykę. Mam nadzieję, że już wkrótce zadebiutujesz na rodzimym poletku „kryminalnym”, czego z całego serca Ci życzę.

Kłaniam się nisko Markowi Pijanowskiemu, który podobnie jak Ania, od pierwszego tomu przygód Benera wspiera mnie dobrym słowem, ale też punktuje za wszystkie literackie kiksy. Nie wyobrażam sobie pracy nad książką bez Twoich uwag!

Ważnymi spostrzeżeniami po lekturze podzieliły się też ze mną Agnieszka Graca i Katja Tomczyk. Dziękuję, że mogłem na Was liczyć. Kłaniam się i serdecznie dziękuję za poświęcony czas oraz trafne podpowiedzi.

Powieść w stanie surowym przeczytał Michał Kaldec, któremu dziękuję za pewien jesienny, długi spacer po opuszczonym Forcie XI i wiele cennych informacji na temat tej budowli. Dziękuję za wszelkie uwagi do tekstu, z których chętnie skorzystałem.

Podziękowania wysyłam do Pani Alicji Pedrycz, ciesząc się, że mogę liczyć na opinię tak wytrawnej Czytelniczki!

Szczególne wyrazy uznania niech przyjmie Robert Fale-wicz, redaktor naczelny Czwartej Strony, który uwierzył w trylogię o toruńskim dziennikarzu poszukującym zaginionej żony. Dziękuję za wsparcie, na które zawsze mogłem liczyć, Robercie! Stale udzielali mi go również: Ania Wasik, Ola Wróblewska, Basia Niżyńska i Karol Górski. Znakomitym wsparciem był i pozostaje mój redaktor prowadzący Patryk Mierzwa. Rzadko mamy okazję wypić razem piwo i pogadać o sprawach pozaksiążkowych, ale teraz po prostu nam się to piwo i ta rozmowa należą!

Ślę podziękowania do wszystkich szalonych dziewczyn z toruńskiej księgarni Bookinista, z Kamilą Hagi Wierzbicką i Ewą Stanek na czele! Dobrze, że jesteście! Brawa dla Was!

Przy okazji pozdrawiam serdecznie Martę Matyszczak i Bartka Szczygielskiego, Marcela Woźniaka i Przemka Semczuka, znakomitych autorów, z którymi od dawna wymieniamy się doświadczeniami, czasami narzekamy, ale częściej się śmiejemy. A Marcelowi dziękuję ponadto za wypożyczenie Leona Brodzkiego! Miał w tym tomie ważną rolę do odegrania. Dzięki, Marcel!

Do czubków butów kłaniam się blogerom i blogerkom, którzy oceniali, oceniają i – mam nadzieję – będą nadal oceniać moje powieści. Dziękuję za Wasz czas poświęcony na lekturę i zachęcanie innych do przeczytania moich powieści.

Niezmiennie dziękuję członkom zespołu Dżem, bo nie znajduję lepszej inspiracji niż Wasza muzyka, Panowie.

Dziękuję też całej mojej Rodzinie. Dobrze, że jesteście, Kochani!

I na koniec dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy. Bez Was ta robota nie miałaby najmniejszego sensu. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście w towarzystwie toruńskiego dziennikarza Marka Benera.

Robert Małecki

[facebook.com/robertmalecki.autor](https://facebook.com/robertmalecki.autor)

[instagram.com/robertmalecki.autor](https://instagram.com/robertmalecki.autor)

[www.robertmalecki.pl](http://www.robertmalecki.pl)

**KOSZMARY ZASNĄ OSTATNIE**  
POKÓJ ZAGADEK INSPIROWANY KSIĄŻKĄ

**Open**  
the  
**door**  
ESCAPE ROOM

TERAZ TY MOŻESZ STAĆ SIĘ  
BOHATEREM KRYMINAŁU!

PRZYJDŹ I ODKRYJ  
TAJEMNICĘ FORTU XI.

CZY ZDĄŻYSZ  
ROZWIKŁAĆ ZAGADKĘ?



\*syttr telefonicznie

ul. Piekary 11/1, Toruń  
731 325 253 kontakt@open-the-door.pl www.open-the-door.pl